

polskazbrojna

NR 4 (852) KWIECIEŃ 2017

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

POKOLENIOWA REWOLUCJA

Bartosz Kownacki
o potencjale
polskiej
zbrojeniówki

GEN. BRONI LESZEK SURAWSKI

*System dowodzenia
trzeba uprościć*

NIECHCIANI

Wielotysięczna armia
polskich żołnierzy
na emigracji
po II wojnie
światowej

2016



BUZDYGANY

FILANTROPI, WOJOWNICY
I RYCERZE, CZYLI LAUREACI
NAGRODY „POLSKI ZBROJNEJ”



POLSKA ZBROJNA
HISTORIA

NOWY
MAGAZYN

JUŻ
WKRÓTCE

1050
LAT HISTORII
I CHWAŁY
ORĘŻA
POLSKIEGO

KWARTALNIK
HISTORYCZNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

LEKARZE PAMIĘCI, PSYCHOLOG Z INTUICJĄ,
WYMAGAJĄCY DOWÓDCA, SPORTOWIEC
O WIELKIM SERCU, LEGENDARNY DOWÓD-
CA OBRONY PAŁACYKU MICHLA PODCZAS
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, KAPELAN
MARYNARZY ORAZ OPIEKUN BOHATERÓW – OTO LAURE-
ACI BUZDYGANÓW 2016!

To ludzie wyjątkowi, tak jak wyjątkowa jest ta nagroda. Kapituła, składająca się z laureatów z ubiegłego roku oraz członków redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna”, pierwszy raz zdecydowała się na przyznanie Buzdygana pośmiertnie. Uhonorowany nim został gen. dyw. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf”, a replika oznaki godności rotmistrzowskiej trafi do Lublińca, do Jednostki Wojskowej Komandosów dziedziczącej tradycję m.in. Batalionu AK „Parasol”, w którym „Gryf” służył. Generała i specjalsów dzieliło kilka pokoleń, ale pięknie łączyła przyjaźń, a także szacunek do historii i wartości. „Gryf” był dla nich żywą historią, kwintesencją żołnierskiego etosu.

Gratulujemy serdecznie wszystkim laureatom.

Sektor państwowy polskiej zbrojeniówki będzie uczestniczyć we wszystkich programach modernizacyjnych naszej armii. Co ważne, w ciągu ostatnich 18 miesięcy Polska Grupa Zbrojeniowa podpisała wiele listów intencyjnych i porozumień o współpracy z zagranicznymi koncernami. Nowe otwarcie i duże nadzieje, jakie pokłada w spółce kierownictwo resortu obrony narodowej, będą nie lada wyzwaniem dla poszczególnych firm zbrojeniowych zrzeszonych w PGZ. Jest to jednak szansa dla pracowników na rozruch w zakładach, w których do niedawna panowała stagnacja. Rozpoczynamy nowy cykl „Zbrojeniówka po polsku”, dotyczący planów i możliwości rodzimego przemysłu zbrojeniowego. Na początek rozmowa z wiceministrem obrony narodowej Bartoszem Kownackim, odpowiedzialnym za zakupy sprzętu i uzbrojenia – opowiada on o oczekiwaniach wobec polskiego przemysłu zbrojeniowego.

W imieniu całej redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” pragnę złożyć Państwu ciepłe życzenia spokojnych i zdrowych Świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Niech radosne, wielkanocne Alleluja będzie dla Was ostoją niezłomnej wiary i źródłem zwycięskiej miłości.



„Zmartwychwstanie”
Jan Matejko

*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

ANTONI MACIEREWICZ

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

DRODZY ŻOŁNIERZE SZANOWNI PAŃSTWO

Święta Wielkanocne to dla nas, chrześcijan, chwile wyjątkowe: zadumy nad tym, co było, i nadziei, że przyszłość przyniesie spełnienie naszych oczekiwań. To także czas przypomnienia sobie o sile ducha i niezłomności człowieka. A przede wszystkim jest to piękny czas spotkań z bliskimi, wyciszenia oraz nabrania sił do dalszej służby Ojczyźnie.

Służba wojskowa ma to do siebie, że nie każde święta pozwala spędzić przy rodzinnym stole. Bywa, że zatrzymuje na posterunkach, obarcza wartami i dyżurami albo wysyła na misję daleko od rodziny, domu, a czasami nawet od Ojczyzny. Dlatego w pierwszej kolejności chciałbym się zwrócić do tych wszystkich, którym te świąteczne dni przyjdzie spędzić z dala od bliskich i przyjaciół. Życzę, aby nadchodzące Święta Zmartwychwstania Pańskiego upłynęły Wam spokojnie i pogodnie, w poczuciu słuszności tego, co robicie i ważności spełnianego obowiązku. A żołnierzom, którzy będą z dala od kraju, wypełniając swój obowiązek względem Ojczyzny, życzę, aby zdrowo powrócili do swoich domów i jednostek.

Członkom naszej wojskowej rodziny: żołnierzom służby czynnej i tym, którzy są już w rezerwie, pracownikom wojska i jego miłośnikom, ważnej i cennej dla nas, choć nielicznej już grupie Żołnierzy Wyklętych, kombatanom i weteranom, a także Waszym rodzinom życzę z całego serca pokoju, miłości i radosnego przeżywania Świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Niech to będzie dla Was czas wytchnienia od trosk i codziennego pośpiechu, wzajemnej serdeczności i życzliwości, a także pojednania.

Wesołego Alleluja!



*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

GEN. BRONI LESZEK SURAWSKI

**SZEF SZTABU GENERALNEGO
WOJSKA POLSKIEGO**

Pprzed nami Święta Wielkanocne. Pragnę złożyć wszystkim żołnierzom oraz pracownikom Wojska Polskiego najlepsze świąteczne życzenia. Dziękuję Państwu za pełną poświęcenia służbę i pracę.

Moje myśli kieruję do żołnierzy czuwających nad bezpieczeństwem Polski. Wielu z Was spędzi Wielkanoc, pełniąc dyżury bojowe i warty. Pozdrawiam żołnierzy wykonujących zadania poza granicami kraju, w ramach sojuszniczych i międzynarodowych zobowiązań.

Rodzinom żołnierskim życzę wytrwałości, harmonii oraz ciepła w gronie najbliższych.

Świątecznie pozdrawiam kombatantów, weteranów i żołnierzy rezerwy.

Niech Święta Zmartwychwstania Pańskiego będą czasem spokoju i radości. Życzę Państwu wszelkiej pomyślności oraz szczęścia w życiu osobistym i zawodowym.



*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

GEN. DYW. JAROSŁAW MIKA

**DOWÓDCA GENERALNY
RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH**

Zokazji zbliżających się Świąt Zmartwychwstania Pańskiego wszystkim, którzy swój zawodowy los związali z Wojskiem Polskim – żołnierzom, rezerwistom, weteranom, kombatantom, pracownikom resortu obrony narodowej oraz ich rodzinom – życzę dużo zdrowia, radości, serdecznych spotkań z najbliższymi i przyjaciółmi oraz wszelkiej pomyślności.

Dziękuję Wam za rzetelną, pełną trudów oraz poświęcenia służbę i pracę. Życzę, aby Święta Wielkanocne upłynęły w refleksji i spokoju oraz pozwoliły odpocząć od trudów codzienności.

Niech świąteczny czas, wypełniony nadzieją odradzającego się życia, przyniesie wiele szczęścia oraz wszelkiego dobra, a przesłanie Święta Paschy pozwoli z ufnością spojrzeć w przyszłość.


*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

GEN. DYW. SŁAWOMIR WOJCIECHOWSKI

DOWÓDCA OPERACYJNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Wielce Szanowni Państwo, Żołnierze i Pracownicy!

Zbliżające się Święta Wielkanocne zajmują szczególne miejsce w kalendarzu chrześcijańskim. To czas refleksji, zadumy, ale także radości i nadziei. Z tej okazji pragnę złożyć serdeczne życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności. Niech ten świąteczny okres będzie wypełniony radością i spokojem.

Szczególne życzenia kieruję do dowódców, żołnierzy i pracowników, którzy czas wielkanocny spędzą z dala od rodzin i najbliższych, pełniąc służbę w kraju i poza jego granicami. Chcę Wam podziękować za zaangażowanie i wzorowe wypełnianie obowiązków, życząc spokojnej służby.

Święta Wielkiej Nocy to czas rozważań i zadumy. W tym świątecznym okresie nie zapominamy o weteranach poszkodowanych w działaniach poza granicami państwa, ich rodzinach oraz o tych, którzy złożyli najwyższą ofiarę. Pragnę, aby w Waszych domach gościły duma i optymizm.

Wszystkim żołnierzom, pracownikom oraz ich rodzinom składam najserdeczniejsze życzenia zdrowia, radości, spokoju i wielu chwil wytchnienia w gronie najbliższych. Niechaj świąteczna atmosfera pozwoli z satysfakcją spojrzeć wstecz i napawa nadzieją na lepszą przyszłość.

Wesołego Alleluja!


*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

GEN. BRYG. ROBERT GŁĄB

DOWÓDCA GARNIZONU WARSZAWA

Szanowne Panie i Szanowni Panowie Oficerowie, Podoficerowie, Żołnierze i Pracownicy Dowództwa Garnizonu Warszawa oraz podległych jednostek!

Zbliżające się Święta Wielkanocne to czas, w którym rodzinne tradycje i religijne obrzędy łączą się w sposób wyjątkowy. Świątujemy symboliczne zwycięstwo życia nad śmiercią, pozostając pełni nadziei i wiary w odrodzenie, a czasem po prostu w lepsze jutro.

Niech ten czas będzie okazją do udanego odpoczynku i wytchnienia od codziennych, nie tylko służbowych, trosk. Życzę także dużo zdrowia, udanych spotkań w gronie najbliższych oraz tego, aby przy świątecznym stole nie zabrakło prawdziwie rodzinnej życzliwości i ciepła.

Jak zwykle, myślami będę przy tych spośród nas, którzy spędzą święta z dala od swych najbliższych, pełniąc warty i służby oraz wykonując inne istotne zadania. Wyrażam za to olbrzymi szacunek i wdzięczność oraz przekazuję szczególne żołnierskie pozdrowienia.

Życzę Państwu oraz Waszym Najbliższym zdrowych, wesołych i spokojnych Świąt Wielkanocnych!


*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

GEN. BRYG. TOMASZ POŁUCH

KOMENDANT GŁÓWNY ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

Droży Żołnierze i Pracownicy Żandarmerii Wojskowej!

Z okazji Świąt Wielkiej Nocy pragnę złożyć Wam i Waszym Bliskim najserdeczniejsze życzenia zdrowia, wszelkiej pomyślności oraz sukcesów w życiu osobistym i służbowym. Dziękuję za Wasze poświęcenie i zaangażowanie.

Wszystkim żołnierzom służącym poza granicami kraju i ich Bliskim życzę, aby okres rozłąki skończył się szczęśliwym powrotem do domu.

Wielkanocne życzenia kieruję również do byłych żołnierzy i pracowników Żandarmerii Wojskowej oraz zaprzyjaźnionych służb i instytucji, które wspierają nas w realizacji ustawowych zadań.

Wszystkim polskim żołnierzom życzę, aby okres świąt był wypełniony radością i szczęściem rodzinnym, by był to czas spokoju i wytchnienia od trudów codziennej służby.

*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

JÓZEF GUZDEK

**BISKUP POŁOWY
WOJSKA POLSKIEGO**

Często jesteście świadkami konfliktu życia ze śmiercią, dobra ze złem. Jako „narzędzia pokoju i pojednania” zawsze stajecie po stronie dobra i sprawiedliwości. Aby jednak wygrać tę wojnę, która toczy się na zewnątrz, trzeba najpierw w swoim sercu dokonać radykalnego wyboru i stanąć po stronie tego, co dobre, piękne i szlachetne. Niech w tym pomogą Wam przeżycia wielkanocne.

Czytelnikom „Polski Zbrojnej”, żołnierzom i pracownikom wojska oraz ich rodzinom życzę przemieniających spotkań z Jezusem Zmartwychwstałym, który wspiera nas w drodze do naszego Emaus. Niech one pomagają pokonywać lęki oraz zwątpienia, zachęcając do angażowania się na rzecz bardziej sprawiedliwego świata.

*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

MIROŚLAW WOLA

**EWANGELICKI
BISKUP WOJSKOWY**

**„OTO DZIEŃ, KTÓRY PAN UCZYNIŁ,
WESELMY SIĘ I RADUJMY SIĘ W NIM”.
(PSALM 118, 22-24)**

Chrystus odrzucony dla naszego zbawienia, starty za winy nasze, powstał do nowego życia i stał się naszą pewną nadzieją na zmartwychwstanie i życie wieczne. Zbawcza miłość Zmartwychwstałego obejmuje całą ludzkość, poselstwo Jego Krzyża i Zmartwychwstania skierowane jest do nas oraz do ludzi wszystkich czasów, kultur i języków.

Kieruję gorące życzenia wielkanocnej radości i nadziei w imieniu kapelanów wojskowych, pracowników Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego oraz moim własnym.

*Radosnych Świąt
Zmartwychwstania*

JERZY PAŃKOWSKI

**PRAWOSŁAWNY ORDYNARIUSZ
WOJSKOWY
BISKUP SIEMIATYCKI**

Rozmyślając o Zmartwychwstaniu Chrystusa, mimowolnie przychodzi nam na myśl fakt zwycięstwa życia nad śmiercią. Zmartwychwstały Chrystus jest tą Przystanią, przy której może się odnowić każde życie, bez względu na stan jego grzeszności. W tym tkwi największa radość i nadzieja wynikająca ze Święta Paschy Chrystusowej.

Jak powiada Władimir Łoski, każda wiara w tryumf życia nad śmiercią, wszelkie przeczucie Zmartwychwstania, jest pośrednio wiarą w Chrystusa. A zatem, jeśli wierzymy w Boga, to zawsze i tylko przez pryzmat Zmartwychwstania Chrystusa. Ta wiara jest prawem całego stworzenia, nie tylko ludzi, lecz także zwierząt, roślin, a nawet kamieni i całego świata. Czy można zatem wątpić w ten niepowtarzalny i wieczny cud? W nim jest bowiem życie i jego sens, radość i powód do niej, nadzieja i jej spełnienie.

Takiego przeżywania Świąt Paschy Chrystusowej życzę z głębi serca, pozdrawiając wszystkich i każdego z osobna zbawiennym wezwaniem: „Chrystus Zmartwychwstał! Zaprawdę Zmartwychwstał!”



„Niewierny Tomasz”
Michelangelo Merisi da Caravaggio



Zdjęcie na okładce:
Krzysztof Szatecki,
reprezentant Polski
w profesjonalnych
walkach rycerskich
Brothers of Steel/Centrum
Dawnych Sztuk Walk
www.BrothersofSteel.pl
www.CDSW.pl
Fotograf: Andrzej Wiktor

NR 4 (852)
KWIECIEŃ 2017

TEMAT NUMERU

14 / Filantropi, wojownicy i rycerze, czyli laureaci naszej nagrody

Po raz kolejny przyznaliśmy Buzdygany.



ARMIA

MACIEJ CHILCZUK,
TADEUSZ WRÓBEL

30 / Upraszczanie systemu

Gen. broni Leszek Surawski
o roli Sztabu Generalnego
i pomysłach na zmiany
w systemie dowodzenia.

ARTUR GOŁAWSKI

38 / Szczepionka na czas W

Jakie zmiany czekają Mobilną
Jednostkę Dowodzenia Operacjami
Powietrznymi?

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

42 / Pełen lifting

W-3 Anakonda po modernizacji.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

44 / Duch partnerstwa

Military Ski Patrol to połączenie zdrowej
rywalizacji i możliwości czerpania
z doświadczeń innych.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

48 / Specjalnie dla medyków

Kurs NATO Special Operations
Combat Medic.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

53 / Sierżant Sobota z Colorado Springs

Ślęzak w US Army na misji w Polsce.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

56 / Powstrzymać skażenie

Polscy i amerykańscy żołnierze ćwiczyli
w Świątoszowie.

MARCIN GÓRKA

60 / Wymagająca dwunastka

Zawody pododdziałów zmechanizowa-
nych na drawskim poligonie.

ARSENAŁ

KRZYSZTOF WILEWSKI

70 / Pokoleniowa rewolucja

Bartosz Kownacki o modernizacji armii
i polskiej zbrojeniówce.

TADEUSZ WRÓBEL

76 / Śmigła z Dekanu

Indie to jeden z największych rynków
zbytu dla śmigłowców.

KRZYSZTOF WILEWSKI

80 / Wybuchowa Inteligencja

Wszystko o minach nowej generacji.

Znajdziesz nas tutaj:



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

84 / Metoda na samobójcę

Szahidzi – niezwykle skuteczna broń islamskich terrorystów.

MACIEJ MOSKWA

90 / Jeszcze tylko Tygrys

Mosul. Korespondencja z oblężonego miasta.

RAFAŁ CIASTOŃ

94 / Fajerwerki dla Trumpe?

Korea Północna objawia swą potęgę przed Stanami Zjednoczonymi.

TADEUSZ WRÓBEL

97 / Gra rakietami

Czy Rosja wycofa się z porozumienia rozbrojeniowego?

ROBERT SENDEK

100 / Armia niezgodna z konstytucją

Kosowo przekształca siły bezpieczeństwa w regularne wojsko.

HISTORIA

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

106 / Specjaliści z Polski

Polscy lotnicy w pakistańskich siłach powietrznych.

PIOTR KORCZYŃSKI

114 / W arktycznym piekle

ORP „Garland”. Czyli Polacy w alianckich konwojach z pomocą dla ZSRS.

ROBERT SENDEK

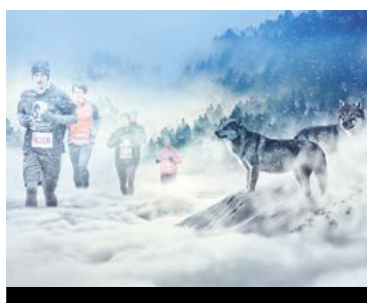
118 / Artyleria wystrugana z drewna

Drewniane armaty miały działanie bardziej psychologiczne niż użytkowe.

TADEUSZ WRÓBEL

122 / Barki zwycięstwa

W cyklu „Niezwykłe maszyny” – barki desantowe.



HORYZONTY

PIOTR RASZEWSKI

126 / 1963 metry pamięci

W ponad 240 miastach Polski biegacze upamiętnili żołnierzy wyklętych.

ANNA DĄBROWSKA

133 / Pierścień od Łupaszki

Sala tradycji 9 Warmińskiego Pułku Rozpoznawczego.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

138 / Nie tylko pomagamy

Rozmowa z Magdaleną Pawlak o działalności Fundacji Dorastaj z Nami.

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska, tel.: 261 840 222;
ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Ewa Korsak, Magdalena Miernicka, Bogusław Polkowski, Małgorzata Schwarzgruber, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel, tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221; Maciej Chilczuk, Rafał Ciastoń, Andrzej Fafara, Artur Gołowski, Marcin Górka, Piotr Korczyński, Krzysztof Kubiak, Maciej Moskwa, Jakub Nawrocki, Michał Niwicz, Tomasz Otłowski, Piotr Raszewski, Robert Sendek, Wojciech Szewko, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski, tel.: 261 845 502

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Jaszczuk (kierownik), Agnieszka Karaczun, Anita Kwatrowska (tłumacz), Małgorzata Szustakowska, Piotr Zarzycki, tel. 261 845 387, 261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 17.03.2017 r.
DRUK ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej” można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.prenumerata.ruch.com.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”, dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER
 Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400 Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

KADR





ELEWI 1 KOMPANII SZKOLNEJ CENTRUM SZKOLENIA
ŁĄCZNOŚCI I INFORMATYKI Z ZEGRZA w czasie
szkolenia z OPBMR pokonywali tor napalmowy
w maskach przeciwgazowych. Zajęcia zostały
przeprowadzone na terenie Garnizonowego Ośrodka
Szkolenia 4 Brodnickiego Pułku Chemicznego.

FOT. ŁUKASZ GRZELLA



Gorąca zima

Wojsko testowało założenia reformy systemu dowodzenia.

Zima '17" to największe ćwiczenia dowódczo-sztabowe przeprowadzone od wielu lat. Ponad 1700 żołnierzy testowało w wirtualnej przestrzeni założenia reformy systemu dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi, opracowywanej w resor-

cie obrony. Ćwiczenia miały być jednym z końcowych sprawdzianów nowych rozwiązań. Poza wojskowymi wzięli w nich udział przedstawiciele Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i innych resortów oraz

wybranych instytucji układu pozamilitarnego. Do przeprowadzenia gry strategicznej wykorzystano infrastrukturę Centrum Symulacji i Komputerowych Gier Wojennych Akademii Sztuki Wojennej.

Celem ćwiczeń było sprawdzenie potencjału i możliwości polskiej armii we współdziałaniu z sojusznikami. Scenariusz odpowiadał współczesnym wyzwaniom stojącym przed wschodnią flanką NATO. Jak zaznaczył minister Antoni Macierewicz, po raz pierwszy manewry dowódczo-sztabowe przebiegały według tak realistycznego ciągu zdarzeń. „Rezultaty ćwiczeń będą przydatne do wypracowania rozwiązań poprawiających efektywność procesu planowania, organizowania oraz prowadzenia działań bojowych na wszystkich szczeblach dowodzenia”, mówił gen. bryg. Maciej Jabłoński, szef Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych i Szkolenia – P3/P7 Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. PZ, MC ■

Sojuszniczy kontrwywiad

CEK jest pełnoprawnym centrum sojuszu północnoatlantyckiego.

Centrum Eksperckie Kontrwywiadu będzie się zajmowało m.in. szkoleniem specjalistów od kontrwywiadu. „CEK NATO będzie też wskazywało nowe kierunki działania służb specjalnych w naszym regionie i uczestniczyło w pracach nad rozwojem doktryn i koncepcji sojuszu”, mówił Piotr Bączek, szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Misją ośrodka jest też zwiększenie

zdolności sojuszu północnoatlantyckiego w dziedzinie kontrwywiadu, w tym przeciwdziałanie aktywności obcych służb wywiadowczych. Jak podkreślił Mariusz

Marasek, pełnomocnik ministra obrony narodowej ds. CEK NATO, akredytowane Centrum jest jedynym na świecie, które zajmuje się kwestiami związanymi ze służbami specjalnymi w tak du-

żym stopniu. Umowę o powołaniu CEK podpisano we wrześniu 2015 roku. W tworzeniu Centrum jako państwa wiodące brały udział: Polska, Słowacja, Czechy, Litwa, Niemcy, Rumunia, Słowenia, Węgry i Włochy. Na jego siedzibę wybrano Kraków. 22 lutego 2017 roku, po spełnieniu wszystkich kryteriów określonych przez Komitet Wojskowy Sojuszu Północnoatlantyckiego, krakowski ośrodek został oficjalnie akredytowany przez Radę Północnoatlantycką jako 24. centrum eksperckie NATO. PZ, PG ■





Unieważniony przetarg

MON odrzuciło oferty na dostawę średnich samolotów do przewozu VIP-ów.

Powodem były błędy formalno-prawne oraz wartość ofert”, mówił wiceminister Bartosz Kownacki. Rząd na zakup maszyn przeznaczył 1,7 mld zł. Wpłynęły dwie oferty. Amerykański Boeing Company za samoloty średniego zasięgu zażądał około 3,44 mld zł brutto. „Ważność tej oferty była uwarunkowana koniecznością dokonania zmian w zapisach umowy”, podaje MON. Oferta czeskiej firmy Glomex była nieco tańsza (około 2,66 mld zł brutto), ale i ona została zdyskwalifikowana ze względu na błędy formalnoprawne. Obie firmy zaproponowały boeinga B737.

Postępowanie związane z zakupem trzech samolotów średnich do przewozu najważniejszych osób w państwie rozpoczęło 30 sierpnia 2016 roku. Inspektorat Uzbrojenia MON ogłosił przetarg na zakup trzech maszyn, w tym jednej używanej. Średnim samolotem miały podróżować minimum 132 osoby – w konfiguracji pasażerskiej. W wersji z salonką miał być przeznaczony dla nie mniej niż 65 osób. Używane samoloty o śred-

nim zasięgu miały wykonywać loty transatlantyckie z jednym międzylądowaniem, a nowe (z 30 pasażerami) pokonywać trasę Warszawa – Nowy Jork bez przystanków.

Termin dostawy samolotu używanego to listopad 2017 roku. Nowe maszyny miały być natomiast dostarczone w 2020 i 2021 roku. W październiku 2016 roku do MON-u wpłynęły cztery wnioski o udział w postępowaniu i po weryfikacji zaproszono do negocjacji dwie firmy: Boeing oraz Glomex.

Po fiasku pierwszego przetargu na początku marca Inspektorat Uzbrojenia uruchomił postępowanie o udzielenie zamówienia publicznego na pozyskanie średnich maszyn dla ViP-ów w trybie z wolnej ręki. Zaproszenie do negocjacji skierowano do firmy Boeing Company. Jak podaje MON, tylko ta firma ma wyłączne prawo do dysponowania slotami produkcyjnymi samolotów Boeing B737-800. W czasie negocjacji zostaną uzgodnione ostateczne warunki umowy, w tym jej wartość. PZ, MKS ■

Wiceszef resortu obrony

Michał Dworczyk jest nowym sekretarzem stanu w MON.

Odpowiada on m.in. za współpracę z organizacjami proobrobnymi. Jego zadaniem jest także wspieranie budowy utworzonych z początkiem roku wojsk obrony terytorialnej oraz kształtowanie polityki historycznej. 42-letni Michał Dworczyk to absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego oraz Studium Europy Wschodniej UW. Ukończył też szkolenie w Szkole Podchorążych Rezerwy w Zegrzu i służył w kompanii rozpoznania 1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

W latach 2006–2007 był doradcą **premiera Jarosława Kaczyńskiego**, wiceprzewodniczącym Międzyresortowego Zespołu ds. Wspierania Przemian Demokratycznych w Europie Środkowo-Wschodniej oraz sekretarzem Międzyresortowego Zespołu ds. Polonii i Polaków za Granicą.

Od 2009 roku pracował jako doradca w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jest autorem ustawy o nowym odznaczeniu państwowym – Krzyżu Wschodnim, oraz uchwały Sejmu ustanawiającej Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP. W 2010 roku uzyskał mandat radnego Warszawy i przez kilka kolejnych lat był samorządowcem na Mazowszu. W 2015 roku został posłem z ramienia PiS, był też członkiem sejmowej Komisji Obrony Narodowej. PZ, PG ■

**Panu pułkownikowi
Miroslawowi Horodejczukowi**
szefowi oddziału Centrum Koordynacyjnego
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego,
Rodzinie oraz Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci
Ojca
składają
szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
generał broni Leszek Surawski
oraz żołnierze i pracownicy SG WP.

TEMAT NUMERU

/ LAUREACI



FILANTROPI, WOJOWNICY I RYCERZE, CZYLI LAUREACI NASZEJ NAGRODY

Wojskowego Oscara kapituła i internauci przyznają tym,
którzy zmieniają rzeczywistość nie tylko w sztabowych
gabinetach, na polu walki i na poligonach.
Poznajcie tegorocznych laureatów.

2016



BUZDYGANY

polskaZbrojna

2016
BUZDYGANY

RYCERZ WOLNOŚCI

Pierwszy raz kapituła nagrodę „Polski Zbrojnej” przyznała pośmiertnie – gen. dyw. Januszowi Brochwicz-Lewińskiemu „Gryfowi”. Buzdygan trafi do Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca, dziedziczącej tradycję Batalionu Armii Krajowej „Parasol”, z którego wywodził się generał. „Bardzo żałuję, że Buzdygana nie odbierze osobiście. Wiem, że wtedy w Jego oczach zobaczyłbym ten charakterystyczny młodzieńczy błysk i mógłbym powiedzieć mu, to co zwykł mówić on, gdy był z czegoś zadowolony – dobra robota, Panie Generale!”, mówi gen. bryg. Wiesław Kukuła, dowódca wojsk obrony terytorialnej.

ŻOŁNIERSKIE GAWĘDY

Zmarły 5 stycznia 2017 roku w wieku 96 lat generał wstąpił do Wojska Polskiego przed II wojną, bo tak nakazywała rodzinna tradycja. Wychowany został w duchu miłości ojczyzny, jego przodkowie walczyli w powstaniach narodowych, bili się pod Grunwaldem i pod Wiedniem. We wrześniu 1939 bronił Rzeczypospolitej, potem działał w konspiracji, był dowódcą jednego z oddziałów partyzanckich na Lubelszczyźnie, a podczas powstania warszawskiego dowodził kompanią szturmową Batalionu AK „Parasol” oraz obroną Pałacyku Michła na Woli. Poważnie ranny trafił do niemieckiej niewoli. Po wojnie pozostał na emigracji, gdzie służył m.in. w elitarnych brytyjskich jednostkach komandosów. Jako agent wy-

*Gen. dyw.
Janusz
Brochwicz-
-Lewiński „Gryf”*

*Za pięć pięciu
pokoleń Polaków
klamrą żołnierskiego
etosu*

wiadu działał również w Palestynie i Sudanie.

W 2002 roku wrócił do Polski. Angażował się społecznie, aktywnie działał w środowisku kombatanckim. Był członkiem Kapituły Orderu Virtuti Militari. 12 stycznia 2017 roku prezydent Andrzej Duda mianował pośmiertnie Janusza Brochwicz-Lewińskiego na stopień generała dywizji.

Ci, którzy go znali, mówią, że był człowiekiem skromnym, niezwykle radosnym i życzliwym ludziom. Umiał pięknie i ze swadą opowiadać o przeszłości, a jego dom zawsze był otwarty dla harcerzy i strzelców. „Bóg, honor i ojczyzna – to

nie były dla niego puste słowa. Zależało mu zatem na tym, by współczesnemu pokoleniu przekazywać wartości, którym on był wierny przez całe życie. Twierdził, że na nich trzeba budować kodeks postępowania młodych ludzi”, mówi Agnieszka Bogucka, przewodnicząca oddziału warszawskiego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, która przez 15 lat opiekowała się generałem.

Gen. bryg. Wiesław Kukuła twierdzi, że „Gryf” wytyczył standardy postawy żołnierza – patrioty i propaństwowca: „Za wieloma czynami laureatów nagrody »Polski Zbrojnej« stoi coś jeszcze – wiara, pasja i marzenia. Takie właśnie cechy miał gen. Janusz Brochwicz-Lewiński”.

Szymon Rębisz, student Akademii Marynarki Wojennej, przyznaje, że jeszcze w czasach gimnazjum generał



był dla niego autorytetem. Dlatego poświęcił mu swoją pracę nagrodzoną w konkursie literackim „Polski Zbrojnej”. „Legendarny obrońca Pałacyku Michła z pewnością na wiele lat pozostanie wzorem tego, jakimi wartościami w życiu należy się kierować i jakim być człowiekiem, zarówno podczas służby, jak i po jej zakończeniu”, pisał o „Gryfie”. Podchorąży wspomina, że generał znajdował wspólny język z młodymi ludźmi, mówił im, jakie ideały są ważne w życiu oraz inspirował do działania. Rozumiał, że młodzi potrzebują wzorców. Często powtarzał: „bądźcie zawsze gotowi, pilnujcie Polski”. „Dla mnie generał »Gryf« pozostanie na zawsze niedoścignionym wzorem cnót rycerskich i żywym przykładem tego, co znaczy etos i duma polskiego żołnierza”, mówi pchor. Rębisz.

BYŁ JEDNYM Z NICH

Szczególne więzi łączyły go z żołnierzami wojsk specjalnych. Komandos z Lublińca mówili, że generał jest jednym z nich. Ppłk Krzysztof Til z Jednostki Wojskowej Komandosów wspomina, jak kilka lat temu zafascynowany historią „Gryfa” pojechał z grupą kolegów, aby go poprosić, żeby został honorowym żołnierzem JWK. „Poznałem

wtedy człowieka ciepłego, otwartego, ale stanowczego, o jasnym umyśle, doskonałej pamięci i niesamowitej inteligencji. W tym wieku taki umysł! Potem na rozmowy z generałem zabieraliśmy także młodych żołnierzy, bo dla nich były to spotkania z żywą historią”, wspomina.

Przy kieliszku sherry generał opowiadał komandosom o swojej służbie wojskowej. Interesowało ich, jak prowadził obserwację terenu podczas powstania warszawskiego, jakimi siłami dysponował, jak jego żołnierze bronili Pałacyku Michła, jak zdobywali broń. „Generał mówił prostym językiem, wtrącając anegdoty i dbając o szczegóły. Byłem pod wielkim wrażeniem tych opowieści, bo trafiały one prosto do serca”, wspomina płk Til.

Z „Gryfem” związani byli także żołnierze z Jednostki Wojskowej GROM. Płk Piotr Gąstał, który dowodził GROM-em do września 2016 roku, mówił, że „generał z młodymi prowadził rozmowy jak żołnierz z żołnierzem, wymieniając się uwagami na temat przeprowadzonych operacji”. Agnieszka Bogucka wspomina, że „Gryf” uwielbiał te spotkania. Generał miał olbrzymią wiedzę na temat polskiej historii i tradycji. Dla żołnierzy, harcerzy, strzelców był zatem niczym encyklopedia. W wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” mówił, że dostrzegł w nich ten sam zapał do walki i szacunek do munduru, który towarzyszył mu w młodości. „Widzę w nich godnych następców żołnierzy wolnej Polski, żołnierzy mojego pokolenia”, przyznał.

W listopadzie 2015 roku prezydent Andrzej Duda odznaczył Brochwicz-Lewińskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność na rzecz środowisk kombatanckich, za pielęgnowanie pamięci o najnowszej historii Polski”.

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER



2016
BUZDYGANY

WYMAGAJĄCY DOWÓDCA

Nawet nie wiedziałem o nominacji, dlatego informacja o wyróżnieniu Buzdyganem bardzo mnie zaskoczyła.

Moim zdaniem to nagroda bardzo ważna, bo środowiskowa. Dla mnie jest potwierdzeniem, że to co robię, ma sens”, mówi gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej w Giżycku.

Wcześniej był dowódcą batalionu i szefem sztabu w 9 Brygadzie Kawalerii Pancernej, dowodził również batalionem w 14 Brygadzie Zmechanizowanej, był też szefem wydziału operacyjnego w Dowództwie 16 PDZ i pracował w Sztabie Generalnym w Zarządzie Operacyjnym – P3. Wojskową służbę pełnił także w Iraku i w Syrii. Jak przyznaje, bycie dowódcą brygady jest spełnieniem jego zawodowych marzeń. „Robię to, co lubię najbardziej. I nie chodzi tu o dowodzenie wynikające z siły i przewagi, a o dużą swobodę działania”.

INWESTYCJA W ŻOŁNIERZY

Na profesjonalne podejście generała do służby zwracają uwagę jego podwładni. „Choć jest wymagającym dowódcą, to sobie poprzeczkę podnosi jeszcze wyżej niż nam. Zależy mu na rozwoju żołnierzy. Dlatego wprowadził zmiany w szkoleniu całej brygady. Położył nacisk na przygotowanie żołnierzy do działania w dużym obciążeniu psychofizycznym, zwiększył liczbę woj-

skowych wysyłanych na kursy i szkolenia”, mówi st. chor. sztab. Benedykt Komarzewski, starszy podoficer dowództwa 15 Brygady.

W 2016 roku z inicjatywy generała żołnierze mogli trenować z wykorzystaniem najnowszych symulatorów. „Moja brygada nie ma może najnowocze-

*Gen. bryg.
Jarosław
Gromadziński*

*Za przekuwanie
szkoleniowego rzemiosła
w sztukę budowania
żołnierza przyszłości*



śniejszego sprzętu, ale ma najlepszych żołnierzy, najbardziej walecznych. Inwestuję w nich, bo to oni są najdoskonalszą bronią”, mówi generał.

Dowódca Piętnastej stawia też na współpracę swoich podwładnych z innymi jednostkami. Zawiszacy trenowali z oddziałem specjalnym Żandarmerii, Formozą i żołnierzami 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. „Nic tak nie motywuje do pracy jak konfrontacja z innymi”, przyznaje generał. Podkreśla również wielkie znaczenie podoficerów: „To oni stanowią o sile brygady. Odpowiednio zmotywowani, z dużym doświadczeniem, są kręgosłupem każdej jednostki”. Dlatego przyklasnął pomysłowi na zorganizowanie praktycznego kursu przywództwa wojskowego Wilk, przeznaczonego dla podoficerów młodszych. „Wykorzystano w nim doświadczenia żołnierzy i instruktorów 15 Brygady, którzy szkolili się na kursach zagranicznych, takich jak Rangers. To kurs dający żołnierzom siłę i wiarę we własne możliwości”, przyznaje st. chor. sztab. Komarzewski.

KUŹNIA CHARAKTERÓW

Ważne jest jednak nie tylko szkolenie wojskowe, doskonalym narzędziem do budowania dyscypliny, hartu ducha i morale żołnierzy stał się także sport i walka wręcz. „Ja tego nie wymyśliłem. Po prostu znalazłem diamenty w naszej brygadzie”, mówi dowódca, który wyznaje zasadę, że żołnierz ma być nie efektowny, lecz efektywny. „Ta skuteczność wychodzi w walce, to ona hartuje człowieka. Albo będziesz walczył, albo nie nadajesz się do tej roboty. Ja to nazywam kuźnią charakterów”, przyznaje gen. Gromadziński.

W grudniu 2016 roku dowódca zorganizował I Mistrzostwa 16 Dywizji Zmechanizowanej w Walce w Bliskim Kontakcie. „Nasi żołnierze walczą wszędzie, w jednostce i poza nią. W brygadzie walka wręcz, obok pływania i biegania, stała się elementem zaprawy. To wszystko już dziś owocuje. Mamy ponad 80 instruktorów walki, 40 instruktorów wychowania fizycznego, a do tego gotowe reprezentacje na zawody sportowe”, mówi st. chor. sztab. Komarzewski.

MEDIALNA TWARZ

Dowódca 15 Brygady jest też autorem wielu przedsięwzięć mających na celu kształtowanie postaw patriotycznych. Podjął starania, aby wszystkie pododdziały 15 GBZ – bataliony i dywizjony, przejęły tradycje pododdziałów historycznych. „Dziedziczymy tradycje aż trzech pułków Brygady Kawalerii Suwałki, więc wystąpiłem ostatnio do MON-u z ideą, aby przejąć także tradycje całej jednostki”, mówi generał. Dowódca razem z przedstawicielami stowarzyszenia byłych żołnierzy i przyjaciół 15 Brygady

podjął też starania o postawienie w Giżycku pomnika patrona – Zawiszy Czarnego. „Bardzo zależy nam na symbolach podkreślających nasze rycerskie korzenie”, zaznacza generał.

Na co dzień brygada współpracuje ze stowarzyszeniami i organizacjami proobrońnymi, włącza się też w przygotowania przeznaczonych dla nich szkoleń Combat Alert. „Zaangażowałem się w tę ciekawą inicjatywę. Organizacje biorące udział w takich imprezach odgrywają niezwykle ważną rolę w systemie obrony państwa. Dlatego je wspieramy, szkolimy liderów, pokazujemy, jak planować i organizować ćwiczenia”, mówi dowódca. Dzięki życzliwości burmistrza Orzysza w starej szkole powstanie połowa akademii Combat Alert, a już w lipcu odbędzie się największe w tym roku w Polsce szkolenie proobronne połączone z manewrami airsoftowymi.

Dla dowódcy ważna jest także współpraca z lokalną społecznością. Dzięki generałowi w szkołach zostały zorganizowane spotkania pod hasłem „Listopad miesiącem patriotyzmu”. „Podczas spotkań z dziećmi i młodzieżą mówimy nie tylko o symbolach narodowych i chlubnych tradycjach polskiego oręża, ale też o naszej brygadzie. Jeśli bowiem młodzi ludzie wychowują się w regionie ściśle związanym z wojskiem, jeśli poznają nasze tradycje, kto wie, czy za kilka lat nie zechcą wstąpić w nasze szeregi. Promujemy w ten sposób etos służby żołnierskiej, żeby jednostka nie była postrzegana tylko jako jeden z wielu zakładów pracy”, zauważa gen. Gromadziński.

Generał bardzo dba o wizerunek wojska w społeczeństwie i stara się, by żołnierze nie zamykali się w koszarach. Zawiszacy brali udział w akcjach „Szlachetna paczka”, „Paczka dla bohatera” czy zbiórce zabawek dla dzieci z oddziałów onkologicznych. „Mogę na niego liczyć w 100%. Chętnie włącza się w różne akcje, a nierzadko sam inicjuje przedsięwzięcia łączące lokalne społeczeństwo i wojsko”, mówi Wojciech Iwaszkiewicz, burmistrz Giżycka.

Ci, którzy uzasadniali nominowanie generała do nagrody, przyznają, że od czasu objęcia przez niego obowiązków dowódcy brygada wkroczyła w nową erę działalności mediów społecznościowych. „Swoją aktywnością na portalach internetowych wprowadził brygadę we współczesny świat komunikacji. Staliśmy się rozpoznawalni, mamy też dużo większe grono sympatyków”, mówi st. chor. sztab. Komarzewski. Ta medialna aktywność to, zdaniem generała, nic innego jak jeden z etapów budowania tożsamości i poczucia przynależności żołnierzy do wspólnoty. „Od pewnego czasu widzimy, że dzieje się u nas coś pozytywnego. Żołnierze utożsamiają się z brygadą i są dumni, że tu służą”.

PAULINA GLIŃSKA

2016
BUZDYGANY

LEKARZE PAMIĘCI

Bracia Kopocińscy są nierozłączni. Łączy ich nie tylko ta sama data urodzenia, lecz także zainteresowania i praca. „Nawet kiedy jesteśmy osobno, pomysły mamy takie same”, mówi dr n. med. Zbigniew Kopociński. Do tego, jak na bliźniaków przystało, są do siebie podobni. Jak opowiadają pracownicy 105 Kresowego Szpitala Wojskowego w Żarach, pacjenci, którzy idą na badania od jednego do drugiego, mają wrażenie, że trafili do tego samego lekarza.

SKOKI I OKULISTYKA

Bliźniacy razem byli w harcerstwie, wspólnie postanowili też zostać żołnierzami. „Wpłynęła na to rodzinna tradycja. Nasz dziadek, żołnierz 103 Kompanii Saperów, zdobywał Monte Cassino, drugi dziadek walczył na Wołyniu”, opowiada dr n. med. Krzysztof Kopociński. Drugą inspiracją, jak mówi Zbigniew, była lektura „Żołnierza Polskiego”. „Po przeczytaniu artykułu »Skokami do gwiazdek« o Wyższej Szkole Wojsk Zmechanizowanych zamarzyliśmy o skakaniu w wojsku ze spadochronem”.

Poszli do liceum wojskowego we Wrocławiu, po nim jednak, zamiast Zmechu, wybrali Wojskową Akademię Medyczną w Łodzi. Jako jej absolwenci trafili do 15 Brygady Kawalerii Pancernej w Wędrzynie. „Zabezpieczaliśmy strzelania, leczylśmy żołnierzy i ich rodziny”, wspomina Krzysztof. Jednocześnie zrobili specjalizację z okulistyki w 111 Szpitalu Wojskowym w Poznaniu.

Potem braci na siedem lat rozdzielono. Krzysztof służył w Opolu – w 5 Batalionie Rozpoznawczym, podlegającym 10 Dywizji Zmechanizowanej, i w 10 Brygadzie Logistycznej, był na misji w Ko-

sowie. Zbigniew trafił do 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej w Kłodzku, na I zmianę do Iraku, a potem do 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie. Podczas służby w jednostkach bracia jeździli na poligony jako zabezpieczenie medyczne. Tam nie drzemali jednak w sanitarce, lecz brali udział w specjalistycznych szkoleniach. Dzięki temu ukończyli kursy pletwonurka, wspinaczki wysokogórskiej,

*Krzysztof
i Zbigniew
Kopocińscy*

*Za budowanie ducha
korpusu wojskowej
służby zdrowia*



narciarski, mają licencje pilotów samolotowych oraz wymarzony w dzieciństwie tytuł skoczka spadochronowego. Wspólną pracę rozpoczęli ponownie w 2005 roku w szpitalu w Żarach. Jak wspomina Zbigniew, kiedy tu przyszli, był tylko gabinet okulistyczny z wyposażeniem z lat sześćdziesiątych. „Odtworzyli od podstaw pododdział okulistyczny, którym kierują, wyposażyli go też w nowoczesny sprzęt”, wylicza Justyna Wróbel, rzeczniczka szpitala. Teraz w Żarach przeprowadzane są m.in. operacje usunięcia zaćmy, angiografia fluoresceinowa oraz leczenie AMD, czyli zwyrodnienia starczego plamki. „Jak na czterdziestotysięczne Żary, pododdział jest dobrze wyposażony i wykonuje się tu takie same specjalistyczne zabiegi, jak w ośrodkach wojewódzkich”, podkreśla ppłk dr n. med. Leszek Robert, ordynator Oddziału Okulistycznego 4 Wojskowego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu. Oficer razem z braćmi studiował na WAM-ie i do dziś z nimi współpracuje.

WAŻNY JEST CZŁOWIEK

„Lekarze nie uznają bylejakości, dla każdego pacjenta mają czas na rozmowę i dokładne badanie”, podkreśla Wróbel. Jak dodaje ppłk Robert, kiedy do braci przychodzi starsza osoba, pytają ją często o wojenne losy. „Kopocińskich fascynuje człowiek i jego historia”, mówi oficer.

Tak trafił do nich m.in. kpr. Tadeusz Czubasiewicz „Wyrąb”, żołnierz zgrupowania płk. Jana Piwnika „Ponurego”, oraz urodzony w 1918 roku Czesław Konarkowski, żołnierz 15 Pułku Ułanów. „Obaj kombatanci wiele lat chodzili do lekarzy i nikt nie zainteresował się ich przeszłością. Byli szczęśliwi, że wreszcie mogą nam opowiedzieć o swoich losach. Takie spotkania motywują do działania, dzięki nim nasza praca to przyjemność”, mówią bracia.



ARCH. PRYWATNE

Lekarze interesują się też historią wojskowej służby zdrowia i w 2014 roku zorganizowali obchody siedemdziesięciolecia szpitala w Żarach. Jak opowiada Krzysztof, szpital powstał jako 8 Polowy Ruchomy Szpital Chirurgiczny 2 Armii Wojska Polskiego. Z tej okazji bracia zaprojektowali tablicę poświęconą komendantom placówki i spisali jej historię. Dzięki ich pomysłowi powstała maskotka szpitala, ośliczka Baśka. To też nawiązanie do przeszłości, bo oślica faktycznie służyła we frontowym szpitalu. Pluszowa Baśka ma rogatywkę z amaranowym otokiem służby sanitarnej i torbę ze sprzętem medycznym. Ponadto w hołdzie lekarzom i pielęgniarkom z Kresów, którzy tworzyli szpital, bliźniacy przygotowali i przeprowadzili wniosek o nadanie mu honorowej nazwy „kresowy”. „Pamięć o Kresach jest dla nas ważna. To część naszej historii i tożsamości”, podkreślają. Ich rodzina wywodzi się z miejscowości Krosienko pod Lwowem, a podczas II wojny światowej wielu krewnych zostało zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich. „Dlatego Kopocińscy przyczynili się do postawienia na cmentarzu komunalnym w Żarach krzyża upamiętniającego ludobójstwo na Wołyniu oraz do odsłonięcia tablicy poświęconej pamięci Ukraińców, którzy w czasie rzezi nieśli pomoc swoim polskim sąsiadom”, mówi Józef Tarniowy, prezes Kresowego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego im. Orłąt Lwowskich, w którym działają obaj bracia.

Jednym z ich najważniejszych przedsięwzięć było odnowienie na wileńskim cmentarzu grobu ppłk. dr. Kazimierza Malanowicza, byłego komendanta 3 Szpitala Okręgowego w Grodnie. „Dzięki zabiegom braci renowację grobu sfinansowała Wojskowa Izba Lekarska”, wspomina Tarniowy. Bliźniacy od kilku lat organizują akcję „Światelko pamięci”, polegającą na zbieraniu zniczy, które 1 listopada trafiają na polskie cmentarze na Kresach. Byli też m.in. inicjatorami odsłonięcia tablicy w hołdzie dwóm żarskim lekarzom, walczącym w powstaniu warszawskim: płk. dr. med. Jerzemu Rowińskiemu „Jurandowi” oraz mjr. lek. Zbigniewowi Badowskiemu „Dr. Zbigniewowi”.

„Ich doba wydaje się mieć więcej niż 24 godziny”, opowiada mgr Wróbel. Jak dodaje, bracia to osoby nietuzinkowe, które warto docenić i wyróżnić. „Dzięki nim mieszkańcy Żar, z których większość pochodzi z Kresów, pamiętają o swoich korzeniach”, uważa Tarniowy. „Kresy, historia, dzieje wojskowej służby zdrowia to nasza pasja, na nią zawsze znajdziemy czas, choćby kosztem snu”, mówi Zbigniew, a Krzysztof dodaje, że kiedy jest okazja zrobienia czegoś dobrego, to po prostu trzeba to robić. ■

ANNA DĄBROWSKA

2016
BUZDYGANY

MISTRZ W CZYNIENIU DOBRA

Jest Pan nie tylko wspaniałym sportowcem, ale też człowiekiem o wielkim sercu i takich ludzi nam potrzeba”, to jeden z wpisów internautów poświęconych plut. Piotrowi Małachowskiemu. Żołnierz Wojskowego Zespołu Sportowego 2 Wojskowego Oddziału Gospodarczego we Wrocławiu zdobył już w sporcie wszystkie najcenniejsze trofea oprócz złotego medalu na igrzyskach olimpijskich.

*Plut. Piotr
Małachowski*

*Za przekuwanie
wymiernych sukcesów
sportowych
w niewymierne dobro
ratowania życia*

KOLOROWY CZEMPION

Za sukcesy sportowe odniesione w 2016 roku Piotr Małachowski został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a kibice wyróżnili go trzecim miejscem w plebiscycie na dziesięciu najlepszych sportowców Polski. Na scenie Teatru Polskiego w Warszawie, gdzie wręczano plebiscytowe wyróżnienia, Małachowski zgotowano owacje na stojąco, kiedy jako jedyny dostał kolorowego Czempiona. Statuetka została pomalowana przez chłopców, którym sportowiec pomógł w leczeniu, przekazując na licytację swoje trofea sportowe. Na scenie pojawili się Olek Szymański, cierpiący na siatkówczaka oka, oraz Tymek Guzewski, który urodził się z wadą serca. „Nie sądziłem, że będę dzisiaj płakał”, powiedział wtedy wicemistrz olimpijski w rzucie dyskiem. „Wzruszyłem się, bo ta statuetka jest jedyna w swoim rodzaju. Wiem, jak to jest nie mieć nic. Ja mam się czym dzielić, więc to robię”.



Mierzący ponad 190 cm wzrostu lekkoatleta dzieli się z innymi swoimi trofeami sportowymi i bierze udział w akcjach charytatywnych już od lat. W 2011 roku Fundacji im. Kamili Skolimowskiej przekazał statuetkę, którą zdobył w cyklu mityngów Diamentowej Ligi, a dwa lata później razem ze swoim przyjacielem Tomaszem Majewskim, dwukrotnym mistrzem olimpijskim w pchnięciu kulą, kupili na aukcji brązowy medal zdobyty przez Tomasza Rębisza na igrzyskach paraolimpijskich w Londynie. Zebrane pieniądze przeznaczone na operację lekkoatletki Malwiny Sobierajskiej, która podczas treningu została uderzona siedmiokilogramowym młotem. „Wzięliśmy z Tomkiem udział w aukcji, by pomóc naszej koleżance. To był zwyczajny ludzki odruch”, mówił Machałek.

SREBRO CENNIJSZE NIŻ ZŁOTO

W 2016 roku, tuż po zdobyciu na igrzyskach olimpijskich w Rio de Janeiro srebrnego medalu, Małachowski sam przekazał swoje trofeum na aukcję. Tym razem chciał pomóc wspomnianemu trzyletniemu Olkowi Szymańskiemu. „W Rio walczyłem o złoto. Dziś apeluję do wszystkich: powalczmy razem o coś, co jest jeszcze cenniejsze. Jeśli mi pomożecie, moje srebro może być dla Olka cenniejsze niż złoto”, napisał na swoim profilu na Facebooku plutonowy. Kilkanaście dni później Machałek zakończył licytację – rodzeństwo Dominika i Sebastian Kulczykowski zaoferowali za medal całą kwotę 126 tys. dolarów potrzebną na leczenie Olka. Sportowiec podziękował wszystkim, którzy wzięli udział w aukcji. „Udało nam się pokazać, że razem możemy czynić cuda. Mój srebrny medal dziś jest wart o wiele więcej niż jeszcze tydzień temu.

Wart jest życie i zdrowie małego Olusia. To nasz wielki wspólny sukces”, podsumował.

Z kolei otrzymaną od Olka statuetkę Czempiona Piotr Małachowski przekazał Fundacji „Rycerze i Księżniczki” na aukcję, z której dochód przeznaczono na leczenie chorego na siatkówczaka dwuletniego Kornelka Woźnego. Czempion został wylicytowany za 15 tys. zł. Również 5 tys. zł, które Machałek otrzymał jako wygraną VIII edycji Plebiscytu Gwiazdy Dobroczynności, oddał dla podopiecznej Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. „Pan Piotr od lat wspiera naszych podopiecznych. Jest mistrzem nie tylko w sporcie, lecz także w czynieniu dobra. Medal olimpijski jest najcenniejszą zdobyczą dla sportowca, a on potrafił przekazać go na leczenie Olka”, podkreśliła Monika Sadowska, rzecznik prasowy Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”.

Pozasportową działalność Machałka doceniają i jego przełożeni, i inni sportowcy. „Jest człowiekiem o dobrym sercu. Dzieli się zwłaszcza z dziećmi. Popieram takie akcje”, powiedział mł. chor. Artur Michalkiewicz, mistrz Europy w zapasach w stylu klasycznym z 2006 roku.

„Piotrek pomaga dzieciom i sportowcom. Nie myśli o sobie, nie jest zapatrzony w siebie”, stwierdził mjr Sylwester Ostrowski, pełniący obowiązki szefa Wojskowego Zespołu Sportowego we Wrocławiu, który zgłosił kandydaturę Małachowskiego do wyróżnienia go nagrodą Buzdygany 2016. Wiadomość o przyznaniu nagrody „Polski Zbrojnej” sprawiła wiele radości wszystkim sportowcom z wrocławskiego WZS oraz zawodnikom i działaczom związanym ze Śląskiem Wrocław. „Bardzo mnie ucieszyła decyzja kapituły. Za Piotrem jestem całym sercem. Wszyscy go lubią, szanują i kochają. Udowodnił, że warto pomagać, oddać medal, choć poświęciło się kawał życia, żeby go zdobyć”, powiedział st. chor. Mariusz Jędra, wicemistrz świata w podnoszeniu ciężarów z 1997 roku, były sztangista WKS Śląsk, a obecnie prezes Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów.

WIELKIE SERDUCHO

„Panie Piotrze, jest Pan Aniołem. Wielkie i dobre serducho. Szacunek wielki”, „Panie Piotrze, jest Pan Najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Tyle dobra daje Pan ludziom. Dzięki Panu nasz Oluś jest pod opieką lekarską, teraz pomaga Pan Kamilowi. Dziękujemy!”, „Piotruś, jesteś człowiekiem o Wielkim Sercu”, „Cudowny człowiek o Wielkim Sercu”, „Mistrz, oddający najcenniejsze trofea, które wywalczył w sporcie, jest kimś wspaniałym”, takie wpisy można znaleźć na portalach społecznościowych. Sportowiec z roku na rok ma coraz więcej fanów. Wydłuża się też lista osób, którym pomógł.

W 23-letniej historii przyznawania nagrody Buzdygan prestiżowe wyróżnienie po raz drugi trafiło do sportowca. Przed czterema laty kapituła za wspieranie polskich weteranów wyróżniła koszykarza NBA Marcina Gortata. Plut. Małachowski jest jednak pierwszym tak uhonorowanym sportowcem żołnierzem. Przygodę z wojskiem rozpoczął w 2004 roku. W 2 Batalionie Dowodzenia Śląskiego Okręgu Wojskowego pełnił zasadniczą służbę wojskową, a sport uprawiał w Wojskowym Klubie Sportowym Śląsk Wrocław i barw tego klubu broni do dzisiaj. Od września 2005 roku jest podoficerem zawodowym. „Powinniśmy się cieszyć i być dumni z tego, że mamy takich żołnierzy sportowców. Tacy zawodnicy jak Piotr potwierdzają, że warto inwestować w sport wyczynowy w wojsku”, podkreślił chorąży Jędra, prezes sztangistów.

JACEK SZUSTAKOWSKI



2016
BUZDYGANY

PADRE ZNACZY KAPELAN

Na okręt wszedł z przewieszonym przez ramię plecakiem, na którym widniała naszywka „Padre”. Przywitał się, rozejrzał i niemal od razu „kupił sobie”

tych, którzy wcześniej nie mieli okazji, by go poznać. „Radka polecił mi były dowódca zespołu: »Bierz Padrego, bo on jest w stanie dużo załatwić. Do ciebie marynarz nie przyjdzie z osobistą sprawą, bo będzie się bał. A do niego tak«,” opowiada kmdr por. Piotr Sikora, w 2013 roku dowódca pierwszego ze stałych zespołów sił obrony przeciwninowej NATO. Wkrótce marynarze z okrętu dowodzenia ORP „Konradmiral Xawery Czernicki” mieli się przekonać, że na pokładzie w jednej osobie mają kapelana, psychologa i kolegę, który ramię w ramię z nimi pełni służbę przy radarze i pomaga im rozładowywać prowiant na następne tygodnie rejsu.

*Ks. kmdr por.
Radosław
Michnowski*

*Za przełamywanie
schematów oraz walkę
z żołnierskim strachem
i stresem*

podchorążym złożył nowy kapelan, ks. ppłk Stefan Zdasienia. „Pożartował, pośmiał się i poszedł, a ja zacząłem „móżyć”, wspomina ks. Michnowski. Tydzień później już wiedział, że chce zostać księdzem.

Pożegnał się z WAT-em, rozpoczął sześciolatek

TRZY MUNDURY

„W naszej rodzinie ludzi zawsze jakoś do morza ciągnęło”, wspomina ks. kmdr por. Michnowski. Jego droga na pokład okrętu była jednak nietypowa. Zaczęła się od studiów w Wojskowej Akademii Technicznej i wizyty, którą świeżo upieczonym



studia w warszawskim seminarium w grupie kleryków, którzy mieli być kapelanami wojskowymi, a potem spokojnie czekał na przydział. Był przekonany, że trafi do marynarki wojennej – o swoich chęciach powiedział biskupowi, a ten skrzętnie odnotował to w dokumentach. Wkrótce okazało się jednak, że plany trzeba zweryfikować. „Trafiłem do 3 Brygady Zmechanizowanej w Lublinie, a potem kolejno do 6 Brygady Powietrznodesantowej w Krakowie i 3 Warszawskiej Brygady Obrony Powietrznej”, wylicza ks. kmr por. Michnowski. „Dostałem mundur zielony, potem stalowy, na ten granatowy musiałem czekać do 2006 roku”, dodaje. Wówczas został kapelanem Akademii Marynarki Wojennej.

Na dzień dobry na uczelnianej stronie internetowej podał numer swojej komórki. Był to sygnał dla studentów: „jeśli macie problem, chcecie porozmawiać, możecie mnie łąpać o każdego porze dnia i nocy”. „Ciepły, otwarty człowiek, który jak nikt inny potrafił skracać dystans”, wspominają studenci. Kapelan od samego początku przełamywał schematy. W czasie Bożego Ciała jeden z ołtarzy, przy których zatrzymuje się procesja, urządził na okręcie podwodnym, stojącym na dziedzińcu uczelni. Zorganizował ekstremalną drogę krzyżową. Wspólnie z podchorążymi brał też udział w marszach kondycyjnych. „Przez pięć godzin maszerowaliśmy przez lasy w pełnym oporządzeniu. Radka nie trzeba było zachęcać. Sam o te marsze dopytywał, a na miejscu pojawiał się pierwszy, z najcięższym plecakiem. Żartował, że to taka jego pokuta”, tłumaczy kmr por. Dariusz Golonka, dowódca batalionu szkolnego. Ksiądz chciał doświadczać tego samego, czego doświadczają ludzie, do których na co dzień się zwraca. „To kwestia wiarygodności”, podkreśla. Wkrótce dowody tej wiarygodności miał dać na pokładzie okrętu.

O RADARZE I PARZENIU KAWY

„Potrzebuję kapelanów na dwie półroczne misje. Co ty na to?”. Propozycja padła w 2010 roku. Złożył ją ówczesny dziekan marynarki wojennej ks. kmr Bogusław Wrona. Na pokładzie „Czernickiego” „Padre” udawał się w swoją pierwszą misję. Kierowane przez polski sztab okręty strzegły bezpieczeństwa żeglugi na północy Europy. Dni spędzonych na morzu kapelan uzbierał sporo. Uczestniczył w rejsach z podchorążymi na pokładzie ORP „Wodnik”, na jednym z jachtów brał udział w regatach The Tall Ship Races, w 2013 roku przyszła kolejna misja Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwminowej NATO.

Podczas rejsów marynarzom trudno sobie poradzić z monotonią. Jeszcze trudniej z nieobecnością bliskich. Marynarze przychodzili do niego – czasem do spowiedzi, czasem zwyczajnie pogadać. Opowiadali, że żona została

sama z dziećmi i już nie daje sobie rady, że jak człowiek pomyśli o domu, to jednak coś w gardle ściska.

Kapelana ciepło wspominają nie tylko sami marynarze. „Kiedy natowski zespół zawinął do Rygi, na zaproszenie ambasady odwiedziliśmy okręt. W jednej z kabin została odprawiona msza św. i muszę powiedzieć, że było to niezwykle doświadczenie”, wspomina Iwona Rowlette, Polka mieszkająca wówczas na Łotwie. „Ksiądz mówił krótko, ale konkretnie. Potem włączył muzykę: »Ciszę« Bednarka i »Jedyne, co mam« Czerwonego Tulipana. Na chwilę oderwali się od codzienności, dotknęliśmy czegoś, co wykracza poza nią. Myślę, że poczuł to nawet niewierzący. Taki ksiądz każdego może przybliżyć do Boga”. Ale „Padre” chciał pójść dalej. „Posługa księdza? W porządku. Ale poza tym zostaje jeszcze mnóstwo czasu”, podkreśla ks. Michnowski. Na „Czernickim”, podczas pierwszej misji, został pomocnikiem oficera wachtowego. Siedział na mostku i wykonywał najprostsze prace. „Parzenie kawy nie było dla mnie żadną ujmą”, zastrzega. W drugiej połowie misji przeszkolił się i rozpoczął służbę radarzysty. „Śledziłem wskazania radaru, meldowałem o ruchach jednostek. Podczas kolejnej misji na ORP »Czernicki« od razu zostałem wyznaczony na SB I/V [stanowisko bojowe I/V] – może dlatego, że byłem w składzie załogi, a nie w sztabie, jak poprzednio”, tłumaczy. Poza tym wszedł w skład drużyny medycznej. Brał udział w ćwiczeniach, wykonywał zadania związane z ewakuacją ludzi, przygotowaniem do transportu medycznego, opatrywaniem rannych. Wtedy marynarze zaczęli o nim mówić po prostu „Padre”. „Radek stał się członkiem załogi. Niezastąpionym”, podkreśla kmr ppor. Grzegorz Marszałek, zastępca dowódcy ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki” w czasie drugiej misji zespołów sił obrony przeciwminowej NATO.

Ks. kmr por. Michnowski na morzu spędził w sumie dwa i pół roku. Sześciu miesięcy zabrakło, by zyskał prawo do noszenia na mundurze brązowych skrzydełek. Takiej oznaki nie ma żaden z kapelanów marynarki wojennej. Na razie marzenie o niej będzie musiał odłożyć na później, bo służy w wojskach lądowych. „Pełnię obowiązki kapelana w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej, ale też w 35 Dywizjonie Rakietowym Obrony Powietrznej. Mam pod opieką stacjonujących w Skwierzynie Amerykanów. Jutro jadę ich spowiadać i odprawiam dla nich mszę w języku angielskim”, tłumaczy. Na co dzień jednak nadal chodzi w granatowym marynarskim mundurze. „Dzięki niemu już z daleka widać, że kapelan idzie”, śmieje się i dodaje: „W tej chwili innego munduru nie mam. A biskup powiedział mi, że na razie mam go nie zmieniać”.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

2016
BUZDYGANY

PSYCHOLOG Z INTUICJĄ

Ponad dziesięć lat walczę o weteranów. Oni walczyli na misjach, teraz czas na mnie. Walczę na terapii, kiedy żołnierze są na granicy życia i śmierci.

I nawet nie chodzi o to, że oni chcą popełnić samobójstwo, raczej o to, jak żyją. O ich uzależnienia, ryzykowne zachowania, o to, że odmawiają sobie na przykład prawa do wyzdrowienia, bo w ten sposób karzą się za działania na wojnie”, opowiada Sylwia Szymańska, psycholog kliniczny i psychoterapeuta Kliniki Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii w Wojskowym Instytucie Medycznym.

*Sylwia
Szymańska*

*Za to, że oswoiła
cywilów i żołnierzy
z czymś, co jeszcze
przed kilku laty
brzmiało jak wyrok –
z PTSD*

HISTORIA OPARTA NA EMOCJACH

Sylwia Szymańska ukończyła psychologię na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Początkowo pracowała w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, ale gdy dowiedziała się, że w Wojskowym Instytucie Medycznym powstaje Klinika Psychiatrii i Stresu Bojowego, postanowiła zmienić miejsce zatrudnienia. W 2006 roku dołączyła do zespołu nowej kliniki. „Już na studiach wiedziałam, że chcę pracować klinicznie, ale to, z czym się spotkałam na Szaserów, zupełnie mnie zaskoczyło. Praca z traumą, zwłaszcza z traumą wojenną, jest niezwykle wymagająca. To jeden z najcięższych przypadków, który w świecie cywilnym



można by porównać do traumy, jaką przeżywają ofiary gwałtu”, mówi. Od samego początku jest związana z pracą oddziału całodobowego kliniki, współtworzyła też program terapeutyczny, który z pewnymi modyfikacjami obowiązuje do dziś. „Należy się jej ogromne uznanie za stworzenie programu, który wprowadziła w klinice. Nie miała jeszcze specjalizacji, dużego doświadczenia, a poradziła sobie doskonale”, przyznaje Teresa Gordon, psycholog, starszy specjalista z kliniki.

Zanim Sylwia Szymańska rozpoczęła pracę w WIM-ie, nie miała żadnego kontaktu z armią. „Tata, który fascynuje się historią, opowiadał mi trochę o wojsku. Uczył mnie szlachetności w podejściu do żołnierzy i zdrowego patriotyzmu”, uzupełnia. Płk dr n. med. Radosław Tworus, kierownik kliniki, wspomina, że kiedy Sylwia Szymańska zaczynała pracę na Szaserów, była dobrze przygotowana, ale zupełnie nie rozumiała specyfiki wojska. „Obawiałem się trochę, czy weterani będą chcieli rozmawiać z drobną blondynką, cywilem, który nie wie, co to erpeg, ajdik, gankerka czy bihata. Okazało się, że wrażliwość pani Sylwii, jej empatia i profesjonalizm przyniosły niezwykle skutki. Weterani jej zaufali. Po dekadzie pracy w klinice, choć nigdy nie była w Afganistanie, z cywila stała się ekspertem. O tym, co się działo na misjach, wie więcej niż niejeden dowódca”, mówi płk Tworus. Kierownik kliniki podkreśla, że niezwykle ceni jej zacięcie kliniczne. „Zmysłu klinicznego nie można się nauczyć, a ona go po prostu ma. Wyjątkowa intuicja pozwala jej dotrzeć do pacjenta. Dzięki temu może skutecznie pomagać chorym, z którymi inni mogliby sobie nie poradzić”, dodaje.

Sylwia Szymańska jest dziś najwyższej klasy psychologiem klinicznym i psychoterapeutą. Od 2014 roku kieruje pracą zespołu psychologów kliniki i systematycznie wprowadza nowe programy szkoleń oraz kursów dla psychiatrów, psychologów zajmujących się traumą i stresem pola walki. Współtworzyła schematy diagnostyczne i programy psychoterapeutyczne dotyczące PTSD. Pracuje nad doktoratem na temat neuropsychologicznych konsekwencji łagodnych traumatycznych urazów mózgu u weteranów naszych misji. Jest też wykładowcą i głównym autorem programów kursów dla szkolących się w Polsce psychologów i psychiatrów ukraińskich, którzy pracują z żołnierzami cierpiącymi na PTSD.

ZAUFANIE TO PODSTAWA

O swoich pacjentach opowiada niechętnie, bo jak mówi, nie chce stracić zaufania, którym obdarzyli ją żołnierze. Przyznaje jednak, że w klinice opieką otoczeni są wojskowi, zmagający się z różnymi trudnościami. Są to weterani, którzy byli ofiarami działań wojennych, czyli albo byli ranni, albo uczestniczyli w zdarzeniu, w którym

zginął ich kolega. Są i tacy, którzy obwiniają się o wyrządzenie komuś krzywdy. Wspominają historie, kiedy ktoś ginął od ich kul. Są wreszcie i tacy, którzy jako świadkowie okrutnych zdarzeń cierpią z powodu swojej bezradności. Oskarżają się o to, że nie mogli pomóc np. dzieciom lub kobietom. „Niektórzy pacjenci łączą w sobie wszystkie perspektywy. Takie przypadki są najtrudniejsze, a leczenie zawsze jest długotrwałe, zwłaszcza jeśli z traumą w parze idzie np. alkoholizm lub wybuchy agresji”, przyznaje psycholog.

Podczas terapii wyjaśnia weteranom m.in. dlaczego nie pamiętają wszystkiego, co zdarzyło się na misji i jak stopniowo będzie się to zmieniać w czasie leczenia. Przyznaje, że na początku ich wspomnienia są porozrywane „jak droga po wybuchu ajdika lub szczątki ludzkich ciał, które tam widują”. Dopiero z czasem ich pamięć i emocje ulegają uporządkowaniu.

Nigdy nie liczyła, ilu miała pacjentów. Jeśli jednak wziąć pod uwagę terapię indywidualną i grupową, to okazało się, że poznała historie traumatycznych przeżyć około czterystu weteranów. Około stu z nich pomogła bezpośrednio. „Nie liczby są tu najważniejsze, lecz efekt mojej pracy. Cieszę się, że mogę im pomóc i jestem dumna, że mi ufają, że czują do mnie sympatię. Zawsze staram się być autentyczna w kontaktach z nimi, nie chowam się za fasadowością. Często powtarzam, że izolowanie pacjenta z traumą przed prawdą nie jest współczuciem, lecz jego porzuceniem. Moje zadanie polega na zmierzeniu się z prawdą razem z weteranem, niezależnie od tego, jak bardzo jest ona bolesna”, przyznaje. Dodaje jednocześnie, że budujące dla niej jako psychologa jest to, że po zakończonej terapii weterani potrafią szczerze dziękować za pomoc. „Kiedy jeden z weteranów wychodził z oddziału, powiedział, że w pamięci zachowa zdjęcia dwóch psychologów. Bo wierzy, że dzięki naszym fotografiom, się nie rozsypie... Ładne to, prawda?”, opowiada. Nie wszystkim jednak udało się pomóc. Szymańska ze smutkiem przyznaje, że w pamięci ma trzech żołnierzy, którzy przerwali leczenie i nigdy nie wrócili na oddział: „Nie wiem, co się z nimi dzieje, często myślę o nich i zastanawiam się, czy żyją. Jestem jednak pewna, że oni wiedzą, że zawsze na nich czekam, że zawsze mogą wrócić do kliniki”.

W zawodowej pracy Sylwia Szymańska dużo uwagi poświęca także na badanie wpływu traumy wojennej na rodziny weteranów. Wyniki znalazły się w książce „Tułaczka Odyseusza. Powrót z wojny do domu”. „Mitologiczny Odyseusz wrócił do domu po 20 latach, a jego ukochana żona go nie poznała. Zmienił się, moim zdaniem nie tylko fizycznie. Tak samo jest z weteranami misji. Z wojny wracają tylko pozornie ci sami ludzie”.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

2016
BUZDYGANY

OPIEKUN BOHATERÓW

Buzdygan?! Dla mnie? Ale za co? Przecież ja nic nie zrobiłem? Tę nagrodę otrzymują sami generałowie, ja znam swoje miejsce w szyku”, tak zareagował st. sierż. rez. Tomasz Sawicki na wieść o tym, że internauci, czytelnicy portalu polska-zbrojna.pl, przyznali mu wojskowego Oscara. „Może to jakiś błąd systemu?”, dopytywał.

*St. sierż. rez.
Tomasz Sawicki*

*Został wyróżniony
przez internautów
za to, że nie pozwala
zapomnieć
o bohaterach walk
o niepodległość*

PACZKA DLA BOHATERA

Jednak 38% internautów, którzy oddali głos w plebiscycie na naszym portalu, nie mogło się mylić. To oni uznali, że st. sierż. rez. Tomasz Sawicki, który od siedmiu lat przygotowuje wraz z wolontariuszami z całego kraju świąteczne paczki dla kombatantów II wojny światowej i walczących po 1945 roku, zasługuje na tę nagrodę. Chociażby dlatego, że tylko podczas akcji zorganizowanej z okazji ubiegłorocznych świąt Bożego Narodzenia, obdarowanych zostało ponad 1,3 tys. osób z całego kraju.

Podobnego zdania jest Danuta Szyksznian „Sarenka”, żołnierz AK i łączniczka Okręgu Wilno. „Tomek to wspaniały człowiek, prawdziwy patriota, który może być wzorem dla innych. Poświęca nam dużo czasu, robi świetną robotę, a przy tym jest bardzo skromny”, mówi o laureacie naszej nagrody. Wtórzy jej szeregowy Tomasz Marchewka z 5 Pułku Inżynieryjnego, kolega Sawickiego. „Myślę, że jest bardzo mało ludzi, którzy da-



ją od siebie tyle co on. Jest naprawdę wielkim człowiekiem”, podkreśla.

Historia akcji, która dziś ma zasięg ogólnopolski, sięga 2010 roku. Wówczas Sawicki razem z kolegami przygotował upominki dla kombatantów z okolic Szczecina. „Wpadłem na ten pomysł pod wpływem impulsu. Spotykałem kombatantów na różnych uroczystościach, z czasem zacząłem odwiedzać ich w domach”, mówi. „Bardzo szybko przekonałem się, że warunki, w jakich żyją, pozostawiają wiele do życzenia. Weteranom często brakowało pieniędzy na leki czy rehabilitację. Tak nie powinno być, dlatego postanowiłem im pomóc”, podkreśla.

Pierwszą paczkę zrobił z kolegą za własne pieniądze. „Kupiliśmy produkty pierwszej potrzeby, m.in. kawę, herbatę, czekolady, kilka konserw i soki malinowe. Do podarunków dołączyliśmy kartki z życzeniami i wręczyliśmy je kombatantom”, wspomina. A nie było to łatwe zadanie, bo nie każdy chciał ją otrzymać. „To osoby, które nie ufają każdemu, kto zapuka do ich drzwi, ale dzięki pomocy »Sarenki«, a także kpt. Zbigniewa Piaseckiego »Czekolady«, żołnierza AK i uczestnika powstania warszawskiego, oraz por. Włodzisławy Ganickiej »Małej«, żołnierza Szarych Szeregów, udało się wówczas dotrzeć do około 30 osób z okolic Szczecina, gdzie mieszka Sawicki.

WALKA MŁODZIEŻY

Tak narodziła się akcja „Paczka dla bohatera”, do której przyłączali się kolejni wolontariusze. Z całego kraju zaczęły także napływać informacje o osobach, które potrzebują pomocy. Dziś przedsięwzięcie jest organizowane w całym kraju, a także w Londynie, Glasgow czy Düsseldorfie. Wspierają je nie tylko cywile, lecz także policjanci, funkcjonariusze Straży Granicznej i Służby Więziennej. Zbiórki darów odbywają się także w jednostkach wojskowych, m.in. w 17 Brygadzie Zmechanizowanej, 12 BZ, 5 Pułku Saperów czy Pułku Ochrony w Warszawie. Jako jedna z pierwszych do akcji włączyła się 15 BZ. „Dzięki tej akcji dotarliśmy m.in. do żołnierzy, którzy walczyli w 5 Brygadzie Wileńskiej Armii Krajowej. Oczywiście wręczyliśmy im paczki, ale nie to jest najważniejsze w tym przedsięwzięciu”, mówi gen. bryg. Jarośław Gromadziński, dowódca 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. „Dzięki niemu

możemy odnaleźć bezimiennych bohaterów, którzy żyją obok nas. Nic nie uczy szacunku do minionych pokoleń tak, jak ta akcja”, podkreśla.

Potwierdza to sam Sawicki. „To nie jest tak, że wpadamy do czyjegoś domu, zostawiamy karton i uciekamy. Prowadzimy rozmowy, którym towarzyszą zawsze duże emocje”, mówi. „Kombatantów bardziej niż otrzymanie paczki cieszy to, że odwiedzają ich młodzi ludzie w mundurach, a wolontariuszy – to że poznają tak niezwykle osoby”, podkreśla. „Nie każdy potrzebuje aż takiego wsparcia, ale te spotkania są bezcenne. To naprawdę niesamowite, że młodzież poświęca swój wolny czas na spotkania z nami”, mówi Danuta Szyksznian. „Przez wiele lat byliśmy zapomniani, a teraz młodzi ludzie się o nas upominają. Nie tylko nas odwiedzają i słuchają, co mamy do powiedzenia, ale także dbają o pomniki pamięci. To jest prawdziwa walka naszej młodzieży. Bo nie trzeba walczyć z bronią, aby dbać o swój kraj.

A dlaczego Sawicki robi to wszystko? „Jestem żołnierzem, to mój obowiązek”, odpowiada. „Od dziecka kochałem mundur, historię i tradycję”, tłumaczy. Służbę wojskową rozpoczął w 13 Kozłowski Pułku Artylerii, później trafił do 15 Wielkopolskiej Brygady Kawalerii Pancernej. Niestety, z powodów zdrowotnych w 2002 roku musiał odejść z armii.

Munduru jednak całkiem nie porzucił – został rekonstruktorem. Działa w Grupie Rekonstrukcji Historycznej 12 Pułku Ułanów Podolskich. Jako ochotnik cały czas bierze udział w ćwiczeniach rezerwy. W zeszłym roku był na nich aż cztery razy. „Kiedy Tomasz Sawicki przyjeżdża na szkolenie, od razu staje się liderem grupy i motywuje do działania kolegów”, relacjonuje ppłk Krzysztof Duda, dowódca 3 Batalionu Piechoty Zmechanizowanej z 12 Brygady. „Reprezentuje nas w środowisku cywilnym, kultywuje tradycję naszego oręża oraz zachęca młodzież, aby się interesowała Wojskiem Polskim i historią”. Podobnego zdania jest Zbigniew Prokopczyk z Agencji Mienia Wojskowego, współpracownik i przyjaciel laureata: „Tomasz to człowiek z olbrzymim sercem. Jest także bardzo skromny. Nie myśli o sobie, tylko o swoich bohaterach”. Mimo takich słów Sawicki obstaje przy swoim. „Ten Buzdygan tak naprawdę nie jest dla mnie. To nagroda dla wszystkich wolontariuszy, koordynatorów i darczyńców, którzy włączyli się do akcji. A przede wszystkim dla kombatantów”, mówi. „Proszę zatem nie pisać o mnie za wiele, ale skupić się na paczce. Może dzięki temu więcej osób przyłączy się do wielkanocnej edycji”.

MAGDALENA MIERNICKA

ARMIA

/ NA CELOWNIKU



UPRASZCZANIE SYSTEMU

Z Leszkiem Surawskim

o nadchodzącej reformie systemu dowodzenia
siłami zbrojnymi oraz wzmacnianiu ściany
wschodniej rozmawiają Maciej Chilczuk
i Tadeusz Wróbel.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

P

oprzednia reorganizacja systemu dowodzenia sprawiła, że Sztab Generalny Wojska Polskiego ma ograniczony wpływ na siły zbrojne. Czy po wdrożeniu opracowywanej właśnie w Ministerstwie Obrony Narodowej reformie to się zmieni?

Najważniejsza dla mnie jest powaga tego urzędu. Sztab Generalny Wojska Polskiego rzeczywiście znalazł się trochę na uboczu, ale liczy się przede wszystkim to, co pozostaje jego istotą. Myślę o kompetentnych, przygotowanych do wykonywania właściwych zadań ludziach, którzy mogą z pełną odpowiedzialnością zaproponować ministrowi obrony narodowej kompleksowe rozwiązania. Nie chciałbym się wypowiadać na temat przyszłej pozycji Sztabu, bo jeszcze nie skończyły się prace nad Strategicznym Przeglądem Obronnym i nie wypracowano ostatecznych rozstrzygnięć. Jeżeli będziemy zmierzać w kierunku wstępnie zarysowanym przez pana ministra Antoniego Macierewicza, to z pewnością powstanie lepsze rozwiązanie niż obecnie funkcjonujące.

Co Panu się nie podoba w dzisiejszej strukturze dowodzenia?

W przeszłości jako szef Zarządu P3 w Sztabie Generalnym miałem okazję do opiniowania obowiązujących dzisiaj rozwiązań, a później możliwość ich sprawdzenia w praktyce ja-

ko dowódca dywizji, inspektor wojsk lądowych, a w końcu zastępca dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych. Dla dowódcy na szczeblu dywizji wprowadzone zmiany nie miały większego znaczenia, ale jako inspektor wojsk lądowych dysponowałem bardzo ograniczonymi kompetencjami, sprowadzającymi się w praktyce do zarządzania pięcioma programami operacyjnymi. Podlegające mi niewielki oddział ćwiczeń oraz wydział mogły je najwyżej koordynować, a nie przygotowywać poważne projekty na szczeblu taktycznym. Sprawowanie merytorycznego nadzoru w takich warunkach obciążone było licznymi niedoskonałościami. System dowodzenia trzeba uprościć. Musi być jeden dowódca, a nie trzech. Bo teraz nie wiadomo, czyja decyzja jest najważniejsza. Jak to rozstrzygać? Przez głosowanie?

Czy odtworzenie dowództw rodzajów sił zbrojnych nie będzie miało negatywnego wpływu na tzw. połączoność działania? W przeszłości były problemy ze współpracą między nimi.

Nie sądzę, aby pojawiło się takie zagrożenie. Wszyscy dowódcy rodzajów sił zbrojnych będą mieli jednego przełożonego, odpowiadającego za realizację w praktyce idei połączoności. To przekonanie opieram na własnym doświadczeniu dowódcy brygady i dywizji.



JAROSŁAW WISNIEWSKI

System dowodzenia trzeba uprościć. Musi być jeden dowódca, a nie trzech. Bo teraz nie wiadomo, czyja decyzja jest najważniejsza

Dlaczego zatem tak rzadko stosowano zasadę połączoności?

Wiele zależy od ludzi zajmujących konkretne stanowiska, od ich dojrzałości, umiejętności współpracy, zdolności do kompromisu w procesie poszukiwania optymalnych rozwiązań. Od dawna wiadomo, że nale-

ży działać wspólnie, i to żadna nowość. Każdy dowódca mógł to robić, jeśli tylko tego chciał.

Jakie będą mechanizmy zapobiegające odrodzeniu się „udzielnych księstw”, za które wielu uznawało dowództwa rodzajów sił zbrojnych?

W obecnej strukturze, która będzie funkcjonowała do końca roku, jest trzech równorzędnych dowódców. Dziś, głównie dzięki temu, że dobrze się znamy i chcemy ze sobą współpracować, nie ma problemów z codziennym kontaktem. Rozmawiamy, informujemy się o biegu spraw, wymieniamy opinie i wspólnie podejmujemy decyzje. W przyszłym roku, gdy przywrócimy hierarchiczność dowodzenia, zachowam to rozwiązanie. Kieruję się przekonaniem, że warto pytać ludzi o zdanie, zanim się podejmie decyzję. Zresztą takie rozwiązania przewiduje nowa struktura tworzona w ramach Strategicznego Przeglądu Obronnego. Współpraca na najwyższym poziomie dowodzenia nie może się opierać wyłącznie na cechach charakteru poszczególnych oficerów, lecz musi być zapisana w dokumentach.

Zmiany organizacyjne nastąpią dopiero od 1 stycznia 2018 roku?

Sam postulowałem, że lepiej wydłużyć prace nad reformą, aby przygotować propozycję zapisów, które będą mogły funkcjonować w dłuższym czasie. Oczywiście należy uwzględniać dynamikę zmian w środowisku bezpieczeństwa. Z punktu widzenia sprawności systemu, za niekorzystne dla sił zbrojnych uważam rozstrzygnięcia, które wymagałyby kolejnych zmian za dwa, trzy lata.



Sam postulowałem, że lepiej wydłużyć prace nad reformą, aby przygotować propozycję zapisów, które będą mogły funkcjonować w dłuższym czasie

Kluczową różnicą między poprzednią reformą a obecną jest to, że zaczynamy ją od stworzenia struktur dowodzenia na czas wojny, które następnie zostaną dostosowane do czasu pokoju.

Dla wojska najważniejsze jest, by być dobrze przygotowanym do wojny. Dlatego struktury muszą być czytelne. Aby płynnie mogły przejść ze stanu P na czas W, musimy je stworzyć właśnie niejako „od tyłu”. Teraz w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego oraz dowództwach Generalnym i Operacyjnym za strukturę wojenną odpowiadają inne komórki. Najogólniej mówiąc, podział kompetencji wymaga doskonalenia. Nie do końca wiadomo, kto się czym zajmuje. Jeśli powstanie czytelna struktura od szczybla Sztabu Generalnego do dowódcy brygady i zostanie to ujednolicone w pionach, będzie wiadomo, do kogo zwracać się w konkretnej sprawie.

Czy dodanie Sztabowi Generalnemu, którego szef będzie jednocześnie szefem obrony, obowiązków związanych z bieżącym dowodzeniem wojskiem nie odbije się negatywnie np. na planowaniu strategicznym?

Nie sądzę, aby istniało takie zagrożenie, bo w większości planowaniem długoterminowym zajmuje się Zarząd Planowania i Programowania Rozwoju Sił Zbrojnych – P5, a pozostałe zarządy są zaangażowane w te prace w niewielkim stopniu. Widzę natomiast potrzebę wzmocnienia kadrowego Sztabu Generalnego.

Czy nie dojdzie do dublowania się komórek w różnych strukturach dowódczych, na co wskazywali autorzy poprzedniej reformy?

Nie doszukiwałem się rzekomego dublowania struktur. Teraz też nie ma takiego zagrożenia, ponieważ przy budowaniu systemu zaczniemy, jak już powiedziałem, od potrzeb czasu wojny. Kształt struktur i ich rozmieszczenie będzie wynikało z wyznaczonych im zadań.

Jednym ze sztandarowych pomysłów Ministerstwa Obrony Narodowej jest zwiększenie liczebności sił zbrojnych. Jest Pan zwolennikiem budowy nowych jednostek czy rozwijania już istniejących?

Jako żołnierz zawsze odpowiem, że wojska jest za mało. Dla mnie najważniejsza jest obronność państwa. Nie ma więc wyboru między tworzeniem pełnych, silnych jednostek, a tych szkieletowych, skadowanych struktur, które będziemy uzupełniać dopiero w razie wyższej konieczności. Jedne i drugie są w wojsku potrzebne. W wypadku dużego konfliktu ośrodki szkolenia nie poradzą sobie z przygotowaniem rezerw i wtedy trzeba będzie szkolić rekrutów bezpośrednio w jednostkach.

Jeżeli natomiast mówimy o 150 tys. żołnierzy w Wojsku Polskim, to moje serce się raduje. Wiem, że moi podwładni będą mieli z kim pracować, będzie ruch na poligonach i szkolenie będzie odbywać się od rana do nocy.

Wszyscy jesteśmy zgodni, że istnieje potrzeba zwiększenia liczebności wojska we wschodniej Polsce. Polskie piekielko zaczyna się, gdy przechodzimy do szczegółów. Jesteśmy świadkami pierwszego ruchu, czyli przebazowania batalionu czołgów

Leopard 2A5 z 34 Brygady Kawalerii Pancernej do 1 Warszawskiej Brygady Pancernej i od razu słyhać głosy, że to zły pomysł.

Rozumiem dowódców i żołnierzy z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej i 34 Brygady, którzy czołgi oddają, ale to przecież część większego planu. Wraz z ich przesunięciem pójdą środki na budowę odpowiedniego zaplecza w Wesolej i w ciągu dwóch, trzech lat powstaną tam takie warunki, jakie były stworzone w Żaganiu czy Świątoszowie. Drugim elementem tego procesu jest przeniesienie czołgów PT-91 Twardy z Wesolej do Giżycka oraz uzupełnienie 34 Brygady o T-72. To drugie jest rozwiązaniem tymczasowym, bo pamiętajmy, że rozwijana jest koncepcja nowego czołgu. I gdzie on trafi w pierwszej kolejności? Prawdopodobnie pojazdy będą dyslokowane tam, gdzie jest całe zaplecze, właśnie w 11 Dywizji.

Krytycy tej decyzji nie zastanawiają się nad tym, jak ważne jest posiadanie zdolności bojowych na ścianie wschodniej. Dzięki przesunięciu dwóch batalionów do 1 Brygady utworzymy w 16 Dywizji Zmechanizowanej jedną silną brygadę pancerną, która jest niezbędna po wschodniej stronie Wisły. Z kolei перебазowanie czołgów PT-91 Twardy do Giżycka znacząco wzmocni zdolności bojowe 15 Brygady Zmechanizowanej.

Powiedzmy sobie szczerze, to nie jest nowy pomysł. Ten ruch jest planowany od 2010 roku. Już wtedy ówczesny pierwszy zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, a późniejszy jego szef, gen. Mieczysław Gocuł opracował tę koncepcję. Wtedy jednak nie znalazła ona zwolenników w Ministerstwie Obrony Narodowej. Czas pokazał, że generał miał rację i dzisiaj wróciliśmy do tego pomysłu.

Kiedy bataliony leopardów z Wesolej osiągną gotowość bojową?

Już od stycznia żołnierze z 1 Brygady – dowódcy czołgów, działonowi i kierowcy – przygotowują się na przyjęcie nowego sprzętu. W Świątoszowie trwają intensywne szkolenia, tak by już od kwietnia leopardy mogły być wykorzystywane w nowej jednostce. Zakładam, że pełną gotowość 1 Warszawska Brygada Pancerne osiągnie w ciągu 12 miesięcy.

Wspomniał Pan o nowym czołgu.

Prace już się rozpoczęły. Sztab Generalny wykonał swoje zadanie i czekamy na ruch innych podmiotów, przede wszystkim Inspektoratu Uzbrojenia. Za kilka lat nowe wozy powinny się znaleźć w wojsku. Nie może być innego wyjścia, pieniądze na to są zaplanowane.

Czy jesteśmy w stanie zrobić ten czołg sami, czy będziemy szukali partnerów?

Dla mnie bardzo istotny jest możliwie największy udział rodzimego przemysłu, ponieważ w ten sposób otrzymujemy gwarancję, że zaplecze produkcyjne i logistyczne będziemy mieli na miejscu. A dlaczego nie miałyby to być polska konstrukcja?

Oddzielną kwestią jest platforma gaśnicowa. Niezbędne są zarówno nowe czołgi, jak i bojowe wozy piechoty. W naszych warunkach rosomak nie wystarczy, musimy mieć wóz na gaśnicach z odpowiednio dużą siłą rażenia, który jednocześnie będzie mógł łatwo się ukryć. To także priorytet w modernizacji technicznej wojska.

Na ścianie wschodniej będziemy obserwowali trzy procesy. Rozwijane są jednostki 16 Dywizji, trwa budowa wojsk obrony terytorialnej, a za kilka tygodni w Orzyszu zameldują się żołnierze z batalionowej grupy bojowej NATO. Czy nie ma ryzyka, że te procesy nałożą się na siebie i zablokują w wąskim gardle?

Nie widzę takiego zagrożenia. Te kwestie są dobrze opracowane i przygotowane. Dzieją się niezależnie od siebie i wszystko przebiega zgodnie z planem. Powiem więcej – jeśli chodzi o wzmocnienie jednostek pancernych na ścianie wschodniej, to na razie o dwa tygodnie wyprzedzamy zakładany harmonogram.

A czy w ramach wzmacniania ściany wschodniej nie przydałaby się dodatkowa jednostka w rejonie tzw. bramy przemyskiej?

Mogę tylko powtórzyć to, co już wcześniej powiedziałem. Dla mnie wojska nigdy nie będzie za dużo, także w tym rejonie kraju. Gdy objąłem dowodzenie 16 Dywizją, udałem się do garnizonów ściany wschodniej. To, co zobaczyłem na przykład w Siedlcach, Zamościu, Chełmie skłoniło mnie do podjęcia działań na rzecz poprawy stanu infrastruktury. Poza drobnymi remontami w tych jednostkach od dziesięcioleci nie zrobiono niczego. Od razu zaprosiłem do garnizonów gen. broni Edwarda Gruszkę, ówczesnego inspektora wsparcia, by zobaczył, w jakich realiach funkcjonuje wojsko. Udało się wtedy zmienić stan jednostek na tyle, by żołnierze mogli służyć w normalnych warunkach. Nadal jednak wymagają one inwestycji i będziemy je przeprowadzali. Takie są właśnie konsekwencje pomysłów, by zwiększać obecność wojskową tylko w jednym rejonie Polski. To efekt przekonania, że w razie wyższej konieczności uda się dojechać z zachodu. A jak się nie uda? Nasza koncepcja zakłada, że →

także na wschodzie będziemy mieli siły i środki mogące samodzielnie wykonywać zadania.

Mamy także problem z rezerwami. Liczba rezerwistów się zmniejsza, bo co roku ubywa jeden rocznik. Rośnie też ich średnia wieku i niebawem najmłodsi będą trzydziślatkami.

Rozmawiałem o tym z ministrem Antonim Macierewiczem, widzimy ten problem. Dlatego chcemy rozszerzyć szkolenie wojskowe młodych ludzi. Być może trzeba będzie stworzyć formy zachęty do jego odbycia, by zwiększyć liczbę ochotników.

Szwedzi postanowili przywrócić obowiązkowe szkolenie części poborowych...

Powód jest ten sam, co w wielu innych państwach europejskich – brak chętnych do służby wojskowej, a każdy kraj ma swoje potrzeby obronne i zadania na czas W. Doświadczenia z zawodowymi wojskami w Europie pokazały, że nie należy ulegać modom, lecz opierać się na własnych, dobrze przemyślanych rozwiązaniach.

Ograniczenie czasowe kontraktów w korpusie szeregowych miało wymuszać rotację. Czy wydłużenie służby szeregowych nie spowoduje stopniowego starzenia się armii i nie zmniejszy liczby dobrze przeszkolonych rezerwistów? Czy ich kontrakty będą przedłużane automatycznie?

Dotychczasowy system, zakładający, że w ciągu 12 lat wszyscy szeregowi awansują na podoficerów, nie uwzględniał tego, iż w wojsku jest wiele stanowisk, na których jest to praktycznie niemożliwe. Poza tym część szeregowych nie ma ambicji, by awansować, a jednocześnie są dobrzy w tym, co robią. Wy-



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Zasoby kadrowe wojska są na tyle duże, że zapewniają obsadę wszystkich stanowisk dobrze przygotowanymi do tego żołnierzami

dłużenie czasu służby nie musi oznaczać, że będziemy trzymali szeregowych do emerytury. Jeżeli w procesie rocznego opiniowania żołnierz uzyska ocenę mierną, można się z nim pożegnać. Dowódcy odsiewają tych, którzy się nie sprawdzili. Widać to po statystykach z ostatnich lat, gdy co roku z wojska odchodziło około 4 tys. żołnierzy.

Kilku emerytowanych generałów, Pana kolegów, zaatakowało politykę kadrową resortu. Zarzucili, że zmiany personalne są zbyt głębokie i za szybkie.

Nie chcę komentować tego, co robią moi koledzy. Mogę stwierdzić, że jeśli ja zdecyduję się na napisanie wniosku o rozwiązanie stosunku służbowego, nie będę

komentował tego, co dzieje się w wojsku. Jednocześnie pragnę zapewnić, że wbrew temu, co podaje część mediów, osoby wyznaczone ostatnio na stanowiska dowódcze to doświadczeni oficerowie, którzy przeszli przez kolejne szczeble dowodzenia. Zasoby kadrowe wojska są zaś na tyle duże, że zapewniają obsadę wszystkich stanowisk dobrze przygotowanymi do tego żołnierzami. ■

GEN. BRONI LESZEK SURAWSKI

jest szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. W trzydziestosiedmioletniej służbie w Wojsku Polskim wykonywał zadania na stanowiskach dowódczych, a także sztabowych w różnych jednostkach i związkach taktycznych na wschodzie oraz północy kraju. Był również szefem zarządu w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. Służył w Polskim Kontyngencie Wojskowym w Iraku. Jest doktorem w dziedzinie nauk społecznych, w specjalności dowodzenie.

V EKSTREMALNY BIEG KASZUBSKI KAPER



10 czerwca PUCK 2017

INFORMACJA: www.combat56.pl



KASZUBSKI KAPER

ORGANIZATOR



TELEWIZJA TTM

FRACOUT!



NADMORSKI 24.pl



CZWÓRKA
POLSKIE RADIO



ARTUR GOŁAWSKI

Szczepionka na czas W

Mobilna Jednostka Dowodzenia Operacjami Powietrznymi nie stworzyła nowej jakości w systemie dowodzenia siłami zbrojnymi. Jej status zamierza zmienić dowódca operacyjny, dostrzegający potrzebę posiadania w pełni funkcjonalnej struktury tego typu.

Każdy realistyczny trening sztabowy przypomina planistom, że na liście najważniejszych celów ataków czołowe miejsca zajmują stanowiska dowodzenia, będące środkiem ciężkości operacji militarnych. Ich rozbicie lub zniszczenie, zwłaszcza jeśli są elementem obrony powietrznej, jest dla atakującego kluczem do dalszych sukcesów rozpoczętej kampanii.

Również nasi sztabowcy muszą się liczyć z tym, że w razie konfliktu zbrojnego obiektami pierwszych uderzeń w Polsce byłyby ośrodki dowodzenia obroną powietrzną. Co prawda należą one do najlepiej chronionych instalacji wojskowych, ale pozostają stacjonarne, czyli są podatne na ataki z powietrza, m.in. raketowe. W tej sytuacji jest jak najbardziej uzasadnione, aby nasze siły zbrojne posiadały jednostkę mobilną, mogącą szybko zmienić położenie. Pozwoli to rozwinąć się w nowym, bezpiecz-

nym miejscu i przejąć zadania ośrodków stacjonarnych, jeśli te zostaną unicestwione przez przeciwnika.

BRAKUJĄCA ZDOLNOŚĆ

Formalnie taka jednostka istnieje w składzie Sił Zbrojnych RP od 30 grudnia 2010 roku. Wówczas podpoznański 31 Ośrodek Dowodzenia i Naprowadzania został przeformowany w Mobilną Jednostkę Dowodzenia Operacjami Powietrznymi, podlegającą Centrum Operacji Powietrznych. Był to rezultat przeglądu potrzeb operacyjnych oraz wdrażania planów rozwoju sił powietrznych na lata 2007–2018.

Niestety, ambitne plany, zakładające m.in. rozbudowę jednostki oraz zapewnienie mobilności sprzętu i dodatkowych środków transportu, spaliły na panewce. Częściowo jest to skutkiem niedostatków opracowanej w 2009 roku



Do zadań MJDOP w czasie pokoju będzie należeć wspomaganie systemu dowodzenia lotnictwem, zwłaszcza w trakcie ćwiczeń i treningów oraz szkolenia lotniczego. Podczas kryzysu i wojny jednostka będzie uzupełniać oraz odtwarzać system kierowania siłami i środkami walki, a także system rozpoznania radiolokacyjnego, w razie obezwładnienia jego części przez przeciwnika.

koncepcji Mobilnej Jednostki Dowodzenia Operacjami Powietrznymi. Częściowo natomiast wynika z przewlekłych procedur zakupowych stosowanych przez Inspektorat Uzbrojenia, a także ze zmian w strukturach dowodzenia i uwarunkowań organizacyjno-kompetencyjnych. Dlatego nie udało się dotrzymać zapisanego w tym dokumencie terminu osiągnięcia gotowości operacyjnej MJDOP, który upłynął 31 grudnia 2016 roku. Nie oznacza to bynajmniej, że przez sześć ostatnich lat jednostka była bezczynna. Wykonywała na wysokim poziomie powierzone jej zadania w systemie obrony powietrznej i to przy zmniejszonym stanie etatowym. Tyle że jej rozwój nie przebiegał w założonym kierunku i nie gwarantował zwiększenia żywotności systemu dowodzenia obroną kraju.

WOLA ZMIAN

Dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych – na podstawie wniosków wyciągniętych z przeprowadzonych ćwiczeń i treningów oraz po analizie kierunków rozwoju sytuacji militarnej, m.in. w sąsiedztwie Polski – wystąpił na początku 2016 roku do ministra obrony z wnioskiem o wyrażenie zgody na dokonanie zmian w MJDOP. Antoni Macierewicz zgodził się na aktualizację koncepcji, wobec czego oficerowie z DORSZ wraz z przedstawicielami innych jednostek, także podległych dowódcy generalnemu, opracowali nową koncepcję. Przewiduje ona uzyskanie przez MJDOP, na wzór mobilnych jednostek dowodzenia i naprowadzania, które funkcjonują w Niemczech

i USA, pełnej funkcjonalności jako Deployable Control and Reporting Center (DCRC).

„Ta zmiana została gruntownie przemyślana. Jest potrzebna i dalekosiężna”, przyznaje gen. dyw. Sławomir Wojciechowski, dowódca operacyjny. Podkreśla, że w nowym, zatwierdzonym przez ministra dokumencie zostały doprecyzowane zadania i struktury pododdziałów zabezpieczenia bojowego i logistyki, które wzmocnią mobilną jednostkę, gdy będzie wykonywała zadania poza miejscem stałej dyslokacji, w czasie ćwiczeń czy działań bojowych.

„Dzięki wyposażeniu w kontenerowe stanowiska pracy i uzupełnieniu o dodatkowych specjalistów w dziedzinie lotnictwa, wojsk raketowych i radiotechnicznych oraz rozpoznania MJDOP uzyska zdolność do planowania krótko-terminowego i wydawania rozkazów bojowych, czyli pełnienia funkcji Centrum Operacji Powietrznych w wypadku jego zniszczenia lub czasowego obezwładnienia”, wyjaśnia gen. Wojciechowski. „Zakładamy więc, że będzie miała rozwiniętą zdolność do dowodzenia lotnictwem i kierowania aktywnymi środkami walki. W ten sposób zwiększymy żywotność systemu dowodzenia komponentem powietrznym. Jednostka będzie swego rodzaju szkieletem, uodparniającą nas na realne zagrożenia wojenne”.

ATUTY Z PRZYSZŁOŚCI

Mobilna jednostka pozostanie integralnym elementem systemu dowodzenia lotnictwem, podległym, w trakcie działań w kraju, dowódcy Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwa Komponentu Powietrznego, a w wy-





DLA UZYSKANIA INTEROPERACYJNOŚCI Z SOJUSZNICZYM SYSTEMEM DOWODZENIA OBRONĄ POWIETRZNĄ I PRZECIWRAKIETOWĄ NIEZBĘDNE JEST ZADEKLAROWANIE MJDOP JAKO NATOWSKIEGO MOBILNEGO OŚRODKA DOWODZENIA I NAPROWADZANIA, ZDOLNEGO DO PRZERZUTU. WIĄŻE SIĘ Z TYM ZALICZENIE Z POZYTYWNYM WYNIKIEM TRUDNEJ CERTYFIKACJI SOJUSZNICZEJ

padku użycia za granicą – wskazanemu dowódcy szczebla taktycznego. Dzięki modułowej budowie przyszła MJDOP będzie wielozadaniowa. Jeśli zaistnieje potrzeba, częścią składu będzie mogła wspierać na przykład polskie kontyngenty lotnicze, wysyłane w ramach misji zagranicznych. Dlatego zakłada się, że uzyska zdolność do przerzutu drogą lądową, morską i powietrzną (wraz z elementami zabezpieczenia bojowego). Dlatego też cały jej etatowy personel musi mieć aktualne uprawnienia do służby zagranicznej, tj. legitymować się pozytywnymi orzeczeniami komisji lekarskich, poświadczeniami bezpieczeństwa, paszportami itd.

„Naszą ambicją jest zadeklarowanie MJDOP do sił NATO i jej standaryzacja na wzór podobnych jednostek aliantów. Przyjęcie jej do struktur sojuszniczych uzależnione będzie od zaliczenia ćwiczenia certyfikacyjnego, wzorowanego na sprawdzianie TACEVAL – tactical evaluation”, zaznacza płk pil. Mirosław Nawrocki, jeden z autorów nowej koncepcji Mobilnej Jednostki Dowodzenia Operacjami Powietrznymi z 2016 roku i zarazem nowo mianowany dowódca MJDOP.

W czasie pokoju jednostka będzie też – jak dotychczas – pełniła dyżury bojowe w miejscu stałej dyslokacji, podobnie jak 22 Ośrodek Dowodzenia i Naprowadzania i 1 Regionalny Ośrodek Dowodzenia i Naprowadzania. Oznacza to, że będzie w tym czasie nadzorowała misję „Air Policing”, wytwarzała tzw. rozpoznany obraz sytuacji powietrznej w powierzonej strefie rozpoznania radiolokacyjnego i obsługiwała odbywające się szkolenie lotnicze, w tym poligonowe.

Nowością w przyjętej koncepcji jest to, że co najmniej trzy razy w roku żołnierze MJDOP będą obowiązkowo pełnili dyżury bojowe w kontenerowych stanowiskach pracy – rozwi-

niętych w koszarach lub na poligonie. Pozwoli to kontrolerom utrzymać specjalistyczne umiejętności, niezbędne do bezpiecznej i skutecznej pracy z lotnictwem bojowym w warunkach zbliżonych do wojennych.

Koncepcja Mobilnej Jednostki Dowodzenia Operacjami Powietrznymi przewiduje m.in. zapewnienie jednostce ergonomicznych kontenerowych modułów pracy, wyposażonych w jawne i niejawne sieci teleinformatyczne, oraz zautomatyzowanych sojuszniczych i narodowych systemów wsparcia dowodzenia. Ma ona także otrzymać ruchome węzły łączności umożliwiające podłączenie do stacjonarnej i mobilnej sieci telekomunikacyjnej, a także terminale satelitarne, radiolinie troposferyczne oraz agregaty prądotwórcze.

SIŁA LUDZI

Zasadniczą kwestią dla powodzenia planu wydaje się wdrożenie nowego tzw. funkcjonalnego etatu, przewidującego, że na czas ćwiczeń i operacji bojowych jednostka będzie częściowo wzmocniana pododdziałami radiotechnicznym i dowodzenia sił powietrznych oraz sprzętem, w tym nowoczesnymi, mobilnymi stacjami radiolokacyjnymi.

Modułowe i kadrowe wzmocnienie pozwoli MJDOP wyruszyć z koszar w teren i zachować autonomiczność działania niemal w każdych warunkach terenowych i klimatycznych. Autorzy koncepcji Mobilnej Jednostki Dowodzenia Operacjami Powietrznymi przewidują, że pełną gotowość operacyjną całości sił i środków jednostka osiągnie pod koniec roku 2022, a w kolejnym przystąpi do sojuszniczej certyfikacji. Tak się stać musi, jeśli poważnie traktujemy istniejące wyzwania i zagrożenia oraz przygotowania do stawienia im czoła. ■



TWORZYMY NOWĄ JAKOŚĆ
BUDOWNICTWA

SINEVIA SP. Z O.O.

ul. Paderewskiego 6
05-100 Nowy Dwór Mazowiecki
tel. +48 22 101 21 00 do 03
fax +48 22 101 21 04



www.sinevia.pl



ponad **2000**

WYKONANYCH INWESTYCJI

Polub nas!
facebook.

www.facebook.com/sineviazrb

DLA NASZYCH KLIENTÓW,
KTÓRYMI SĄ GŁÓWNIE
SIŁY ZBROJNE RP
WYKONALIŚMY:

- BUDYNKI MIESZKALNE
- STRZELNICE
- TRENAŻERY
- HALE
- HANGARY

Zmian jest sporo, a widać je od razu po wejściu do kabiny”, przyznaje kmdr por. Waldemar Orliński, jeden z pilotów, którzy przyprowadzili anakondę ze Świdnika do Gdyni. „Poszczególne przyrządy zostały lepiej rozmieszczone, mamy do nich łatwiejszy dostęp”, tłumaczy. Po starcie dobre wrażenie nie mija. „Śmigłowiec pilotuje się naprawdę fajnie”, podkreśla Orliński. Na odpowiedź na pytanie, jak maszyna sprawuje się podczas akcji ratowniczych, trzeba jeszcze trochę poczekać. Zanim zostanie ponownie włączona w system dyżurów, lotnicy muszą się z nią zapoznać, oswoić, przejść odpowiednie szkolenie. Ale co do jednego nie ma wątpliwości. Standard tej nienowej przecież maszyny znacząco się podniósł.

Początki modyfikacji śmigłowców W-3 z Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej sięgają 2014 roku. Wówczas to Inspektorat Uzbrojenia MON podpisał z zakładami lot-

niczymi PZL Świdnik umowę na modernizację pięciu maszyn. Obejmowała ona trzy najstarsze anakondy w wersji ratowniczej oraz dwie w transportowej. W wypadku drugiego z typów zmiany wiązały się z przystosowaniem śmigłowców do niesienia pomocy na morzu. Dzięki modyfikacji wszystkie W-3 miały mieć jednolite wyposażenie, co ułatwia szkolenie załóg oraz samą eksploatację. Pod koniec 2016 roku rozpoczął się drugi etap przedsięwzięcia. Ruszyła przebudowa W-3, które do służby wchodziły w latach 1998–2002. Do Świdnika odleciał już pierwszy śmigłowiec, wkrótce dołączą do niego kolejne dwa.

LOT PO SZNURKU

Modernizacja nie obyła się bez zawirowań. Pierwsza z anakond wróciła do Gdyni dopiero po prawie trzech latach, ale teraz jest to już zupełnie inna maszyna. W Świd-

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Pełen lifting

Cyfrowy system sterowania silnikami, nowa kamera termowizyjna, wyposażenie ratownicze, wreszcie... nowe malowanie – tak zmienił się śmigłowiec ratownictwa morskiego W-3 Anakonda, który niedawno wrócił do Gdyni po modernizacji w świdnickich zakładach lotniczych.



Śmigłowiec zyskał nowoczesną kamerę termowizyjną.



Przyrządy w kabine śmigłowca zostały rozmieszczone tak, że piloci mają do nich łatwiejszy dostęp.



niku otrzymała nowy system sterowania silnikami: zamiast analogowego zamontowano cyfrowy FADEC (full authority digital engine control). „Takie rozwiązanie przede wszystkim odciąża załogę, zwiększa efektywność pracy silników, co w akcjach ratowniczych ma niebagatelne znaczenie”, podkreśla kmdr por. Wojciech Koliczko, dowódca Darłowskiej Grupy Lotniczej. Do tego doszły nowoczesne kamery termowizyjne sprzężone ze szperaczami, czyli reflektorami, które w czasie poszukiwań oświetlają wodę lub ląd. „Do niedawna kamerę obsługiwał drugi pilot, a podgląd obrazu był wyświetlany w kabinie na opuszczanym monitorze, który teraz stał się integralną częścią tablicy przyrządów, a kamerą dodatkowo może sterować technik pokładowy ze stanowiska operatora AIS [automatic identification system]”, wyjaśnia Koliczko. Zmiany objęły też wspomniany system. Służy on do automatycznej identyfikacji jednostek pływających. Kiedy załoga dostanie wezwanie do promu, statku czy kutra, będzie mogła na bieżąco sprawdzać, gdzie dana jednostka się znajduje. „Polecimy do niej niczym po sznurku”, tłumaczy kmdr por. Orliński. Anakonda dostała nowy radar pogodowy,

GPS, a wszelkie przyrządy pokładowe pracują teraz według miar anglosaskich, a nie jak dotąd w systemie metrycznym.

Modernizacji poddano też sprzęt służący do ratownictwa, jak kosze i pętle do wciągania na pokład po-

szkodowanych, a także nosze oraz respirator. „Wyposażenie ratownicze zostało rozmieszczone w belce ogonowej, dzięki czemu na pokładzie zapanował większy porządek”, przyznaje kmdr por. Koliczko.

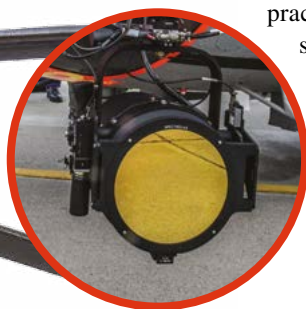
I rzecz ostatnia, ale bardzo istotna: śmigłowiec ma nowe malowanie. Wcześniej był biało-czerwony, a teraz, wzorem innych statków powietrznych lotnictwa morskiego oraz okrętów, przybrał barwę szarą. Kadłub ma jednak również pomarańczowe elementy, choćby ten na ogonie z wielkim żółtym napisem SAR (search and rescue).

POMOC NAD BAŁTYKIEM

Anakonda jest przeznaczona do prowadzenia poszukiwań oraz udziału w akcjach ratowniczych nad morzem i lądem. Może operować zarówno w dzień, jak i w nocy. „Śmigłowiec zabiera na pokład ośmiu rozbitków albo dwóch rannych w pozycji leżącej”, wyjaśnia kmdr ppor. Czesław Cichy, rzecznik Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej. Maszyny tego typu, z wyjątkiem dwóch najstarszych przebudowanych z wersji transportowej, mają po sześć zamocowanych wzdłuż kadłuba nadmuchiwanych pływaków. Gdyby któraś z anakond na skutek awarii była zmuszona wodować, lotnicy i pasażerowie będą mieli czas na ewakuację. W skład załogi śmigłowca W-3 wchodzi do pięciu osób: dowódca, drugi pilot, ratownik, technik pokładowy, a czasem jeszcze lekarz.

Brygada Lotnictwa Marynarki Wojennej ma w sumie osiem śmigłowców W-3. Sześć na co dzień stacjonuje w 43 Bazie Lotnictwa Morskiego w Gdyni, dwa pozostałe – w darłowskiej 44 Bazie Lotnictwa Morskiego. Modernizacja tych maszyn ma ogromne znaczenie – pełnią one bowiem całodobowe dyżury ratownicze. BLMW to jedyna formacja w Polsce, która prowadzi akcje poszukiwawcze i ratownicze z powietrza w polskich wodach Bałtyku. „Od początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku było ich w sumie ponad 600. Lotnicy pomogli przeszło 300 osobom”, informuje kmdr ppor. Cichy. Jeszcze do niedawna dyżury były pełnione w Gdyni i Darłowie. Kilkanaście miesięcy temu trzeba było jednak je ograniczyć do drugiej z tych baz. Powód – braki sprzętowe.

Polskie ratownictwo morskie oprócz anakond wykorzystuje jeszcze dwa śmigłowce Mi-14PŁ/R. Może je wspomagać samolot patrolowy Bryza z bazy w Siemierowicach. Pod koniec lutego piloci oblatywacze oddelegowani znad morza do zakładów w Świdniku wykryli, że niebawem do Gdyni mogą wrócić dwie kolejne maszyny W-3, które przeszły już modernizację. „Obloty są na finiszu. Wiele zależy jednak od pogody”, przyznawał kmdr por. Orliński. ■



Kamera została sprzęgnięta ze szperaczem, czyli reflektorem używanym podczas akcji poszukiwawczych i ratowniczych.

WCZEŚNIEJ ANAKONDA
BYŁA BIAŁO-CZERWONA,
A TERAZ, WZOREM
INNYCH STATKÓW
POWIETRZNYCH
LOTNICTWA
MORSKIEGO ORAZ
OKRĘTÓW, PRZYBRAŁA
BARWĘ SZARĄ

MARIAN KLUCZYŃSKI (4)

W oddali widać postać, która mimo śniegu oblepiającego narty mozolnie wspina się po północnym zboczu Stogu Izerskiego. Uwagę zwracają mundur i bagaż na plecach mężczyzny – dwa olbrzymie toboły. Żołnierz jednak posuwa się do przodu, jakby wbrew grawitacji. Z każdym kolejnym krokiem jego sylwetka staje się coraz bardziej wyraźna. Na twarzy żołnierza malują się skrajne emocje – zaciętość powoli zaczyna ustępować pola radości.

St. szer. Piotr Stelmaszyk z 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej, tak jak każdy zawodnik Military Ski Patrol 2017, od początku dźwigał ponad 20-kilogramowy plecak. Na trasie to się jednak zmieniło. „Kolega słabiej się czuł, buty narciarskie strasznie obtarły mu

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Duch partnerstwa

Military Ski Patrol to dwa dni na nartach skiturowych na trzydziestokilometrowej trasie w górzystym terenie z ponad 20-kilogramowym obciążeniem i seria zadań do wykonania.

nogi. Ja wciąż trzymałem się nieźle, mogłem więc zabrać jego plecak. Jest to trochę większy wysiłek, ale skoro dobrze się czułem, to dlaczego miałby to być dla mnie problem”, opowiada żołnierz. Pięciusetmetrowy sprint z podwójnym obciążeniem nie oznaczał jednak końca trudów. Zawodnik nie dostał też dodatkowych punktów za taki wysiłek.

„Military Ski Patrol to nie tylko dwa dni na nartach na trzydziestokilometrowej trasie z ponad 20-kilogramowym obciążeniem. Trudny górzisty teren, zimowe warunki i bytowanie nocą powodują, że zawodnicy muszą się zmierzyć z bardzo dużym obciążeniem



POMYSŁODAWCĄ
I GŁÓWNYM ORGANI-
ZATOREM MILITARY
SKI PATROL JEST
**POR. PIOTR
STYKOWSKI**, OPIE-
KUN PODLEGŁEJ
WROCŁAWSKIEJ
UCZELNI SEKCJI
SZKOLEŃ WYSOKO-
GÓRSKICH



psychofizycznym. Ale to właśnie w takich okolicznościach pojawia się duch partnerstwa. Trzyosobowe zespoły współzawodniczą ze sobą, ale też się wspierają. Takie podejście nie tylko znajduje odzwierciedlenie w poszczególnych dyscyplinach zawodów, lecz także przekłada się na służbę w wojsku”, mówi mjr Piotr Szczepański, oficer prasowy Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych. Podkreśla, że idea zawodów ma blisko stuletnią tradycję.

Pomysłodawcą i głównym organizatorem Military Ski Patrol jest por. Piotr Stykowski, opiekun podległej wrocławskiej uczelni Sekcji Szkoleń Wysokogórskich. Zeszłoroczna edycja była pierwszą tego typu imprezą w Polsce. Przygotowano ją tylko dla mundurowych. W drugiej edycji zrobiono krok naprzód, czyli rozwinęto pierwotną ideę zawodów tak, by jeszcze podnieść poziom trudności. Uczestnicy musieli zarówno pokonać trudną górską trasę, jak i sprostać zadaniom wymagającym specjalistycznej wiedzy m.in. z ratownictwa lawinowego czy wspinaczki turowej.

Przy planowaniu zawodów por. Piotr Stykowski czerpał inspirację z dyscypliny sportowej będącej u szczytu popularności w latach dwudziestych i trzydziestych minionego wieku. Kombinacją biegów narciarskich, wspinaczki górskiej oraz strzelectwa były wówczas zainteresowane przede wszystkim jednostki wojskowe, ale w 1924 roku konkurencja trafiła do oficjalnego programu I Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Chamonix. Z czasem military patrol został uproszczony i przerodził się w biathlon. Dziś taka pierwotna, czyli rozbudowana i trudniejsza wersja zawodów odpowiada żołnierzom, którzy chcą sprawdzić granice swojej wytrzymałości.

ZASYPANY PRZEZ LAWINĘ

Na Hali Izerskiej odnotowuje się rekordowe temperatury sięgające -40 °C, ale też wyjątkowo intensywne opady śniegu o skali niespotykanej w żadnej innej części Europy. Nic zatem dziwnego, że ten polski biegun zimna żołnierze wybrali na konkurencję polegającą na odnalezieniu kolegi zasypanego przez lawinę.

Jeżeli ofiara lawiny nie dozna urazów mechanicznych i zostanie odnaleziona w ciągu 18 minut, to ma około 90% szans na przeżycie. Według Przemysława Ćwieka, ratownika Grupy Karkonoskiej GOPR, każda minuta zwłoki sprawia, że szanse te gwałtownie maleją. W takiej walce z czasem niezbędne jest tzw. lawinowe ABC, w skład którego wchodzi detektor, sonda i łopatką. „Uczestnicy Military Ski Patrol za pomocą detektora mają odszukać zasypanego kolegę. Ofiarę symuluje płytka, która emituje fale o częstotliwości 457 MHz.



OSTATNIA KONKURENCJA BYŁA WALKĄ DO OSTATNIEJ KROPLI POTU. WCIĄGALIŚMY ZAWODNIKA, KTÓRY Z PLECAKIEM WAŻYŁ OKOŁO 100 KILOGRAMÓW

Jeżeli żołnierz dotknie jej sondą, to na naszym urządzeniu wyświetli się odpowiedni komunikat. Jest to specjalny zestaw, który wykorzystujemy do tego typu ćwiczeń, ale działanie jest identyczne jak w czasie prawdziwej akcji ratowniczej”, opowiada Przemysław Ćwiek i podkreśla, że dla operujących w górach żołnierzy znajomość tych technik to elementarna wiedza. W wypadku zasypiania przez lawinę pomocne może być również dodatkowe wyposażenie, takie jak plecak z balonem wypornościowym czy system pozwalający niwelować stężenie wydychanego dwutlenku węgla. Przede wszystkim jednak żołnierz powinien mieć tak duże doświadczenie, by móc uniknąć terenów zagrożonych lawinami. To według specjalistów jedyna metoda gwarantująca bezpieczeństwo.

„Takich umiejętności nie da się zdobyć w ciągu jednego dnia. Konieczne są systematyczne szkolenia, doświadczenie wynikające z przebywania w górach, umiejętności odczytywania zjawisk pogodowych i rozpoznawania zmian zachodzących w strukturach śniegu”, tłumaczy Przemysław Ćwiek i jednocześnie nie szczędzi pochwał żołnierzom, którzy mieli okazję wykazać się podczas zawodów. „To ich drugi dzień, maszerują w trudnych zimowych warunkach, przez cały czas są narażeni na wychłodzenie. Mimo wszystko bardzo dobrze radzą sobie z zadaniami i bez problemu lokalizują zasypanych”.

DEPTALI IM PO PIĘTACH

Po kilku godzinach wędrówki wyznaczoną trasą podchorążowie z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych mają do mety tylko kilkadziesiąt metrów. Pokonanie tej odległości wymaga jednak nie tylko



MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)

Komandosi z Jednostki Wojskowej Nil wygrali Military Ski Patrol 2017. Trzeba jednak przyznać, że żołnierze z Sekcji Szkoleń Wysokogórskich cały czas deptali im po piętach.



uruchomienia awaryjnych pokładów sił, lecz także sprytu. Ostatnie zadanie Military Ski Patrol polega na ewakuacji ранnego za pomocą toboganu, czyli improwizowanych noszy. Powstaje on z połączenia dwóch nart i platformy (np. karimaty), na których można położyć poszkodowanego. Podczas jego transportu po równym terenie i zmrożonym śniegu takie prowizoryczne sanie sprawdzają się znakomicie. Organizatorzy zawodów postarali się jednak o to, by zawodnicy na długo zapamiętali to zadanie – musieli ранnego wyciągnąć na górę. „Ostatnia konkurencja była walką do ostatniej kropli potu. Wciągaliśmy zawodnika, który z plecakiem ważył około 100 kilogramów. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę, że mokry śnieg mocno utrudni nam zadanie. Konieczne było przebudowanie toboganu, ponieważ ze względu na zapadający się śnieg nasz kolega znajdował się za nisko i powodował niepotrzebny opór. Na dodatek wilgoć odklejała foki i ześlizgiwały się one z nart”, sierż. pchor. Piotr Synkiewicz przez kilka minut usiłuje złapać oddech. Mimo dobrego przygotowania i wieloletniego doświadczenia górskiego ta konkurencja była dla niego prawdziwym wyzwaniem. Ukojenia nie przynosi nawet świadomość, że jego zespół znalazł się w ścisłej czołówce.

W tym samym czasie sekcja komandosów z Jednostki Wojskowej Nil porusza się wzdłuż zbocza w rekordowym tempie. Ich kolega

przymocowany jest do SKED-u, czyli taktycznych noszy rolowanych. Dzięki specjalistycznemu ekwipunkowi linę mety przekraczają w niespełną pięć minut. „Kornik”, instruktor opiekujący się grupą specjalsów, wyjaśnia, że ich siła to wypadkowa umiejętności, wytrzymałości i dobrego sprzętu.

„W tym zadaniu widać było wszystkie zalety SKED-u. Przede wszystkim jest to gotowe rozwiązanie, więc nie musieliśmy budować toboganu z nart. Wykorzystaliśmy również znajdujące się w zestawie szelki i linę. Na co dzień używamy noszy tego typu w czerwonej taktyce, np. podczas kontaktu z przeciwnikiem”. „Kornik” zaznacza przy tym, że na nic zda się specjalistyczny ekwipunek, jeśli trafi do nieprzygotowanych osób.

Ostatecznie to właśnie komandosi z Jednostki Wojskowej Nil wygrali Military Ski Patrol 2017. Trzeba jednak przyznać, że żołnierze z Sekcji Szkoleń Wysokogórskich cały czas deptali im po piętach. Mjr Piotr Szczepański nie ukrywa, że w ten sposób spełnił się główny zamysł zawodów: „Kaźda konkurencja ma określony cel i może przydać się ludziom gór – zarówno tym, którzy wspinają się zawodowo, jak i spędzającym czas w górach rekreacyjnie. Zawody mają praktyczny charakter, ich formuła umożliwia podpatrywanie innych i przejmowanie najlepszych rozwiązań. Wszystko, co tu robiliśmy, może przydać się żołnierzom w przyszłości, nie tylko w kolejnej edycji zawodów”.



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Specjalnie dla medyków

Czy w pół roku można wyszkolić przeciętnego operatora na medyka sił specjalnych? Można! Przekonali się o tym specjaliści z kilku krajów NATO. W kursie medycyny pola walki uczestniczyli także żołnierze JWK i Formozy.

Smigłowiec, którym przemieszczają się żołnierze sił specjalnych, zostaje zestrzelony przez wojska przeciwnika. W wypadku zostaje poszkodowanych czterech operatorów, jeden jest w stanie ciężkim. Na szczęście wśród specjalsów jest medyk. To od jego umiejętności zależy, czy żołnierz przeżyje. Dodatkowym utrudnieniem jest to, że śmigłowiec ratunkowy MEDEVAC nadleci z pomocą nie wcześniej niż za 20 godzin... Taki scenariusz wydarzeń przygotowano dla żołnierzy wojsk specjalnych uczestniczących kilka tygodni temu w kursie dla medyków pola walki. Wzięło w nim udział 23 operatorów z Niemiec, Włoch, Norwegii, Szwajcarii, Austrii, Belgii, Holandii, Grecji, Stanów Zjednoczonych i Polski. Było to pierwsze takie szkolenie zorganizowane w Europie według wytycznych NATO.

KURS BYŁ PROWADZONY BARDZO INTENSYWNIE. ŻOŁNIERZE KAŻDEGO DNIA MIELI 10 GODZIN ZAJĘĆ. CZAS WOLNY RÓWNIEŻ POŚWIECALI NA NAUKĘ

NAUKA NA NAJWYŻSZYM POZIOMIE

Kurs NATO Special Operations Combat Medic trwał 22 tygodnie i był prowadzony w Międzynarodowym Centrum Szkoleniowym Sił Specjalnych niedaleko Stuttgartu w Niemczech. Placówka ta działa od kilkunastu lat i zajmuje się głównie szkoleniem żołnierzy, m.in. tych, którzy wywodzą się z sił specjalnych. Centrum jest akredytowane przez NATO, a powstało w wyniku porozumienia zawartego przed laty między kilkoma krajami: Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią, Belgią, Holandią, Niemcami, Grecją, Turcją, Danią i Włochami. Stworzeniu placówki przyświecał jeden cel: chodziło o miejsce, gdzie mogliby się szkolić żołnierze w różnych dziedzinach wojskowego rzemiosła. Dziś w Międzynarodowym Centrum odbywają się głównie treningi na szczeblu taktycznym. Prowadzone są zajęcia z walki w bliskim kontakcie, ćwiczenia w posługiwaniu się bronią, szkolenia z planowania operacji specjalnych, kursy dla snajperów. Po raz pierwszy zorganizowano tu kurs dla medyków sił specjalnych.

Skąd pomysł, by w Niemczech szkolić ratowników pola walki? Z taką inicjatywą wystąpiło dwa lata temu dowództwo NATO w Belgii. Uznało bowiem, że w Europie powinien być prowadzony kurs dla medyków sił specjalnych o określonym, wysokim standardzie. Chodziło o szkolenie według programu podobnego do obowiązującego w Stanach Zjednoczonych na kursach SOCM (Special Operations Combat Medic). Specjalistyczne szkolenia, które odbywają się w Forcie Bragg w USA, są niezwykle przydatne, a przy tym bardzo drogie. Poza tym liczba miejsc dla zagranicznych kursantów jest ograniczona. By usprawnić proces kształcenia medyków sił specjal-

nych, kwatera NATO w Mons zdecydowała o stworzeniu europejskiego programu.

O planach dotyczących kursu NATO SOCM w Europie dowiedział się rok temu „Sikora”, podoficer z Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu. Za zgodą przełożonych skontaktował się z organizatorami szkolenia i... otrzymał zaproszenie do współpracy z International Special Training Center w Pfullendorf niedaleko Stuttgartu. Komendant Centrum zaproponował mu pracę w charakterze instruktora. „Bardzo zależało mi na wyjeździe. To była dla mnie szansa na rozwój zawodowy, a także okazja, by aktywnie uczestniczyć w procesie rozwoju medycyny pola walki. Otrzymałem zgodę i poparcie przełożonych. W uzgodnienia mojego wyjazdu zaangażowało się m.in. Dowództwo Komponentu Wojsk Specjalnych i Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych”, opowiada.

Wybór „Sikora” nie był przypadkowy. Podoficer jest jednym z najlepiej wyszkolonych medyków pola walki w polskiej armii. Od 16 lat jest związany z Jednostką Wojskową Komandosów w Lublińcu, a od ponad dekady zajmuje się medycyną taktyczną. Na własnej skórze przekonał się, jak ważną rolę na polu walki odgrywa ratownik medyczny. Podczas drugiej zmiany PKW w Iraku został dwukrotnie ranny. Za pierwszym razem kula z kałasznikowa przebiła jego hełm, ale na szczęście został draśnięty tylko w ucho. Za drugim – postrzelono go w bark. Kula przebiła wprawdzie mięśnie, ale nie uszkodziła kości i nerwów. Po kilkutygodniowym leczeniu w szpitalu polowym wrócił do służby w swoim oddziale. „Byłem pacjentem, a później postanowiłem, że stanę po tej drugiej stronie. Chcę zajmować się tą dziedziną, bo mam świadomość, że dobrze wyszkolony medyk może uratować życie rannemu na polu walki”, przyznaje. Na misje wyjechał jeszcze dwa razy: służył w Iraku i Afganistanie. Jest jednym z pierwszych żołnierzy odznaczonych Orderem Krzyża Wojskowego.

Przy wyborze „Sikora” na instruktora międzynarodowego ośrodka nie mniej ważne niż jego doświadczenie bojowe były zdobyte wcześniej kwalifikacje. Komandos jest bowiem jednym z dwóch Polaków, którzy ukończyli kurs SOCM w USA – jeden z najlepszych przeznaczonych dla medyków sił specjalnych. Amerykańskie szkolenie trwa 36 tygodni i jest podzielony na sześciotygodniowe bloki tematyczne. Żołnierze poznają zasady ratownictwa cywilnego, podstawy anatomii, fizjologii, patofizjologii, farmakologii i medycyny wojskowej. Zdają egzaminy z podstawowych zabiegów ratujących ➔



NOWE SZKOLENIA DLA MEDYKÓW POŁA WALKI

Kursy z medycyny pola walki o podobnej tematyce odbędą się także w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie. Na pomysł zorganizowania takiego szkolenia wpadli komandos z Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca: „Wir”, czyli st. sierż. rez. Krzysztof

Pluta, i „Sikor”. Według przygotowanej przez nich koncepcji kursy będą prowadzone na dwóch poziomach: podstawowym (Combat Medical First Responder) oraz zaawansowanym (Combat Trauma Management). W szkoleniu podstawowym mogą wziąć udział osoby niezwiązane z medycyną, czyli np. żołnierze, funk-

cjonariusze innych służb mundurowych oraz członkowie organizacji proobronnych. Natomiast kurs zaawansowany jest przeznaczony dla osób, które mają już przygotowanie medyczne, np. ratowników cywilnych albo medyków wojskowych. Za-

życie, a także z bardziej zaawansowanych, które w cywilu są zarezerwowane tylko dla lekarzy. Żołnierze, ćwicząc na zwierzętach, uczą się, jak podtrzymywać życie przez 72 godziny. Muszą reanimować i intubować postrzelone zwierzę, zatrzymywać krwotoki, podawać antybiotyki, kontrolować temperaturę ciała oraz parametry odnoszące się do funkcjonowania organizmu. Później jako paramedycy odbywają praktyki w amerykańskich szpitalach, najczęściej w oddziałach ratunkowych i izbach przyjęć.

PÓŁROCZNY WYCISK

Do Międzynarodowego Centrum Szkolenia Sił Specjalnych w Niemczech „Sikor” wyjechał rok temu. Tam dołączył do zespołu instruktorów – lekarzy, medyków sił specjalnych – PJ-ów i pielęgniarzy. Kadre instruktorską stanowią Amerykanie, Niemcy, Włosi, Belgowie, Holendrzy i Norwegowie. Specjaliści przez pół roku wspólnie pracowali nad szczegółowym programem kursu i opisywali każdą godzinę zajęć. „Opieraliśmy się na wytycznych NATO, ale program tworzyliśmy od podstaw. To było niezwykle pracowite zajęcie, jednak wszyscy mieliśmy świadomość, że od naszej pracy zależą efekty szkolenia. Można śmiało powiedzieć, że stworzyliśmy jeden z najlepszych kursów dla medyków pola walki w NATO”, opowiada komandos.

Wyjaśnia także, że choć pracowali zespołowo, każdy z wykładowców był specjalistą w innej dziedzinie. Polak odpowiadał merytorycznie za przygotowanie zajęć z takich m.in. modułów szkoleniowych, jak: opieka nad pacjentem urazowym (Trauma Fundamentals), taktyczna opieka nad poszkodowanymi na polu walki (Tactical Combat Casualty Care – TCCC lub TC3) oraz opieka nad pacjentem w czasie przedłużającej się

ewakuacji medycznej, czyli do 36 godzin (Prolonged Field Care – PFC).

Do udziału w kursie zgłosiło się kilkudziesięciu kandydatów. Zanim jednak szkolenie ruszyło, operatorzy musieli przystąpić do egzaminów wstępnych. Zdawali test ze sprawności fizycznej (zaliczali m.in. marszobiegi na 3 km, podciąganie na drążku, pompki i brzuszki oraz w parach transport poszkodowanego na noszach do karetki na czas). Musieli także potwierdzić znajomość języka angielskiego oraz zdać test z podstawowych wiadomości z zakresu medycyny pola walki (zgodnie z wytycznymi TCCC). Z Polski na egzamin przyjechało pięciu żołnierzy z GROM-u, JWK, Agatu i Formozy.

Ostatecznie w zajęciach uczestniczyło 23 operatorów z Niemiec, Włoch, Norwegii, Szwajcarii, Austrii, Belgii, Holandii, Grecji i Stanów Zjednoczonych oraz dwóch Polaków z Jednostki Wojskowej Komandosów i Formozy.

Kurs został podzielony na dziewięć modułów. Żołnierze poznawali anatomię i fizjologię człowieka, mieli zajęcia z „traumy”, czyli opieki nad pacjentem urazowym. Uczyli się zasad planowania operacji specjalnych pod kątem zabezpieczenia medycznego i opieki nad poszkodowanym na polu walki, uczestniczyli w zajęciach z medycyny klinicznej oraz ćwiczyli różne techniki ewakuacji. Zgodnie z programem, po zaliczeniu trzydniowego ćwiczenia sprawdzającego ich wiadomości, rozpoczęli trzytygodniowe praktyki na oddziałach intensywnej opieki w dwóch szpitalach wojskowych w Niemczech.

Do najtrudniejszych zagadnień omawianych na zajęciach należały te związane z opieką nad pacjentem podczas przedłużającej się ewakuacji medycznej. „Dla naszych sił zbrojnych to jest może nowość, bo dotąd podczas misji bojowych czas oczekiwania na śmigłowiec MEDEVAC wynosił średnio 40 minut. W takich przypadkach nie

jęcia będą prowadzone w Centrum Symulacji Medycznej WIM.

Szkolenie podstawowe potrwa pięć dni (40 godzin zajęć). Podczas zajęć teoretycznych i praktycznych kursanci będą się uczyć przede wszystkim tego, w jaki sposób rozpoznać stan zagrożenia życia u poszkodowanego i jak wówczas postępować. Szkolenie będzie prowadzone zgodnie z aktualnymi amerykańskimi wytycznymi TC3. Po każdym dniu zajęć uczestnicy będą musieli zdać egza-

min pisemny, a na koniec kursu sprawdzian pisemny i praktyczny. Kursanci będą się uczyć m.in. tamowania masywnych krwotoków z kończyn z wykorzystaniem opasek uciskowych, udrażniania dróg oddechowych, zaopatrywania ran klatki piersiowej, ochrony przed hipotermią oraz postępowania w przypadku urazów głowy.

Kurs zaawansowany, który potrwa dziesięć dni (80 godzin szkoleniowych), obejmie m.in. zasady Prolonged Field

Care. Scenariusz zajęć będzie opierał się na doświadczeniach medyków zdobytych na misjach w Iraku i Afganistanie. Kursanci będą się uczyć wykonywania badań urazowych, tamowania masywnych krwotoków, zaawansowanych metod udrażniania dróg oddechowych, drenażu opłucnej oraz transfuzji krwi na polu walki, a także poznają zasady płynoterapii i farmakoterapii. Kurs zakończy się praktycznym i pisemnym egzaminem. ■

ma mowy o przedłużającej się opiece medycznej. Ale nasi sojusznicy mają już takie doświadczenia, na przykład z operacji prowadzonych w Afryce, gdzie wiedza z zakresu PFC była przydatna”, wyjaśnia „Sikor” i dodaje: „Scenariusze zajęć nie były wyssane z palca. Bazowaliśmy na zdarzeniach z pola walki”. W czasie szkolenia żołnierze uczyli się przede wszystkim, jak unikać podstawowych błędów medycznych, jak radzić sobie z różnymi rodzajami wstrząsów i jak oczyszczać rany. „Zwracaliśmy uwagę na to, że nawet pozornie błahе błędy medyka mogą mieć poważne konsekwencje. Tak jest choćby w przypadku, gdy opaska uciskowa zbyt długo pozostaje założona na nodze. Może to doprowadzić nawet do amputacji kończyny”, wyjaśnia ratownik.

Operatorzy ćwiczyli różnego rodzaju techniki postępowania. Uczyli się m.in. działania w fazach „ruck” (korzystanie tylko z tego, co jest w plecaku medyka), „truck” (używanie wyposażenia wozu bojowego), „house” (opieka sprawowana w pomieszczeniu, np. w szpitalu) oraz „plane” (opieka medyczna na pokładzie statku powietrznego). Wykonywali zabiegi resuscytacji płynowej, przeprowadzali transfuzję krwi pełnej w polu, zaopatrywali zainfekowane rany i przeciwdziałali rozwinieciu infekcji, korzystali ze środków farmakologicznych, jakie na co dzień są używane w szpitalach, oraz poznawali procedury związane z opieką pielęgniarską. Uczyli się także o wykorzystywaniu środków teleinformatycznych do kontaktów z lekarzem, czyli o telemedycynie. Dzięki takiemu rozwiązaniu lekarz może poinstruować, w jaki sposób zadbać o pacjenta. „Mówiliśmy także, że w sytuacji przedłużającej się opieki medycznej ważne jest, by zespół dbał również o siebie. W przeciwnym razie cały team okaże się drugim poszkodowanym. Trzeba zatem pamiętać o odpowiedzialności i tak rozdzielić obowiązki, by przy poszkodowa-

nym czuć w systemie zmianowym. Medyk powinien dobrze dzielić zadania i nauczyć członków zespołu, jak wykonywać niektóre czynności, np. notować parametry życiowe”, uzupełnia instruktor.

Uczestnicy kursu pracowali w niewielkich grupach – na dwóch szkolonych żołnierzy przypadał jeden instruktor. Zajęcia praktyczne były prowadzone w kontenerach przypominających miniszpital. Operatorzy mierzyli się w nich z różnymi „przypadkami” i scenariuszami. Musieli poradzić sobie np. ze wstrząsem hipowolemicznym, udrażniać drogi oddechowe i przeprowadzać transfuzję krwi. Część zabiegów wykonywali na fantomach, część ćwiczyli na sobie. Uczyli się także podawania leków. Oczywiście w opakowaniach po lekach opatrzonych oryginalnymi etykietami była sól fizjologiczna.

Równie intensywnie szkolili się podczas zajęć na temat medycyny pola walki TCCC oraz postępowania z pacjentem urazowym (Trauma Fundamentals). „Mieliliśmy świetne zaplecze szkoleniowe. Zajęcia odbywały się w salach wykładowych, salach ćwiczeń, na poligonie i w ośrodku szkolenia zurbanizowanego. Dysponowaliśmy pojazdami opancerzonymi i nieopancerzonymi, a nawet dwoma medycznymi śmigłowcami Black Hawk”, opowiada „Sikor”. Żołnierze wykorzystywali m.in. ćwiczebne materiały wybuchowe, granaty hukowe, różnego rodzaju amunicję.

„Kurs jest bardzo intensywny. Żołnierze każdego dnia mieli dziesięć godzin zajęć. Czas wolny również poświęcali na naukę. Tydzień zajęć zawsze kończył się egzaminem. Sprawdziany kursanci mieli także po zakończeniu każdego z modułów tematycznych i na koniec szkolenia. Muszę przyznać, że wszyscy byli bardzo skupieni i zaangażowani. Dzięki temu szczęśliwie dotarli do końca kursu”, wyjaśnia komandos z JWK. Kolejne tego typu szkolenie rozpocznie się jesienią 2017 roku. ■

EURO POL TECH

26-28.04
2017
Gdańsk

VIII. MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA POLICYJNA

V. MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
NAUKOWA CENTRALNEGO LABORATORIUM
KRYMINALISTYCZNEGO POLICJI

MIĘDZYNARODOWE TARGI
TECHNIKI I WYPOSAŻENIA
SŁUŻB POLICYJNYCH
ORAZ FORMACJI
BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Sierżant Sobota z Colorado Springs

Jak chłopak ze Śląska trafił do amerykańskiej armii.

Zwiedzam obozowisko Karliki na żagańskim poligonie, gdzie od dwóch miesięcy stacjonuje pododdział pancerno-zmechanizowany wchodzący w skład 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej armii USA. Przewodnikiem po wojskowym miasteczku jest kpt. Scott Walters, rzecznik prasowy grupy. Słyszę, że towarzyszący mu starszy sierżant doskonale mówi po polsku.

PIZZA DLA AMERYKANÓW

Dwie godziny później w żagańskim kompleksie koszarowym mam okazję do dłuższej rozmowy z podoficerem. Siadamy w pomieszczeniu obok stołówek, gdzie jedzą posiłki sztabowcy i dowództwo amerykańskiej brygady. Trwa lunch, bo minęła godzina 13.00. Starszy sierżant Tomasz Sobota wyjaśnia mi, że u nich kolejny i zarazem ostatni posiłek żołnierze jedzą około godziny 17.00. „A co później? Wieczorem jesteście głodni?”, pytam żołnierza. „Później pod bramę koszar jeden za drugim podjeżdżają samochody z pizzą ze wszystkich lokali, które są w Żaganiu”, wyjaśnia. Opowiada także o tym, jak na początku pobytu w naszym kraju dziesiątki razy musiał wyjaśniać kolegom, dlaczego na śniadanie polscy kucharze nie serwują im jajecznicy z bekonem i innych takich smakołyków. „Miałem już dosyć tłumaczenia, czym różni się polska kuchnia od tej zza oceanu. Z czasem przestali zadawać pytania. Chyba uznali, że polskie sery, wędliny i dżemy też mogą być smaczne”, opowiada Sobota i zaczyna moc-

no kaszleć. Wyjaśnia, że jest bardzo przeziębiony. Tłumaczy, że to wina logistyków ich brygady, którzy źle zaplanowali transporty przez ocean. W styczniu w okresie dużych mrozów żołnierze grupy trafili do naszego kraju bez ciepłych kurtek.

Przed przyjazdem do Polski Sobota dostał zadanie, by poinstruować amerykańskich kierowców, jak należy jeździć po polskich drogach. Oburza się, gdy wspominam, że w krótkim czasie doszło już do kilku kolizji z udziałem samochodów amerykańskiej armii: „W tych wypadkach nie uczestniczyli kierowcy z 3 Grupy Bojowej. Razem z nami w fazie rozmieszczania są pododdziały logistyczne z innej brygady stacjonującej na terenie Niemiec”.



SERIA PRZYPADKÓW

Chciałem porozmawiać ze st. sierż. Tomaszem Sobotą, pełniącym w dowództwie amerykańskiej grupy bojowej funkcję tłumacza, bo zainteresowało mnie, co chłopak ze Śląska robi w obcej, chociaż sojuszniczej, armii. Dowiedziałem się, że urodził się 36 lat temu w Zabrze, a wychował w Bytomiu. Tam ukończył szkołę podstawową i średnią, a na Uniwersytecie Śląskim uzyskał dyplom magistra resocjalizacji i rozpoczął pracę w Urzędzie Miejskim w Wydziale Świadczeń Rodzinnych. Myślał o założeniu rodziny, ale zarobki wynoszące około 1200 zł miesięcznie nie dawały perspektyw na życie na względnie przyzwoitym poziomie. Mimo to nigdy nie zamierzał opuścić kraju.



W 2004 roku kolega, który wyemigrował do Wielkiej Brytanii, namówił go jednak, aby ubiegał się o wizę do Stanów Zjednoczonych. Zrobił to, bo nie chciał przyjacielowi sprawić przykrości. Wziął udział w loterii wizowej organizowanej każdego roku przez rząd USA. Wiedział, że do wygrania jest 50 tys. zielonych kart. Miał świadomość, że ubiegają się o nie miliony ludzi z całego świata, więc był przekonany, że nic z tego nie wyjdzie. Zdziwił się, gdy po jakimś czasie listonosz przyniósł kopertę opatrzoną pieczętą ambasady amerykańskiej we Frankfurcie. Wewnątrz było kilka dokumentów po angielsku. „Wyglądały jak odbite na ksero. Pomyślałem, że ktoś zrobił mi kawał”. Uwierzył, że to jego przepustka do USA, dopiero gdy kilka dni później dostał pismo potwierdzające z ambasady w Warszawie.

PIERWSZE MIESIĄCE W KAMASZACH

„Gdy wylądowałem w Nowym Jorku, miałem wrażenie, że porwałem się z motyką na słońce. Zagubiony w wielkim obcym mieście musiałem szybko znaleźć pracę. Na dodatek nie znałem języka, bo w Polsce uczyłem się niemieckiego”, opowiada. Żeby się utrzymać w jednym z najdroższych miast w Ameryce, niekiedy pracował jednocześnie w trzech miejscach przez siedem dni w tygodniu.

O służbie w wojsku myślał jeszcze w Polsce, po maturze. „Panowie w wojskowej komendzie uzupełnień tak mnożyli problemy, że skutecznie wybili mi ten pomysł z głowy”, wspomina. Drugą próbę podjął po studiach. „Chciałem ukończyć sześciomiesięczny kurs i zostać dowódcą. Tym razem też się nie udało”. Do tego pomysłu wrócił w USA. Co prawda nie miał amerykańskiego obywatelstwa, ale z zieloną kartą mógł starać się o kontrakt w wojsku. Trzeba było jednak zdać egzamin. Za pierwszym razem zabrakło mu kilku punktów, ale po kilkunastu miesiącach zaliczył go bez problemu. Był rok 2008. Został żołnierzem amerykańskiej piechoty i podpisał kontrakt na trzy i pół roku.

Pierwszych trzech miesięcy szkolenia w Forcie Benning w stanie Georgia nie wspomina mile. Potwierdza, że tak jak na filmach, sierżanci szkolący młodych ciągle na nich się wydzierają, a czasami nawet znęcają się nad nimi psychicznie. „Nie znałem wtedy dobrze języka, więc ich krzyki nie robiły na mnie wielkiego wrażenia”, przyznaje z uśmiechem. W czasie unitarki nie miał żadnych problemów kondycyjnych. Zawsze lubił sport i chociaż miał wówczas 28 lat, formą przewyższał siedemnasto-, osiemnastolatków, którzy służyli w jego plutonie. W Stanach Zjednoczonych można bowiem trafić do wojska już w wieku 17 lat, ale za zgodą rodziców.

Po trzymiesięcznym szkoleniu w Forcie Benning żołnierze otrzymywali rozkaz wyjazdu do określonych jedno-



ARCH. PRYWATNE

**KIEDY W USA
ŻOŁNIERZ IMIGRANT
WSTĘPUJE
DO ARMII,**

**MA SKRÓCONY CZAS
OCZEKIWANIA NA
TERMIN EGZAMINU
UPRAWNIAJĄCEGO
DO OTRZYMANIA
OBYWATELSTWA
AMERYKAŃSKIEGO**

stek. „Praktycznie wszystkie plutony jechały do bazy, z której po kilku tygodniach ich jednostki przerzucano do Afganistanu. W armii USA jest tak, że jak jest wyjazd na misję, to jadą wszyscy. Na wojnę rusza cały stan osobowy – od kucharzy po dowódcę”, tłumaczy. Wtedy jedna kompania wyjechała do Fort Luis w stanie Waszyngton, a stamtąd do Afganistanu. Druga, prawie prosto ze szkolenia, do Korei Południowej.

MISJA AFGANISTAN

„Byłem wyjątkiem. Ze względu na sytuację rodzinną jako jedyny trafiłem do bazy na terenie Niemiec”. Zaraz bowiem po przylocie do Stanów Zjednoczonych wrócił na krótko do kraju, żeby ożenić się z dziewczyną, którą tam zostawił. Teraz jego żona przebywała jeszcze w Polsce. „Moja kompania zmechanizowana strykerów, do której zostałem przydzielony miesiąc wcześniej, wróciła z Iraku. Wiedziałem więc, że nie grozi mi wyjazd na wojnę przez dwa lata. W Niemczech przełożeni

załatwili mi dom i mogłem sprowadzić żonę z dzieckiem”, opowiada sierż. Sobota.

Po dwóch latach razem ze swoją jednostką na 11 miesięcy wyjechał do Afganistanu. Trafił do bazy na południu kraju, w okolicach Kandaharu. Najpierw w stopniu kaprała był kierowcą stryker, później strzelcem, a pod koniec zmiany dowódcą drużyny. „Był to niebezpieczny rejon. Jednostka, którą zmienialiśmy, straciła około 70 żołnierzy, wielu było rannych”. W tamtym czasie otworzyło się dla niego tzw. okno transferowe i rok przed terminem wygaśnięcia kontraktu mógł podpisać kolejny. „Podpisałem więc nowy na kolejne cztery lata”.

W czasie naszej rozmowy o wojnie jakby na komendę gdzieś niedaleko na poligonie rozległy się armatnie strzały. Wiem, że niektóre amerykańskie pododdziały sprawdzają swoje uzbrojenie po długiej podróży. Dla wielu jednak Żagań jest tylko punktem przesiadkowym przed wyruszeniem w dalszą podróż na Litwę, Węgry czy do Rumunii. Sierż. Sobota zdradza mi, że chciałby służyć na terenie Polski. Po chwili strzały milkną i wracamy do rozmowy o Afganistanie.

„Co ciekawe, rok przed zakończeniem tego drugiego kontraktu kolejne okno transferowe otworzyło się dla mnie także w Afganistanie. Trzecie zobowiązanie służby w armii USA, które ciągle trwa, podpisałem wtedy na sześć lat”, informuje sierżant. Zawarcie każdego kolejnego kontraktu jest związane z ponownym złożeniem przysięgi wojskowej. Składa się ją na sztandar narodowy, w miejscu wybranym przez żołnierza, w obecności oficera, którego on wybierze i który taką przysięgę odbiera.

Za drugim razem na miejsce ceremonii wybrał szczyt najwyższej góry w okolicach bazy, w której stacjonował. „W wyznaczonym dniu wyszliśmy całym plutonem na patrol. Weszliśmy na górę. Dwóch żołnierzy trzymało flagę. Ja stałem przed swoim dowódcą i powtarzałem słowa roty. Wszystko odbyło się bardzo uroczystie. Nie przypuszczaliśmy jednak, że powiewająca na szczycie flaga przyciągnie uwagę talibów. Gdy tylko skończyliśmy ceremonię, rozpoczęli ostrzał. Na odsiecz przyszedł nam pododdział Navy Seals. Walki trwały długo, zginęło wiele osób”, opowiada podoficer.

W czasie służby w Afganistanie często dochodziło do tak niebezpiecznych zdarzeń. „O tych najtrudniejszych nie mogę jednak mówić”, waha się, ale w końcu opowiada o jednym epizodzie. „Podczas drugiej tury transporter, którym jechałem, wjechał na minę. Po eksplozji rozpoczął się ostrzał. Po tym incydencie leczyłem się w polowym szpitalu, ale dotrwałem do końca swojej zmiany”. Dopiero po powrocie do Niemiec okazało się, że ma uszkodzony kręgosłup. Dostał wtedy medal Purpurowe Serce. „Dzięki temu mogę teraz w Stanach Zjednoczonych na

przykład za darmo zarejestrować samochód. Z tego tytułu mam także wiele innych przywilejów. Możliwe, że moje dziecko będzie mogło dostać od państwa pieniądze na studia”, mówi z nadzieją.

DWIE FLAGI

Kiedy w USA żołnierz imigrant wstępuje do armii, ma skrócony czas oczekiwania na termin egzaminu uprawniającego do otrzymania obywatelstwa amerykańskiego. W zwyczajnym trybie trzeba czekać pięć lat. „Dokumenty o przyznanie obywatelstwa mogłem złożyć już w pierwszym miesiącu po rozpoczęciu służby, w bazie na terenie Niemiec, a pięć miesięcy później dostałem zaproszenie na egzamin. I tak w 2009 roku zostałem obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej”, wspomina mężczyzna.

„Ma Pan zatem podwójne obywatelstwo?”, pytam dla pewności. „Niestety polskiego musiałem się zrzec. Co prawda w armii amerykańskiej można mieć podwójne obywatelstwo, ale aby pracować na niektórych stanowiskach i otrzymać dokument nazywany u was poświadczeniem bezpieczeństwa, trzeba być jedynie obywatelem USA”, wyjaśnia sierż. Sobota.

St. sierż. Tomasz Sobota, przebywający teraz w Polsce, na stałe mieszka z rodziną w Colorado Springs niedaleko Fort Carson, gdzie stacjonuje jego brygada. Radzi sobie doskonale. Zarabia 3 tys. dolarów, czyli minimalnie więcej od średniej krajowej. Drugie tyle otrzymuje od armii w postaci różnych dodatków, ale pieniądze te nie są opodatkowane i nie wlicza się ich do emerytury. Niedawno z żoną kupili dom. „Mamy tam duży salon, cztery pokoje, trzy łazienki, ładnie urządzonej kuchnię, garaż na trzy samochody i ogród”, wylicza. Z dumą opowiada, że w jednym z pokoi na ścianie wiszą flagi polska i amerykańska.

W planach służbowych ma ukończenie półtorarocznego kursu dla tłumaczy. Podczas pobytu w Polsce chce się nauczyć języka rosyjskiego. „Da mi to możliwość pracy w jakimś dowództwie lub wojskowej instytucji”, wyjaśnia. Nie ukrywa, że nie wszystko w wojsku jest idealne. Zauważa dystans między rodowitymi Amerykanami a żołnierzami urodzonymi w innych krajach. Żołnierze z długim stażem służby, starsi stopniem i pełniący funkcje dowódcze odczuwają to mniej niż szeregowi. „W Carson dowodziłem 12 ludźmi. Oni nie musieli się ze mną przyjaźnić, ale musieli mnie słuchać”, kwituje ten temat.

Tomasz Sobota nie potrafi powiedzieć jednoznacznie, czy kiedyś po zakończeniu służby wróci do Polski. „Być może za wiele lat, gdy syn ukończy studia”, mówi po chwili zastanowienia. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI

POWSTRZYMAĆ SKAŻENIE

Reakcja na skażenie powstałe w wyniku ataku chemicznego lub nuklearnego musi być natychmiastowa. Wymaga to specjalnego przygotowania. Na świętoszowskim poligonie polscy oraz amerykańscy żołnierze ćwiczyli procedury obowiązujące w przypadku wystąpienia takich zagrożeń.

W ustalonym punkcie dochodzi do spotkania dwóch żołnierzy. Każdy z nich jest ubrany w pełny strój ochronny, ciężkie, gumowe buty i przeciwigazową maskę. Jeden z nich wyciąga checkliście i kładzie ją na masce humvee, pod którą wciąż pracuje silnik. Przytłumione, modulowane przez syntetyzator głosy ustalają w języku angielskim wydarzenia ostatnich kilkunastu minut. Sierż. Jack Johnson, specjalista od zagrożeń CBRN (Chemical, Biological, Radiological and Nuclear), służący w 3 Pancernej Brygadowej Grupie Bojowej, melduje o ataku chemicznym na pluton jego żołnierzy. Pięć bojowych wozów rozpoznawczych M3 Bradley zostało skażonych trwałym środkiem. Po ogłoszeniu alarmu Amerykanie uszczelnili włazy swoich pojazdów oraz, pozostając w ich wnętrzach, założyli kombinezony i maski. Szybka reakcja kawalerzystów pozwoliła zminimalizować straty, jednak bez fachowej likwidacji skażeń pododdziały nie mogą kontynuować walki.

Meldunek przyjmuje ppor. Wioletta Wójciak, dowódca plutonu chemicznego 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Po zapoznaniu się z sytuacją kieruje skażone pojazdy do punktu rozdzielczego. Tam za pomocą przyrządów rozpoznania chemicznego PChR-54M jej

podwładni określają rodzaj i stężenie BŚT (bojowego środka trującego) użytego podczas ataku. Bradleje zostają skierowane bezpośrednio na plac likwidacji skażeń sprzętu. Ubrane w maski przeciwigazowe postacie z użyciem żółtych i czerwonych chorągiewek naprowadzają pojazdy na stanowiska, na których w pogotowiu czekają chemicy. Niezwłocznie przystępują do działania. Do rozstawionych nieopodal instalacji rozlewczycy ISR-2M podłączono dysze. Dzięki nim pancerze wozów zostaną odkażone rozpuszczonym w wodzie uniwersalnym odkażalnikiem proszkowym, który wiąże skroplony gaz bojowy. Zadanie to musi być wykonane jak najszybciej, jednocześnie bardzo dokładnie.

„Podczas wybuchu pocisku środek ten zostaje rozpylony i opada jako mżawka. Osadza się na sprzęcie oraz żołnierzach w postaci kropel. Potrafi zachować swoje trujące właściwości przez kilka tygodni. Jeżeli nie zostanie szybko usunięty, może się to skończyć dużymi stratami”, wyjaśnia mjr Michał Stańczyk, szef wojsk chemicznych 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Zaznacza jednocześnie, że powierzone zadania wymagają od jego podopiecznych nie tylko dobrej znajomości procedur, lecz także elastyczności w działaniu. Podobnie jak w realnej sytuacji, amerykańscy żołnierze wjechali na →



AMERYKANIE DZIĘKI ĆWICZENIOM Z POLAKAMI NA WYPADEK ZAGROZEŃ RADIOLOGICZNYCH,

rozstawione posterunki z marszu, na bojowo. Skuteczność polskich chemików potwierdza badanie dozymetryczne – wszystkie pojazdy zostały odkażone i mogą wrócić na pole walki.

KOMPLEKSOWA REAKCJA NA ATAK

Do rozwinętego nieopodal punktu likwidacji skażeń stanów osobowych dociera sierż. Jack Johnson. Wykonał już główne zadanie, nawiązał współdziałanie z polskimi chemikami i teraz przygotowuje się do procedury odkażania. Przytrzymując maskę przeciwigazową, przechodzi przez urządzenie ramowe, które spłukuje z jego kombinezonu ochronnego pozostałości po ataku chemicznym. Procesowi temu poddaje się również towarzyszący mu żołnierz z plutonu chemiczne-

go, który następnie asystuje Amerykaninowi podczas zdejmowania odzieży ochronnej. Pozostają jedynie w maskach przeciwigazowych. Skażony ekwipunek trafia do utylizacji, a broń, kamizelki taktyczne i przedmioty osobiste – na specjalne stojaki. Żołnierze zaś wchodzi do namiotu, w którym są poddawani dalszemu procesowi dekontaminacji.

„W namiocie przygotowano trzy ścieżki: dwie dla żołnierzy bez obrażeń i jedną dla rannych. Ścieżkę dla rannych obsługują ratownicy medyczni, którzy rozcinają mundury i ściągają je z żołnierzy. Wszyscy muszą zdjąć całe ubranie, pozostać jedynie w maskach. Następnie oczyszczają odkryte części ciała za pomocą dwuprocentowego roztworu monochloraminy i przechodzą do łaźni, gdzie



Standardowym wyposażeniem US Army w miejscach zagrożonych atakiem CBRN, oprócz kombinezonu ochronnego i maski przeciwgazowej, są indywidualne zestawy służące do samodzielnego odkażania. Pozwalają one żołnierzom pozostać na jakiś czas w walce, jednak ostatecznie i tak muszą oni przejść przez punkt likwidacji skażeń.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

MOGĄ TWORZYĆ WSPÓLNE PLANY DZIAŁANIA CHEMICZNYCH, BIOLOGICZNYCH I NUKLEARNYCH

biorą kąpiel. Dopiero tutaj skażone pododdziały mogą ściągnąć maski przeciwgazowe”, wyjaśnia st. kpr. Radosław Zajdel, dowódca sekcji likwidacji skażeń stanów osobowych. Zwraca przy tym uwagę, że po wykonaniu tych czynności żołnierze są sprawdzani nie tylko przez dozymetrystę, lecz także przez lekarza. Podczas ataku chemicznego mogli przecież zostać zranieni lub odnieść obrażenia. Dopiero po odkażeniu może on udzielić fachowej pomocy medycznej. W przypadku braku ran oraz oznak skażenia żołnierze mogą wrócić do służby. Wydajność jednego namiotu wynosi 90 osób na godzinę.

UTRWALANIE PRZEZ WSPÓLNE DZIAŁANIE

Mimo jednolitych procedur obowiązujących w NATO Amerykanie z 3 Pancерnej Brygadowej Grupy Bojowej uznają ćwiczenia z polskimi chemikami za niezbędne.

Dzięki nim mogą tworzyć wspólne plany działania na wypadek wystąpienia zagrożeń CBRN. Wspólne szkolenia pozwalają również opanować zasady obsługi sprzętu będącego w wyposażeniu obu armii. Kapitan Chris Brown, jeden z oficerów planujących połączone ćwiczenia, ten sam scenariusz zamierza zrealizować nocą.

Standardowym wyposażeniem US Army w miejscach zagrożonych atakiem CBRN, oprócz kombinezonu ochronnego i maski przeciwgazowej, są indywidualne zestawy służące do samodzielnego odkażania. Pozwalają one żołnierzom pozostać na jakiś czas w walce, jednak ostatecznie i tak muszą oni przejść przez punkt likwidacji skażeń. Dlatego zajęcia przeprowadzone wspólnie z polskimi jednostkami umożliwiają powtórzenie i utrwalenie umiejętności, przede wszystkim jednak ćwiczenie zasad postępowania w razie ataku chemicznego. ■



NAJWIĘKSZYM WYZWANIEM BYŁA KONKURENCJA
NAZWANA PRZEZ ORGANIZATORÓW
EWAKUACJĄ USZKODZONEGO
POJAZDU Z DROGI MARSZU





MARCIN GÓRKA

Wymagająca dwunastka

Na drawskim poligonie rywalizowali ze sobą żołnierze najlepszych pododdziałów 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej. W tych zawodach wyzwaniem były nie tylko wymyślne konkurencje, stała się nim także niesprzyjająca aura.



MARCIN GÓRKA / MGPR (5)

W zmaganiach wzięło udział sześć najlepszych plutonów z 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej. Organizatorzy przygotowali dla nich nie tylko typowo wojskowe konkurencje, takie jak strzelanie z karabinika, lecz także niespodzianki – rzucanie kołem ratunkowym lub granatem ze spadochronem. Punktem programu było jednak pchanie Stara 944. „Chcemy te zawody trochę urozmaicić, wprowadzając coś nowego, niecodziennego. Stąd też takie wymyślne konkurencje”, mówi ppłk Dariusz Machula pełniący obowiązki →

KOMENTARZ



RAJMUND ANDRZEJCZAK

W codziennej działalności 12 Dywizji Zmechanizowanej stawiamy na pracę zespołową. Oczywiście indywidualizm jest bardzo ważny, ale najlepsze efekty możemy osiągnąć tylko wtedy, gdy wykorzystany jest potencjał wszystkich dowódców i żołnierzy. W tego typu zawodach współzawodnictwo jest na drugim planie. Ważne jest współdziałanie i możliwość oceny swojego potencjału. Każdy system jest bowiem tak silny, jak jego najsłabsze ogniwo. Cieszę się oczywiście ze zwycięstw, znakomitych wyników moich żołnierzy, ale jeszcze większą uwagę poświęcam tym, którzy nie zwyciężyli, lecz podejmowali próby, stawiali sobie wysoko poprzeczkę, sięgali po niemożliwe. Po to właśnie są te zawody. ■

Gen. dyw. RAJMUND ANDRZEJCZAK jest dowódcą 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

szefa szkolenia 12 DZ i prowadzący zawody. „W pewien sposób te zawody uatrakcyjnia też pogoda – jak to się mówi w wojsku, typowo taktyczna”.

TAKTYCZNA POGODA

Przygotowano 12 konkurencji. Jedną z nich to kierowanie ogniem plutonu. Na poligonie na wyznaczonych stanowiskach żołnierze uzbrojeni w beryle, broń maszynową i moździerze przy wsparciu rosomaków albo bojowych wozów piechoty odpierali ataki przeciwnika. Oceniano czas, identyfikację celów, szybkość ostrzelenia, pracę łącznościowców, a przede wszystkim sprawność dowódcy.

Gdy jedni odpierali atak przeciwnika, inni kilkanaście kilometrów dalej zaliczali tzw. pętlę taktyczną. W jak najkrótszym czasie należało założyć pole minowe, przebiec określony odcinek najeżony przeszkodami i przeczołgać się w błocie. W takich warunkach trzeba było też ewakuować „rannego” kolegę. „Żołnierze pokonują teren w różny sposób. Tak sprawdzamy nie tylko ich sprawność fizyczną, lecz także i psychiczną”, mówi mjr Ireneusz Zarzycki, który kierował zawodami na pętli taktycznej. „Deszcz, wiatr, błoto i niska temperatura sprawiają, że żołnierze są zmęczeni. Zaciskają wtedy zęby i walczą dalej”.

Największym wyzwaniem była jednak konkurencja nazywana przez organizatorów ewakuacją uszkodzonego pojazdu z drogi marszu. Pluton żołnierzy w jak najkrótszym czasie musiał przepchnąć wojskowego stara na odcinku 400 m. Siedmiotonowy pojazd był na biegu jałowym, ale z włączonym zapłonem. Najpierw żołnierze pchali ciężarówkę pod górę, a później nie mieli siły, aby ją dogonić, gdy staczała się w dół. Najgorsze okazały się jednak ostatnie metry, kiedy znów musieli wypychać pojazd pod górę. Wszystko odbywało się w deszczu i błocie. Kiedy instruktor odgwiżdżał metę, padali na mokrą trawę i z tru-

dem łapali oddech. „Wszyscy, jak na pstryknięcie palcami, nagle opadli z sił”, mówi st. kpr. Tomasz Koc, który ze stoperem odmierzał czas każdemu z oddziałów. Pluton z 2 Batalionu 12 Brygady Zmechanizowanej ze Stargardu Szczecińskiego przepchnął ciężarówkę w czasie 3 min i 3 s. „To na razie czwarty czas”, mówi Tomasz Koc. „Rekord to 3 min i 1 s, a najgorszy czas to 3 min i 6 s. Wyjaśnia też, że sukces w tej konkurencji zapewnia nie tylko siła mięśni, lecz także umiejętne wykorzystanie potencjału żołnierzy. Trzydziestu żołnierzy nie zmieści się przy starze i od dowódcy zależy, kto pcha samochód, a kto niesie broń i później zmienia kolegów.

POKAZALI KLASE

Najlepszym pododdziałem 12 DZ okazał się pluton z 1 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej 12 BZ z wynikiem 711 punktów. Żołnierze, którzy wygrali zawody, nie kryją: to nie zdobycie pucharu było najważniejsze, lecz sprawdzenie się i wzajemna motywacja do działania. „To był niesamowity stres i walka z czasem”, mówi szer. Paweł Wesołowski, celowniczy RPG. Podobnie ocenia to sierż. Sławomir Pędzich, zastępca dowódcy plutonu: „Mobilizowała nas nie tylko walka o puchar, lecz także sprawność kolegów z zespołu. Jeden drugiego nakręcał. Jak pchałem tego stara, to myślałem, że dam radę, skoro inni wytrzymują. W pojedynkę nikt z nas nic by nie osiągnął”.

Ppor. Grzegorz Jaciuk, dowódca plutonu, jest dumny ze swoich żołnierzy: „Pokazali klasę jako zespół i dziś każdy z nich może powiedzieć, że jest najlepszy w 12 Dywizji Zmechanizowanej”. Zwycięzcy przez następny rok z dumą noszą tytuł najlepszego zmotoryzowanego oddziału 12 Dywizji Zmechanizowanej. Będą też reprezentowali ją na szczeblu centralnym zawodów organizowanych przez Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. ■

ST. KPR. KAMIL ROMANOWSKI


Data i miejsce urodzenia:

6 grudnia 1983 roku, Rypin

W wojsku służy od:

3 lutego 2004 roku.

Tradycje wojskowe: brak

Edukacja wojskowa: Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Zajmowane stanowisko: dowódca drużyny w 1 Batalionie Legionów w 12 Brygadzie Zmechanizowanej.

Zostałem żołnierzem, bo: zawsze czułem powołanie, a służba zasadnicza w batalionie SHIRBRIG (Wielonarodowa Brygada Szybkiego Rozwinięcia) mnie w tym utwierdziła.



Moje motto życiowe:
*wymagaj,
ale przede
wszystkim
od siebie.*

Moje największe osiągnięcie: prywatnie to kochająca rodzina, czyli żona i dwóch synów. Zawodowo – służba w 1 Batalionie Legionów i ubiegłoroczne zwycięstwo w zawodach użyteczno-bojowych plutonów zmotoryzowanych wojsk lądowych w Poznaniu. Poza tym otrzymałem tytuł podoficera 2016 roku 12 Brygady Zmechanizowanej.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podobają mi się: kamuflaż oraz to, że nasze mundury są po prostu wygodne.

Przełomowe wydarzenie w życiu: obecność przy narodzinach dziecka. Ogromny wpływ na moje życie zawodowe miała natomiast służba zasadnicza w batalionie SHIRBRIG.

Misje i ćwiczenia: uczestniczyłem w wielu różnego rodzaju ćwiczeniach i szkoleniach. W 2008 roku wyjechałem na misję i jako celowniczy moździerza LM-60 służyłem w PKW Afganistan.



**Najlepsza broń to
psychika żołnierza.
I karabin
maszynowy PK
kalibru 7,62 mm.**

**Gdybym nie został żołnierzem,
byłbym dziś:** chyba strażakiem.



Moja książka życia: „Regulamin ogólny”. A tak serio to „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego. Choć obecnie dzięki swoim dzieciom czytam „Koszmarne Karolka”.



Niezapomniany film: „Pięty element” Luca Bessona i „Władca Pierścieni” Petera Jacksona.

Co robię po służbie: rola ojca i męża wypełnia prawie cały czas wolny. Ale jeśli mam już chwilę dla siebie, to chętnie uprawiam sporty walki i wędкую.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: wprowadziłbym więcej zajęć z wychowania fizycznego i szkolenia ogniowego.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. JANUSZ BŁASZCZAK / 12 DZ

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

PODCHORAŻY NA L-4

Jak wygląda sprawa zwolnienia lekarskiego w przypadku kandydatów na żołnierzy zawodowych, tj. podchorążych? Czy po otrzymaniu zwolnienia lekarskiego muszą, tak jak żołnierze zawodowi, udać się do garnizonu po przedłużenie przepustki? Co musi podchorąży wykonać, aby dopełnić wszystkich formalności zgodnie z regulaminem?

→ **Przepis art. 60d ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych reguluje, że doręczenie zaświadczenia lekarskiego odbywa się z wykorzystaniem profilu informacyjnego,** o którym mowa w art. 58 ust. 1 ustawy z dnia 25 czerwca 1999 roku o świadczeniach pieniężnych z ubezpieczenia społecznego w razie choroby i macierzyństwa. Profil informacyjny płatnika składek wykorzystują lub tworzą dowódcy jednostek wojskowych.

Zgodnie z art. 60a ust. 1 ustawy – kandydat na żołnierza zawodowego jest zobowiązany uprzedzić bezpośredniego przełożonego o niemożności stawienia się na uczelni lub spóźnieniu z przyczyny z góry wiadomej, lub możliwej do przewidzenia oraz określić przewidywany czas trwania nieobecności, w szczególności uprzedzić o konieczności przebywania na zwolnieniu lekarskim. Jeżeli wystąpią problemy w tym zakresie, stosuje się odpowiednio procedury określone w art. 60a ust. 2–4.

Ponadto, zgodnie z art. 86 „Regulaminu ogólnego Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej”, żołnierz ma obowiązek powiadomić o przedłużeniu terminu powrotu (podjęciu działania w celu przedłużenia terminu powro-

tu) w przypadku choroby uniemożliwiającej powrót do jednostki osobiście (telefonicznie, faksem lub za pomocą innego środka łączności) lub za pośrednictwem innej osoby, nie później jednak niż przed upływem terminu powrotu do jednostki wojskowej – przełożonego, który kierował go na urlop (przepustkę, w podróż służbową) lub oficera dyżurnego jednostki. Niezwłocznie (nie później niż w ciągu siedmiu dni) po wystawieniu przez organ administracji publicznej lub placówkę służby zdrowia dokumentu (zaświadczenia) potwierdzającego (usprawiedliwiającego) nieobecność, żołnierz jest zobowiązany przesłać (przekazać) oryginał lub kopię tego dokumentu na zasadach określonych w art. 86 ppkt. 1 regulaminu. Za chwilę dostarczenia pisma uważa się godzinę zarejestrowania go w kancelarii jednostki albo przyjęcia przez inną upoważnioną osobę w jednostce wojskowej. Przepis art. 88 regulaminu mówi zaś o tym, że dowódca (komendant) garnizonu lub wyznaczona przez niego osoba funkcyjna, po podjęciu decyzji o przedłużeniu terminu powrotu żołnierza niezawodowego do jednostki, powiadamia o swojej decyzji dowódcę (służbę dyżurną) macierzystej jednostki żołnierza. Jeżeli żołnierz z uzasadnionych powodów nie może wykonać czynności określonych w pkt. 86 i 87, może to zrobić najbliższa osoba z rodziny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 60a, art. 60b ust. 1 pkt 1–3, art. 60c pkt 1, 2 i 5, art. 60d ust. 1–3; „Regulamin ogólny Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej”.

BRAK ELEMENTÓW UMUNDUROWANIA

Moje pytanie dotyczy przedmiotów, które zgodnie z rozporządzeniem w sprawie umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką powinny być nam, jako żołnierzom tej służby, wydane. Nie otrzymaliśmy aż dziesięciu elementów umundurowania i wyekwipowania. Meldunki do dowódcy batalionu nie przyniosły efektu. Poinformowano nas jedynie o brakach w magazynie (jednak podchorążowie z niższych roczników część umundurowania nam brakującego dostali). Co możemy zrobić?

→ **W sytuacji przedstawionej przez autora pytania celowe będzie skierowanie stosownego meldunku do dowódcy jednostki wojskowej**, ponieważ osoby funkcyjne odpowiedzialne za prowadzenie gospodarki przedmiotami zaopatrzenia mundurowego w sposób oczywisty zaniedbują swoje obowiązki. Należy mieć jednak na uwadze, że taki meldunek złożony drogą formalną spowoduje wszczęcie stosownego postępowania wyjaśniającego w sprawie, które może się zakończyć wszczęciem postępowania dyscyplinarnego w stosunku do osób winnych zaistniałej sytuacji. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

URLOP ZA GRANICĄ

Chcę zaplanować tegoroczny, letni urlop. Czy każdy wyjazd poza granicę kraju muszę zgłosić dowódcy jednostki wojskowej?

→ **Tak. Obowiązek ten wynika wprost z zapisu ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych.** Szczegółowe informacje zawiera odpowiednie rozporządzenie wydane przez MON. W §3 mowa jest o tym, że pisemną informację o zamiarze wyjazdu i pobytu za granicą, zwaną dalej informacją, o której mowa w art. 59 ust. 1 ustawy, żołnierz zawodowy przedstawia dowódcy jednostki wojskowej pisemnie, za pośrednictwem kancelarii jednostki wojskowej. Wskazuje w niej miejsce i czas pobytu oraz określa cel wyjazdu. Dokument składa

się co najmniej siedem dni przed planowanym terminem przekroczenia granicy. Należy nadmienić, że obowiązek poinformowania dowódcy jednostki wojskowej o zamiarze wyjazdu za granicę wynika z tzw. zapewnienia ciągłości gotowości bojowej. W rozporządzeniu tym znajdują się również regulacje dotyczące ewentualnego braku zgody na wyjazd żołnierza poza granicę kraju, jak również formy i sposobu, w jaki zgoda taka może nie zostać udzielona. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 59 ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie wyjazdów za granicę żołnierzy zawodowych w celach niezwiązanych ze służbą wojskową z 18 marca 2004 roku (DzU nr 52 poz. 520 z późn. zm.) – §3–6.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

SORTY MUNDUROWE

Od kilku miesięcy, po przeniesieniu, służę w jednym ze wschodnich garnizonów. Wojskowy oddział gospodarczy, zajmujący się wydawaniem sortów mundurowych, obsługuje trzy garnizony. Dowiedziałem się, że batalion, w którym służę, zawsze jest w ostatniej kolejności do pobierania sortów. Teraz, zgodnie z wewnętrznymi ustaleniami WOG-u, najpierw mundury pobiera kadra od kaprała wzwyż, potem pozostali żołnierze. „Goretęsy” przysługują kadrze, szeregowi dostają bechatki. Gdy chciałem pobrać plecak, poinformowano mnie, że w magazynie ich nie ma. Po kilkunastu minutach jednak się znalazły, ale dla kadry. Tak jest też z innymi sortami. Na domiar tego są przedłużane okresy użytkowania. Żadne skargi i prośby nie pomagają. Jakie przepisy to normują?

→ **W przedmiotowej sprawie sytuacja, która została opisana, jest niezgodna z obowiązującymi przepisami.**

Należy podkreślić, że zgodnie z art. 137b ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych – żołnierze zawodowi i pełniący służbę kandydacką otrzymują umundurowanie i wyekwipowanie, uzbrojenie oraz, w określonych przypadkach, wyżywienie albo równoważnik pieniężny w zamian za te należności. Szczegółowo kwestie związane z wydaniem określonego umundurowania reguluje rozporządzenie MON w sprawie umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką. W rozporządzeniu w §4 mowa jest o tym, że podstawą do wydania umundurowania i wyekwipowania zasadniczego dla żołnierza jest w przypadku: 1) powołania do zawodowej służby wojskowej i służby kandydackiej – rozkaz personalny o powołaniu; 2) wyznaczenia na stanowisko służbowe, mianowania lub przystąpienia do wykonywania określonych czynności służbowych – rozkaz dzienny dowódcy (szefa, komendanta) jednostki wojskowej, w której żołnierz pełni służbę, stwierdzający wyznaczenie go na stanowisko. Podstawą do wydania umun-

durowania i wyekwipowania specjalistycznego jest rozkaz dzienny dowódcy (szefa, komendanta) jednostki wojskowej, w której żołnierz pełni czynną służbę wojskową.

Jeżeli osoba odpowiedzialna za prowadzenie gospodarki materiałowej pod względem zaopatrzenia w przedmioty mundurowe toleruje sytuację, w której dochodzi do pewnego rodzaju dyskryminacji w zakresie wydawania sortów mundurowych, to może zostać pociągnięta do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Zgodnie z §20 rozporządzenia osobą odpowiedzialną w jednostce wojskowej jest dowódca (szef, komendant) jednostki budżetowej, na której zaopatrzeniu pozostaje żołnierz.

Zważywszy na zaistniałą sytuację, zainteresowany może wystąpić z pisemnym meldunkiem w tej sprawie. Kwestię tę reguluje §1 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 15 stycznia 2015 roku, które określa: wysokość równoważników pieniężnych przysługujących żołnierzom zawodowym i żołnierzom pełniącym służbę kandydacką w zamian za umundurowanie i wyekwipowanie niewydane w naturze, w tym za czyszczenie umundurowania i wyekwipowania oraz wykonywanie haftów dla żołnierzy zawodowych, zwanych dalej „równoważnikami”; przypadki i tryb otrzymywania, zmniejszania, wstrzymywania i wznawiania wypłaty równoważników; warunki, tryb i terminy ich wypłacania, a także organy właściwe w tych sprawach.

W odpowiedzi na ostatnie pytanie – data rozdzielnika nie może być datą wsteczną, lecz musi się pokrywać z datą wydania określonych sortów mundurów oraz rozpoczęcia ich używalności – vide §13 rozporządzenia. W przedmiotowej sprawie nasuwa się również pytanie, dlaczego w wypadku braku określonych sortów magazyn nie wydał tzw. zamienników, o których mowa w §17 ust. 1 rozporządzenia. Celowe byłoby skierowanie do dowódcy jednostki wojskowej pisemnego meldunku o zaistniałej sytuacji.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 137b; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką z 31 października 2014 roku (DzU 2014 poz. 1615) – §2–5 oraz §20.

PRACA DODATKOWA

Zgodnie z przepisami żołnierz podejmujący pracę na okres dłuższy niż 30 dni musi otrzymać zgodę od dowódcy jednostki. A co w sytuacji, jeśli chciałbym podjąć pracę na dwa miesiące wyłącznie co drugi weekend w wymiarze ośmiu godzin? W praktyce przez dwa miesiące byłbym w pracy przykładowo osiem razy. Czy nie występując o zgodę na taką formę zatrudnienia, złamałbym przepisy?

➔ **Zgoda jest wymagana każdorazowo.** Według art. 56 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzowi zawodowemu nie wolno podejmować pracy zarobkowej i prowadzić działalności gospodarczej. Za pracę zarobkową uważa się pracę świadczoną osobiście w ramach stosunku pracy oraz na podstawie innego tytułu, jeżeli jest wykonywana dłużej niż miesiąc.

Żołnierz zawodowy może wystąpić do dowódcy jednostki wojskowej, w której zajmuje stanowisko służbowe, z wnioskiem o zezwolenie na wykonywanie pracy zarobkowej lub prowadzenie działalności gospodarczej. Zgoda taka co do zasady może zostać udzielona jedynie wówczas, gdy praca nie koliduje z wykonywaniem przez niego zadań służbowych; wpływa na podwyższenie jego kwalifikacji; nie narusza prestiżu żołnierza za-

wodowego, a prowadzona działalność gospodarcza lub działalność podmiotu, u którego będzie świadczona praca, nie dotyczy wyrobów, o których mowa w przepisach w sprawie klasyfikacji wyrobów obronnych oraz dostaw, robót budowlanych i usług przeznaczonych na zamówienie jednostek wojskowych.

Odpowiadając na pytanie zainteresowanego, należy podkreślić, że nie ma znaczenia, czy praca będzie wykonywana tylko co drugi weekend i przez okres nie dłuższy niż dwa miesiące. Pamiętać bowiem należy, że art. 56 ust. 1 pkt 2 ustawy mówi o pracy zarobkowej na podstawie innego tytułu, jeżeli praca jest wykonywana przez okres dłuższy niż miesiąc. Warto również zwrócić uwagę na fakt, że zgoda dowódcy jednostki wojskowej będzie wymagana również w sytuacji, gdy żołnierz zawodowy będzie podejmował czynności zarobkowe przez okres krótszy niż miesiąc lub mu równy. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 56 ust. 1–5; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie wykonywania pracy zarobkowej lub prowadzenia działalności gospodarczej przez żołnierzy zawodowych z 7 października 2009 roku (DzU 176 poz. 1366) – §2 ust. 1.

ZAŁEGŁY URLOP

Jestem majorem wojsk lądowych. Mam 20 dni zaległego urlopu. Czy dowódca mojej jednostki może mnie wysłać na „przymusowy” urlop?

➔ **Tak. Należy jednak podkreślić, że nie istnieje określenie „przymusowy urlop”, ponieważ umożliwienie wykorzystania urlopu wypoczynkowego jest obowiązkiem przełożonego.** Zgodnie z art. 61 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych – żołnierze zawodowi otrzymują corocznie urlop wypoczynkowy w wymiarze 26 dni roboczych. Jeżeli ważne względy służbowe nie pozwalają

na udzielenie żołnierzowi zawodowemu urlopu wypoczynkowego w całości lub w części w danym roku kalendarzowym, udziela się go w ciągu następnego roku kalendarzowego. Decyzję w sprawie przesunięcia żołnierzowi zawodowemu urlopu wypoczynkowego podejmuje dowódca jednostki wojskowej, w której żołnierz zajmuje stanowisko służbowe. Dowódca jest zobowiązany skierować żołnierza na przesunięty urlop wypoczynkowy, aby wykorzystał go najpóźniej w terminie określonym przepisami. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 61 ust. 1–3; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych z 27 sierpnia 2014 roku (DzU 2014 poz. 1503 z późn. zm.) – §7 ust. 2; wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 28 sierpnia 2008 roku.

/ Z WOKANDY

Zwolnienie ze służby

Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił decyzję o zwolnieniu żołnierza zawodowego ze służby z powodu otrzymania niedostatecznej oceny w opinii służbowej.

Żołnierz, który otrzymał niedostateczną ogólną ocenę w opinii służbowej, zarówno w trybie normalnym, jak i weryfikacji opinii, wniósł odwołanie. Nie przyniosło ono jednak pozytywnego skutku. Złożył więc do wojewódzkiego sądu administracyjnego skargę na rozkaz o zwolnieniu ze służby.

W swoim odwołaniu, również w skardze do sądu, zarzucał, że nierzetelne sporządzenie opinii służbowej i opieranie się na nieprawdziwych okolicznościach stanowiło naruszenie przepisów postępowania administracyjnego (tj. art. 6–11 k.p.a.) oraz w konsekwencji wydanie rozkazu personalnego na podstawie nieudowodnionej przyczyny. Dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, rozpatrując odwołanie, stwierdził, że nie jest upoważniony do przeprowadzenia postępowania dowodowego mającego zweryfikować treść opinii służbowej i zawartej w niej oceny. Tym samym organ zwalniający, po ustaleniu, że żołnierz zawodowy otrzymał ogólną ocenę niedostateczną w opinii służbowej, jest zobowiązany do wydania rozkazu personalnego o zwolnieniu go z zawodowej służby wojskowej. Przedmiotem analizy organu zwalniającego może być jedynie ocena prawidłowości procesu opiniodawczego, a więc na przykład to, czy żołnierz mu podlegał, czy opinię służbową sporządził właściwy przełożony oraz czy ma ona charakter ostateczny.

Prokuratura, do której trafiło od żołnierza zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, postawiła osobie sporządzającej opinię zarzut popełnienia przestępstwa z art. 271 §1 k.k. Chodziło o to, że osoba ta, będąc przełożonym, jako funkcjonariusz publiczny poświadczyła nieprawdę co do okoliczności mającej znaczenie prawne przez wystawienie w opinii oceny niedostatecznej opartej na nieprawdziwych przesłankach.

Sąd doszedł do wniosku, że decyzja w sprawie zwolnienia żołnierza ze służby powinna zostać wyeliminowana z obrotu prawnego jako wadliwa. Postawienie wymienionych zarzutów bezpośredniemu przełożonemu skarżącego sprawia, że pojawiła się co najmniej wątpliwość co do poprawności i rzetelności tej opinii. A problem jej wiarygodności niewątpliwie pozostawał w ścisłym związku z istotą prowadzonego przez organ postę-

powania. Ponownie rozpoznając sprawę, organ będzie zobligowany do usunięcia wytkniętych mu w uzasadnieniu uchybień.

➔ **Niniejsza sprawa ukazuje problem, który dotyczy zwolnienia żołnierza ze służby na podstawie oceny niedostatecznej wydanej przez bezpośredniego przełożonego.** Opinia taka dość często jest nieobiektywna, naznaczona osobistymi uprzedzeniami ze strony przełożonego do podwładnego, mimo że nie powinien on kierować się takimi kryteriami. Relacje służbowe między przełożonym żołnierzem a rozpatrującym odwołanie dowódcą jednostki wojskowej nierzadko mają negatywny wpływ na rozpoznanie sprawy wniesionego odwołania. Nie sposób zaprzeczyć, że każdorazowo zakwestionowanie opinii przełożonego żołnierza przez organ wyższej instancji wpływałoby na pewnego rodzaju podważanie jego autorytetu. Za niezrozumiałe należy uznać także stanowisko organu drugiej instancji odnośnie do braku kompetencji do badania podstaw uzasadniających zwolnienie żołnierza ze służby, zwłaszcza gdy sygnalizuje on w sposób formalny, że w trakcie prowadzenia postępowania opiniodawczego doszło do nieprawidłowości, a nawet poświadczenia nieprawdy. Postępowanie opiniodawcze i postępowanie w sprawie zwolnienia żołnierza ze służby są od siebie uzależnione, co powinno przesądzać o tym, że organ odwoławczy powinien być zobligowany do zbadania „prawidłowości prejudykatu”, który decydował o wszczęciu postępowania w sprawie zwolnienia ze służby. Odmienne podejście w sposób oczywisty prowadzi do pozbawienia żołnierza prawa do rozpoznania jego sprawy w sposób rzetelny i zgodny z ogólnie obowiązującymi zasadami, które powinny mieć zastosowanie nie tylko w procedurze stricte administracyjnej, lecz również w procedurze służbowej, skoro wynik postępowania opiniodawczego ma bezpośredni wpływ na zwolnienie żołnierza ze służby. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Wyrok WSA w Warszawie z 20 stycznia 2017 roku sygn. akt. II SA/Wa 947/16; także: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/cbo/query>

/ WETERANI PYTAJA

ZWOLNIENIE Z ZAJĘĆ SŁUŻBOWYCH

W 2005 roku brałem udział w misji poza granicami państwa jako członek Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku i nadal pozostaję w służbie. Niestety, pod koniec ubiegłego roku miałem wypadek samochodowy, w wyniku którego trochę podupałem na zdrowiu. Niedawno zakończyłem przebywanie na zwolnieniu lekarskim. Lekarz zalecił mi oszczędzanie się, mam uważać na uszkodzony bark. Obawiam się, że jeśli zaraz po leczeniu będę musiał wykonywać wszystkie obowiązki służbowe, to moje zdrowie się pogorszy. Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji?

→ **Ogólna zasada jest taka, że żołnierz zawodowy oprócz odpowiednich cech i kwalifikacji musi posiadać zdolność psychiczną i fizyczną do pełnienia służby.** Innymi słowy powinien cieszyć się zdrowiem na wysokim poziomie oraz wykonywać powierzone obowiązki służbowe w sposób rzetelny i terminowy.

Czasem jednak trudne warunki służby w kraju lub poza jego granicami, czy nawet okoliczności dnia codziennego sprawiają, że zdrowie żołnierza pogorszy się i nie będzie on w stanie przez jakiś czas wykonywać wszystkich zajęć służbowych. Gdy leczenie dobiega końca, lekarze często zalecają, by pacjent oszczędzał siły i organizm przez jakiś czas. Przepisy dają jednak możliwość, aby w razie przejściowych kłopotów ze zdrowiem, i tym samym z wykonywaniem niektórych zajęć służbowych, żołnierze mogli skorzystać ze zwolnienia.

Zgodnie z §4 pkt 4 lit. b) rozporządzenia MON w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej (...), o potrzebie długotrwałego lub stałego zwolnienia żołnierza, ze względu na jego stan zdrowia, od niektórych zajęć służbowych decydują rejonowe wojskowe komisje lekarskie (w tym także Re-

jonowa Wojskowa Komisja Lotniczo-Lekarska w Warszawie oraz Rejonowa Wojskowa Komisja Morsko-Lekarska w Gdańsku). Nie ma tu znaczenia kategoria zdolności fizycznej i psychicznej żołnierza do zawodowej służby wojskowej: Z – zdolny lub Z/O zdolny z ograniczeniami, posiadanie statusu weterana, weterana poszkodowanego lub jego brak, czy też przyczyna problemów ze zdrowiem.

Aby skorzystać z takiego zwolnienia, żołnierz powinien drogą służbową złożyć wniosek do dowódcy jednostki o skierowanie do rejonowej wojskowej komisji lekarskiej w celu orzeczenia o potrzebie zwolnienia go ze względu na stan zdrowia od niektórych zajęć służbowych. Istotne jest, aby na formularzu skierowania był wskazany ten konkretny cel, a nie na przykład: ustalenie zdolności do zawodowej służby wojskowej.

Rejonowa wojskowa komisja lekarska po przeanalizowaniu dokumentów żołnierza oraz po przeprowadzeniu niezbędnych badań wyda orzeczenie, w którym – jeśli będzie to uzasadnione stanem zdrowia – stwierdzi potrzebę zwolnienia żołnierza z niektórych zajęć oraz wskaże jego wymiar.

Zwolnienie od niektórych zajęć służbowych może przykładowo oznaczać: zwolnienie z określonej kategorii ćwiczeń na zajęciach z wychowania fizycznego, z dźwigania ciężarów, z porannej zaprawy lub nawet z egzaminu sprawności fizycznej w danym roku. ■

IZABELA STELMACH, Centrum Weterana
Działań poza Granicami Państwa

Podstawy prawne: art. 5 ust. 1 i 2 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, §4 pkt 4 lit. b) rozporządzenia z 3 czerwca 2015 roku ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach.



W przypadku problemów zdrowotnych żołnierz zawodowy może ubiegać się o zwolnienie od niektórych zajęć służbowych bez konieczności przebywania na zwolnieniu lekarskim.

Droży Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl



ARSENAŁ

/ ZBROJENIÓWKA PO POLSKU

POKOLENIOWA REWOLUCJA

Z Bartoszem Kownackim

o priorytetowych programach modernizacyjnych
polskiej armii, potencjale państwowej zbrojeniówki
i mentalności ludzi pracujących w tym sektorze
rozmawia Krzysztof Wilewski.



↓ ROBERT SUCHY/CO-MON

W

jakiej kondycji jest polski przemysł zbrojeniowy?

Nie będę mówił o konkretnych firmach prywatnych, żeby nie posądzono mnie o życzliwość wobec którejś z nich. Generalnie są one w zdecydowanej większości dobrze zarządzane, ale oczywiście mam na myśli tylko te, które zajmują się produkcją wojskową, a nie są pośrednikami dla spółek zagranicznych. Ich produkcja na eksport jest na zdecydowanie wyższym poziomie niż państwowej zbrojeniówki.

Sektor państwowy jest w gorszej sytuacji?

Jego największą zaletą jest to, że w ogóle jest, że przez ostatnie 27 lat nie został zniszczony. Nie jest w najlepszej kondycji, ale przynajmniej istnieje baza, na której można coś zbudować. Niektóre straty są jednak nie do odrobienia. Popatrzmy chociażby na Hutę Stalowa Wola, w której kilka lat temu Chinom sprzedano część produkującą maszyny budowlane dla cywilów. Nabywca nie zainwestował w hutę i produkcja w tym sektorze prawie nie istnieje.

Jaka jest sytuacja w innych firmach Polskiej Grupy Zbrojeniowej?

Trudno pokusić się o jednoznaczną ocenę. Dobrze zarządzana spółka Rosomak na przykład znakomicie funkcjonuje i nie odstaje drastycznie od zachodnich producentów. Ma jednak spory problem, bo pracuje wyłącznie na rzecz naszej armii, a jeżeli robi coś na eksport, to wyłącznie za pośrednictwem Patrii. Dlaczego Rosomak nie ma kontraktów eksportowych? Kiedy byłem w tych zakładach, zapytałem, ile wydali na lobbowanie w poszczególnych krajach. Patrzyli na mnie ze zdziwieniem...

Problemy z eksportem nie wynikają zatem z jakości produktów, lecz z mentalności ludzi pracujących w firmach zbrojeniowych?

Myślę, że tak. Jeżeli prywatne firmy produkują na eksport, to dlaczego nie udaje się to państwowym? A jak już zdobędą takie kontrakty, to nie potrafią się z nich wywiązać. Naprawdę jest dużo możliwości, jeśli chodzi o zagraniczny rynek zbrojeniowy. Niestety szanse nie są wykorzystywane. Do firmy PIT Radwar na przykład przyszło z Arabii Saudyjskiej zapytanie o radary. I co? Nikomu nie chciało się nawet na to pismo odpowiedzieć. W takich zakładach myśli się tak – skoro nasze Ministerstwo Obrony Narodowej dobrze zapłaciło, to nie męczmy się z szukaniem zagranicznego odbiorcy. MON za jakiś znów czas przyjdzie i dobrze nam zapłaci. Zamówienia państwowe z roku na rok są jednak coraz mniejsze, a te zakłady



ROBERT SIEMASZKO / CO MON

W PGZ potrzebna jest świeża krew, czyli młodzi, zdolni menedżerowie, otwarci na nowe wyzwania

powolutku umierają. To widać po Bumarze. Nie został zlikwidowany, ale latami był okrajany – jak salami. I dziś jest w takim stanie, jakim jest.

Może Polskiej Grupie Zbrojeniowej potrzebna jest rewolucja kadrowa?

Raczej wiekowa. W zdecydowanej większości firm dominują osoby pięćdziesiąt plus, szczególnie wśród kadry zarządzającej. Spora część z nich ma problem ze zrozumieniem, że firmy zbrojeniowe nie tylko mogą, ale wręcz muszą produkować także na rynek cywilny oraz eksportować swoje wyroby do innych krajów. Dlatego w PGZ potrzebna jest świeża krew, czyli młodzi, zdolni menedżerowie, otwarci na nowe wyzwania.

Które produkty PGZ mogą podbić zagraniczne rynki?

Uważam, że znaleźliby się kupcy na większą część tego, co jest produkowane w państwowych zakładach przemysłu obronnego. Począwszy od amunicji, przez gromy, raki, kraby, mosty Daglezja, MSBS, po homary – oczywiście w przyszłości. Tego jest naprawdę sporo. Tylko nasze zakłady muszą i chcieć eksportować to uzbrojenie, i mieć taką możliwość.

A nie mają?

Myślę przede wszystkim o produktach HSW. Ta firma ma tak duże zamówienia z polskiej armii, że może już nie podobać zleceniom zagranicznym. Powinna się jednak o nie ubiegać, bo nie musi ich realizować sama. Ogromnym problemem jest przekonanie dyrektorów i kierowników w PGZ, że wszystko muszą zrobić sami.

Efekt synergii produkcyjnej?

Tak. Jeżeli mamy za dużo zamówień i nie jesteśmy w stanie czegoś zrobić, zlecmy to innej firmie z grupy. Nie możemy sami wyprodukować stu krabów w terminie, który wyznaczyło nam MON, ale możemy zrobić 150, jeśli zlecimy wykonanie pewnych elementów innym firmom z grupy. Niestety do tej pory nie było w PGZ takiego myślenia. A każdą inną państwową firmę zbrojeniową traktowano jak wroga. To na szczęście powoli się zmienia. Naprawdę, lepiej jest zarobić tyle, żeby mieć pensję dla pracowników i niewielki zysk, niż nic nie robić i czekać na kolejny kontrakt z MON-u.

Zmienił się sternik Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Dlaczego?



Nie chcę komentować decyzji dotyczącej pana Arkadiusza Siwki, bo swoje zadania jako prezes Grupy przez półtora roku wykonywał dobrze i trzeba mu za to podziękować. Wiele zrobił dla PGZ na arenie międzynarodowej. To jest solidny fachowiec i bardzo go cenię. Jestem przekonany, że dalej będzie się realizował w zarządzaniu dobrymi spółkami państwowymi.

Jeżeli chodzi o jego następcę, Błażeja Wojnicza, to wbrew temu co mówią krytycy, ma doświadczenie w zbrojeniówce. Sprawdził się jako prezes Polskiego Holdingu Obronnego. Między PHO a PGZ kiedyś była rywalizacja, zupełnie niepotrzebnie, bo obie firmy miały całkiem inne zadania. Teraz jest jeden prezes PGZ i PHO, więc te spółki nie będą ze sobą konkurowały, tylko jeszcze bardziej niż przez ostatni rok współpracowały, co w przyszłości doprowadzi do ich realnego połączenia.

Przejdźmy do realizacji planu modernizacji technicznej. Jakie najważniejsze programy zostaną rozstrzygnięte w tym roku?

Dla Ministerstwa Obrony Narodowej w tym roku kluczowe są trzy programy – „Wisła”, czyli przeciwlotnicze i przeciwrakietowe zestawy średniego zasięgu, „Orka”, czyli nowe okręty podwodne, oraz „Homar”, czyli wieloprowadnicowe wyrzutnie pocisków klasy ziemia–ziemia.

A przetarg śmigłowcowy? Głośno o nim, i medialnie i politycznie. Opozycja zarzuca wam niejasne procedury i opóźnienia.

Szczególnie ten ostatni zarzut wobec Ministerstwa Obrony Narodowej jest nieprawdziwy i pokazuje, jak wiele osób ulega lobbyistom, co jest bardzo niebezpieczne. Oczywiście lobbing jest potrzebny, ale trzeba do niego podchodzić racjonalnie. Poza tym chyba żaden z krytyków nie patrzy na to, że poprzedni budżet został wydany w całości, więc jak mieliśmy kupić coś więcej? Na marginesie tylko mogę wspomnieć, że tak się stało po raz pierwszy od lat.

Na zarzut dotyczący przeciągania się postępowania odpowiem tylko tyle, że poprzednie było prowadzone przez ponad 1200 dni. My od jego zamknięcia do uruchomienia kolejnego potrzebowaliśmy jedynie 90 dni. To jest naprawdę ekspresowe tempo.

Jakie śmigłowce chcemy kupić?

Do zwalczania okrętów podwodnych z wersją do ratownictwa morskiego – to troszeczkę inne śmigłowce niż chcieli poprzednicy – oraz maszyny dla wojsk specjalnych, i to jest to pierwsze postępowanie.

A kiedy przyjdzie czas na kolejne typy śmigłowców?

Nie chciałbym budować takiej narracji. Niektóre media żyją śmigłowcami, jakby to było remedium na wszelkie bolączki naszej armii i gwarantowało bezpieczeństwo. Jest bardzo wiele programów, które są równie ważne albo może jeszcze ważniejsze, a budzą mniej emocji.

Na przykład które?

Chociażby odbudowa systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej kraju. Według mnie to najważniejszy program modernizacyjny naszych sił zbrojnych, bo Polska bez skutecznej obrony przeciwlotniczej nie jest tak bezpieczna, jak być powinna.

Czy dostaliśmy już odpowiedź od amerykańskiego rządu na Letter of Request w sprawie zestawów rakietowych Patriot?

Cały czas prowadzimy negocjacje z amerykańskim rządem w tej sprawie. Teraz przygotowujemy takie korekty w LoR, żeby były one do zaakceptowania przez obie strony.

Czyli ustępujemy pola?

Zdecydowanie nie. Procedura, według której chcemy kupić patrioty, jest bardzo sformalizowana. Mamy jasno określone wymagania, sprowadzające się w ogromnym skrócie do tego, że chcemy pozyskać rozwiązania, które dopiero za jakiś czas będą w wyposażeniu amerykańskiej armii. Musimy więc tak przygotować zamówienie, żeby druga strona była w stanie je zrealizować.

Kiedy możemy spodziewać się konkretnych decyzji?

Myślę, że w najbliższych tygodniach, na przełomie marca i kwietnia, dostarczymy amerykańskiemu rządowi skorygowany LoR. Spodziewam się również, że do tego czasu Stany Zjednoczone podejmą ostateczne decyzje dotyczące ścieżki formalnej dostarczenia nam sprzętu, który same dopiero zamierzają kupić. Negocjujemy, aby stało się to w ramach specjalnej procedury o nazwie Yockey Waiver, umożliwiającej pozyskanie danego sprzętu czy uzbrojenia wspólnie z armią Stanów Zjednoczonych. Amerykanie decydują się na nią niezwykle rzadko, dlatego taka zgoda byłaby dla nas ogromnym wyróżnieniem.

System IBCS [Integrated Battle Command System] będzie już w pierwszych bateriach?

Jest to jeden z naszych tzw. warunków brzegowych. Uważam, że pozyskanie zestawów rakietowych bez

tego systemu byłoby mało zasadne. Nieco inaczej wygląda natomiast sprawa z radarem – możemy pocze-kać, aż przejdzie on cały cykl badań. Wtedy pierwsze baterie kupilibyśmy bez niego, a później, po dostarczeniu ostatnich, zmodernizowalibyśmy je do odpowied-niego standardu.

Co z ofertą MEADS?

Ta firma nadal jest w grze. Rozmawiamy z jej przed-stawicielami, oceniamy ich ofertę pod względem kon-kurencyjności – zarówno jeżeli chodzi o możliwości bo-jowe, na których zależy naszej armii, jak i możliwości dla polskiego przemysłu.

Wśród trzech priorytetowych programów wymienił Pan „Orkę”. Kiedy możemy zatem spodziewać się decyzji w kwestii nowych okrętów podwodnych?

Nie wiem, czy uda się w tym roku zamknąć tę spra-wę. Jeżeli nie, to na pewno na początku przyszłego do-konamy wyboru i podpiszemy kontrakt.

A co z „Miecznikiem” i innymi programami dla ma-rynarki wojennej.

Musimy przeanalizować, w jakim stopniu polski przemysł stoczniowy jest w stanie zrealizować rów-nolegle dwa tak duże programy, jak „Orka” i „Miecz-nik”. Obawiam się, że jeśli zleci-my mu „Miecznika”, to nie będzie zainteresowany „Orką” lub na od-wrót. Ze względu na konieczność wycofania okrętów klasy Kobben priorytet mają zatem nowe okręty podwodne.

Czyli oznacza to zastój w mary-narce?

Zdecydowanie nie. „Miecznik” jest dużym i drogim programem, ale oprócz „Orki” będą realizowane mniejsze projekty, takie jak „Ratow-nik” czy „Supply”.

Na jakim etapie jest „Homar”, o którym Pan wspominał?

Chcemy dokonać kluczowych rozstrzygnięć jeszcze w tym roku. Tyle że sprawa się komplikuje, bo mam wrażenie, że niektórzy nasi zagraniczni partnerzy chcą nam dyktować warunki. Poza tym, jeżeli mamy zapłacić dwa razy więcej

za coś, co jest jedynie o pięć procent lepsze od pro-dukту konkurencji, to należy zadać sobie pytanie, czy nie lepiej kupić coś niewiele gorszego, ale taniej i więcej.

Z kim rozmawiamy w sprawie „Homara”?

Mamy trzy kierunki działania – Stany Zjednoczone, Izrael i Turcję.

Jednym z kluczowych programów modernizacyj-nych naszej armii jest automatyzacja dowodzenia wojskami lądowymi. W ubiegłym roku MON zdecy-dowało, że zamówienie na BMS trafi do polskich spółek państwowych. Tymczasem okazuje się, że PGZ nie oferuje wojsku swojego rozwiązania, tylko produkt bazujący na zagranicznym oprogramowa-niu, z którym mogą być problemy w czasie wyma-ganych przez armię testów.

BMS będzie sprawdzianem dla PGZ. Daliśmy jej szansę. Pozwoliliśmy, żeby ułożyła sobie konsorcjum tak, jak chce, z wykorzystaniem innych firm jako pod-dostawców. Jeżeli jednak PGZ w tej sprawie wprowa-dzała MON w błąd i zapewniała, że ma gotowy pro-дукт, który bez problemów przejdzie nasze, wojskowe testy, to z pewnością zostaną wyciągnięte konsekwen-cje. Nie rezygnujemy z wymagań, jakie mamy w od-niesieniu do tego typu rozwiązań. Nie zgodzimy się na „wyrób beemesopodobny”.

Co z leciwymi Su-22? Czy zosta-ną zastąpione przez kolejne sa-moloty F-16?

Rzeczywiście w określonej per-spektywie czasowej będziemy mu-sieli wycofać ze służby samoloty Su-22, więc prowadziliśmy i nadal przeprowadzamy analizy, czym je zastąpić. Jedną z koncepcji było po-zyskanie używanych maszyn F-16 bloku A/B, ale analiza – czyli mię-dzy innymi obliczenie kosztów tego rozwiązania, przy założeniu, że sa-moloty byłyby remontowane i mo-dernizowane w bydgoskich WZL nr 2 – wykazała jednoznacznie, że byłoby to dla nas całkowicie nieopła-calne. Co ważne, nie skorzystałyby na tym również WZL, które przy ogromnym nakładzie pracy wypra-cowywałyby niewielki zysk. ■

WIZYTÓWKA



BARTOSZ KOWNACKI

Jest wiceministrem obrony narodowej odpowiedzialnym za zakup sprzętu i uzbrojenia. W latach 2006–2007 praco-wał w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, potem, do 2009 roku, w Kancelarii Prezy-denta RP Lecha Kaczyńskiego. W 2011 roku został posłem na Sejm RP VII kaden-cji, w którym pełnił funkcję członka, na-stępnie wiceprzewodniczącego Komisji Obrony Narodowej. W latach 2011–2012 delegowany do Zgromadzenia Parlamen-tarnego NATO.

Eksperci szacują, że indyjskie siły zbrojne będą potrzebować od 800 do tysiąca nowych śmigłowców, dlatego ich najwięksi producenci z Rosji, Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej starają się umocnić swe pozycje na tamtejszym rynku. Firmy lotnicze są gotowe na budowę zakładów w Indiach, czego wymaga od zagranicznych dostawców uzbrojenia indyjski rząd. Jednocześnie władze w Nowym Delhi bardzo mocno wspierają rodzimego producenta śmigłowców, państwową spółkę Hindustan Aeronautics Limited (HAL). Firma ta od lat dostarcza siłom zbrojnym Indii lekkie śmigłowce własnej konstrukcji i jednocześnie pracuje nad nowymi, bardziej zaawansowanymi projektami.

WIELOZADANIOWE DUO

Podczas lutowej wystawy lotniczej Aero India 2017 w bazie sił powietrznych Yelahanka w Bangalurze firma HAL zaprezentowała pełnowymiarową makietę przyszłego indyjskiego śmigłowca wielozadaniowego (Indian Multirole Helicopter – IMRH). Hindusi zamierzają zbudować maszynę, która pod względem możliwości transportowych będzie podobna do użytkowanych przez indyjskie siły zbrojne rosyjskich Mi-17 oraz oferowanych im przez Airbus Helicopters caracali. W wersji wojskowej w kabinie będzie miejsce dla 24 żołnierzy. W odmiennie do przewozu VIP-ów zostanie zamontowanych 18 foteli. Alternatywnie śmigłowiec będzie mógł zabrać na pokład ładunek o masie do 3,5 tys. kg. Maszyna ma mieć długość 18,7 m, szerokość 3,2 m i wysokość 5,6 m.

IMRH będzie śmigłowcem dwusilnikowym. Serwis internetowy Jane's IHS uzyskał od przedstawiciela HAL informacje, że przed końcem pierwszej połowy 2017 roku zostanie wszczęta procedura, która wyłoni dostawcę silników o mocy 3 tys. KM. Decyzja o wyborze zagranicznego producenta ma przyspieszyć prace nad nową maszyną. Dla śmigłowca przewidziano pięciopłatowy wirnik o średnicy 18 m i czterołopatowy wirnik ogonowy o średnicy 3,7 m.

Poza danymi dotyczącymi możliwości przewozowych upubliczniono też informacje o kilku para-

metrach przyszłego indyjskiego śmigłowca. Jednym z oczekiwań wojskowych jest duży pułap operacyjny, który ma wynosić 21 320 stóp, czyli około 6,5 tys. m, gdyż IMRH ma działać w terenach wysokogórskich, na pograniczu z Chinami i Pakistanem. Maksymalny zasięg bez dodatkowych zbiorników paliwa ma wynosić 500 km, a z nimi – o 300 km więcej. Prędkość maksymalna nie będzie szczególnie imponująca, maszyna osiągnie tylko 230 km/h.

Zapotrzebowanie sił zbrojnych Indii szacuje się na ponad 200 egzemplarzy. IMRH jest postrzegany jako następca rosyjskich Mi-17, które teraz są podstawowym śmigłowcem transportowym w lotnictwie mocarstwa z Azji Południowej.

Znacznie bardziej zaawansowany jest program lekkiego śmigłowca wielozadaniowego (Light Utility Helicopter – LUH), jednosilnikowej maszyny o masie startowej 2,7 tys. kg. Na jej napęd wybrano silnik HAL/Turbomeca Shakti 1U o mocy 1020 KM. Pułap operacyjny wyniesie 6,5 tys. m, a zasięg 350 km. Poza dwuosobową załogą w kabinie będzie miejsce dla sześciu pasażerów lub 350 kg ładunku. Pierwszy lot LUH odbył się 6 września 2016 roku w Bangalurze. Jeśli nie pojawią się żadne problemy, to dostawy tych maszyn rozpoczną się w latach 2019–2020. Dane o zapotrzebowaniu indyjskich sił zbrojnych na tej klasy śmigłowiec zostały podane we wrześniu 2014 roku w serwisie internetowym Business-standard. Dwa lata później w tym samym miejscu zamieszczono

TADEUSZ WRÓBEL

ŚMIGŁA Z DEKANU

Indie są jednym z największych rynków zbytu dla śmigłowców wojskowych. Od lat władze tego kraju dążą do tego, aby większość kupowanych maszyn była rodzimej konstrukcji i produkcji.



informację, że na razie potwierdzono zamówienie 200 sztuk LUH, które zastąpią śmigłowce Cheetah i Chetak oraz wyprodukowane przez spółkę HAL na licencji jednosilnikowe maszyny Aérospatiale SA 315B Lama. Równocześnie z pracami nad własną konstrukcją HAL nawiązała współpracę z Rosją w sprawie dostaw śmigłowców Kamow Ka-226T dla sił zbrojnych Indii. 60 maszyn będzie wyprodukowanych w Rosji, a co najmniej 140 powstanie w Indiach. Dostawy Ka-226T rozpoczną się w 2019 roku.

RODZINA DHRUV

IMRH nie będzie pierwszym śmigłowcem rodzimej konstrukcji w Indiach. Od 2002 roku HAL produkuje, głównie na zamówienie ministerstwa obrony, zaawansowany lekki śmigłowiec (Advanced Light Helicopter – ALH) o maksymalnej masie startowej 5,5 tys. kg, który nazwano Dhruv. Program prac nad ALH zakończono w maju 1979 roku, a prototyp dhruva pierwszy raz wypróbowano w powietrzu 20 sierpnia 1992 roku. Pierwsze wersje tej maszyny otrzymały jako napęd dwa silniki TM 333-2B2, francuskiej firmy Turbomeca, o mocy 1074 KM. Później zastąpiono je silnikami HAL/Turbomeca Shakti o mocy 1206 KM. W wersji transportowej ALH zabiera do 14 osób. Z kolei dhruv Mk IV ze zintegrowanym uzbrojeniem, nazwany Rudra, ma pod kadłubem działko kalibru 20 mm, po bokach zaś podwieszone wyrzutnie niekierowanych pocisków rakietowych kalibru 70 mm, przeciwpancernych pocisków kierowanych Helina (lotnicza wersja pocisku Nag) oraz pociski klasy powietrze–powietrze Mistral. Pierwszy egzemplarz bojowej wersji przekazano lotnictwu wojsk lądowych w lutym 2013 roku. W planach ma ono sformowanie sześciu eskadr (60 śmigłowców). 16 maszyn Rudra zamówiły siły powietrzne.

W lutym 2017 roku w serwisie dziennika „The Economics

Times” podano, że dotychczas klientom dostarczono 231 śmigłowców ALH. Tego samego dnia w serwisie Indiatoday znalazła się informacja, że spośród 159 zamówionych ALH wojsko dostało już 136, a pozostałe będą dostarczone w latach 2017–2018. Jednocześnie w lutym resort obrony zamówił następne 73 śmigłowce.

Doświadczenia zdobyte podczas projektowania ALH Hindusi wykorzystali do stworzenia lekkiego śmigłowca bojowego (Light Combat Helicopter – LCH). W odmianie dla wojsk lądowych i sił powietrznych jest przewidziany m.in. do zwalczania dronów, wykonywania misji rozpoznawczych, przeciwpartyzanckich, bojowych i poszukiwawczo-ratowniczych. Ma też powstać odmiana morska – do zwalczania okrętów podwodnych i nawodnych. LCH o maksymalnej masie startowej 5,8 tys. kg ma typową dla współczesnych śmigłowców szturmowych kabinę w układzie tandemowym. Będzie przenosić uzbrojenie o masie 1000 kg. Podobnie jak w przypadku innych konstrukcji wiroplątów, szczególną uwagę przyłożono do zdolności do działań na dużych wysokościach.

LCH pierwszy raz wzbił się w powietrze w marcu 2010 roku. Na razie resort obrony złożył ograniczone zamówienia, na 15 egzemplarzy LCH – dziesięciu dla sił powietrznych i pięciu dla lotnictwa armii. Jednak w planach jest zakup 179 maszyn – 114 dla wojsk lądowych (tygodnik „IHS Jane’s Defense Weekly” oceniał ich potrzeby na 180) i 65 dla sił powietrznych, które pierwsze dziesięć LCH mają dostać do lipca 2017 roku.

Rodzimi konstrukcjami Indie mogą zaspokoić większość zapotrzebowania sił zbrojnych na śmigłowce. Niemniej jednak nadal będą uzależnione od współpracy z producentami zagranicznymi, zwłaszcza gdy w grę wchodzi bardzo zaawansowane platformy, na przykład ciężkie śmigłowce szturmowe czy też wielozadaniowe maszyny dla lotnictwa morskiego. ■

Od 2002 roku HAL produkuje lekki śmigłowiec o maksymalnej masie startowej 5,5 tys. kg, który nazwano Dhruv.





UKRAINA

Salonowa oferta

Na wystawie zbrojeniowej IDEX 2017 w Zjednoczonych Emiratach Arabskich firma UKROBORONPROM SE STIF „Ukrin-mash” zaprezentowała lekki śmigłowiec bojowy KT112 Combat (inne oznaczenie to KT 112UD). Maszynę wyposażono w czterocylindrowy, czterosuwowy silnik Rotax-914 o maksymalnej mocy 115 KM, który

UKROBORONPROM

pozwała na rozwinięcie prędkości do 200 km/h. W skład uzbrojenia ukraińskiego śmigłowca wchodzi przeciwpancerne pociski kierowane Barrier-W (mogą być inne), przeciwlotnicze Strzała 2 lub Igła oraz karabin maszynowy PKT. Śmigłowiec został też wyposażony w zestaw kamer termowizyjnych, które ułatwiają celowanie. WRT ■

USA

Logistyka na fali

Judy Foote i Harjit Sajjan, czyli kanadyjscy ministrowie służby publicznej i zamówień oraz obrony, wspólnie ogłosili, że ze stocznią Seaspan's Vancouver Shipyards został zawarty kontrakt na zaprojektowanie i budowę okrętu wsparcia logistycznego (Joint Support Ship – JSS). Jego budowa rozpocznie się w 2018 roku. HMCS „Queenstone” trafi do marynarki w roku 2021, a w następnym – jego bliźniak, HMCS „Châteauguay”. Całkowite koszty programu JSS oszacowano na 2,3 mld dolarów. Nowe jednostki zastąpią ponadczterdziestoletnie okręty zaopatrzeniowe typu Protecteur. WR ■

CANADIAN NAVY



FRANCJA

Nowy lekki śmigłowiec

Jean-Yves Le Drian, minister obrony Francji, zapowiedział w czasie wizyty w zakładach Airbus Helicopters w Marignane, że jego resort zamówi od 160 do 190 lekkich maszyn H160 dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych w ramach programu „Hélicoptère Interarmées Léger” (wspólny lekki śmigłowiec). Polityk ujawnił informację, że decyzję podjęto na szczepku Rady Ministrów, a dostawy nowego śmigłowca rozpoczyna się około 2024 roku. Nie sprecyzował jednak, kiedy zostanie

złożone pierwsze zamówienie. Na razie istnieje tylko wersja cywilna dwusilnikowego H160, który ma być dostępny na rynku na przełomie 2018 i 2019 roku. Nowa maszyna zastąpi kilka typów śmigłowców – Aérospatiale Alouette III, AS365 Dauphin i AS565 Panther w marynarce wojennej, AS555 Fennec w siłach powietrznych i SA 342 Gazelle w wojskach lądowych. Minister Le Drian zapowiedział też wymianę śmigłowców z rodziny Super Puma. WT ■



AIRBUS

160-190
MASZYN

NIMR



ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE

Na podbój Europy

Umowa o strategicznej współpracy podpisana.

Firma NIMR Automotive ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich podpisała z czeską VOP CZ umowę o strategicznej współpracy, która obejmuje marketing, dystrybucję, produkcję i wsparcie po sprzedaży pojazdów opancerzonych w krajach Grupy Wyszehradzkiej. Planowane jest wyprodukowanie w ciągu najbliższych od trzech do pięciu lat **ponad tysiącę wozów** o wartości przekraczającej 500 mln dolarów. Czeska firma już od dwóch lat wytwarza dla NIMR kabiny wozów Abjan 440A.

Firma ma już silną pozycję na rynkach Bliskiego Wschodu

i Afryki Północnej. Siły zbrojne ZEA zamówiły w niej dużą partię MRAP-ów, na podwoziach czteroi sześciokołowych. 1500 pojazdów, stworzonych na bazie konstrukcji RG35 południowoafrykańskiej firmy Denel, przewidziano jako bojowe wozy piechoty JAIS, 150 egzemplarzy będzie wozami wsparcia artylerii (Haffet 630A), występującymi w dwóch konfiguracjach – jako obserwacyjne lub dowodzenia. 115 pojazdów natomiast będzie niszczycielami czołgów Abjan 440A z wyrzutniami przeciwpancernych pocisków kierowanych. WW

USA

Dodatkowy pancerz

Amerykańska armia postanowiła **wzmocnić ochronę czołgów**, które rozmieszczone są w Europie. W pierwszej kolejności opancerzenie reaktywne zamontowano na pojazdach M1A2 Sep V2 Abrams z 1 Batalionu 66 Pułku Pancernego z 3 Brygadowego Zespołu Bojowego 4 Dywizji Piechoty.

Ten batalion stacjonuje na niemieckim poligonie Grafenwöhr. Amerykańscy żołnierze przybyli do Europy na początku 2017 roku w ramach operacji „Atlantic Resolve”, której celem jest wsparcie europejskich sojuszników z NATO w obliczu agresywnej polityki Rosji. W



U.S. ARMY

BRAZYLIA

Rakietowe wzmocnienie

Szwedzka firma SAAB podpisała kontrakt na dostawę rakietowego systemu przeciwlotniczego bardzo krótkiego zasięgu RBS 70 dla wojsk lądowych Brazylii. Wartość umowy wyniosła 105 mln koron (około 11 mln euro). Nie podano liczby wyrzutni, które mają być dostarczone w latach 2017–

–2018. Brazylijczycy już posiadają zestaw RBS 70 Mk II, kupione, aby wzmocnić ochronę aren sportowych w Rio de Janeiro, na których w 2016 roku odbyły się igrzyska olimpijskie. Wartość umowy podpisanej w 2014 roku wyniosła 12,5 mln dolarów. TED

S A A B



KRZYSZTOF WILEWSKI

Wybuchowa inteligencja

Miny przeciwpancerne i przeciwpiechotne nowej generacji same namierzają cele, identyfikują je i decydują: atakować czy nie.



To konwencja ottawska wymusiła na armiach na całym świecie budowę min inteligentnych.

Niewielka grupa szturmowa przemieszcza się wzdłuż wąskiej drogi w kierunku pozycji przeciwnika. Na jej czele podążają zwiadowcy oraz saperzy, którzy za pomocą bardzo czułych wykrywaczy metali starannie sprawdzają teren w poszukiwaniu „niespodzianek” pozostawionych przez wroga. Nie zauważyli jednak niewielkiej głowicy optoelektronicznej obserwującej ich uważnie z odległości ponad 300 m ani miniaturowych mikrofonów, ani kierunkowych min. Może ich czujność uśpił fakt, że przed godziną tą drogą transportowano zaopatrzenie dla strony przeciwej...

OBOŚIECZNA BRÓŃ

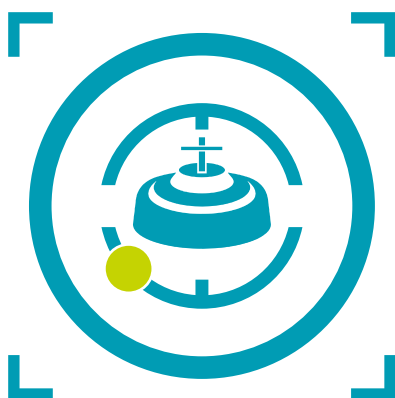
Pierwsze informacje o użyciu min pochodzą z dwunastowiecznych Chin. W Europie broń ta pojawiła się w XVI wieku. Początkowo nie była powszechnie stosowana przez wojska. Na masową skalę wykorzystano ją po raz pierwszy w czasie amerykańskiej rewolucji oraz wojny secesyjnej. Kiedy okazało się, że jest prosta w użyciu, relatywnie tania i zabójczo skuteczna, nie było już w zasadzie konfliktu zbrojnego, w którym by tej broni nie zastosowano.

Miny mają jednak istotną wadę – oddziałują zarówno na wrogów, jak i sojuszników. Co to oznacza dla dowódców planujących walkę? Jeśli ustawią w danym rejonie zaporę minową, muszą ją uwzględnić przy każdym manewrze. Niby nic trudnego, ale wiadomo, jak dynamicznie zmienia się sytuacja na polu walki. Zapora minowa mająca na przykład odgrodzić nas od nacierającego przeciwnika po kilku niespodziewanych manewrach może znaleźć się za naszymi plecami i odciąć nam drogę ewakuacji.

Co gorsza, po zakończeniu walk ofiarami min przeciwpiechotnych są najczęściej cywile. Skalę tego typu zagrożeń pokazały wojny z drugiej połowy XX wieku. W Korei i Wietnamie, w krajach Bliskiego Wschodu, w Afryce i Ameryce Południowej na polach minowych najwięcej ludzi zginęło nie w czasie walk, lecz gdy uciły już strzały. Ofiarami były głównie kobiety, dzieci i starsi ludzie. Cywilizowane społeczeństwa zaczęły więc coraz głośniejsze domagać się wprowadzenia zakazu używania tej broni.

Wreszcie w październiku 1996 roku pod patronatem rządu Kanady zorganizowano konferencję z udziałem

50 delegacji z różnych państw, które podpisały deklarację ottawską. Jej sygnatariusze zobowiązali się do wprowadzenia zakazu używania min przeciwpiechotnych, ich produkcji i składowania, a także do zniszczenia posiadanych zapasów. Dokument ten parafoowało już ponad 160 krajów. Niestety w tym gronie nie ma największych potęg militarnych – Chin, Rosji i USA, a także m.in. Indii, Izraela i obu Korei. Prawdopodobnie one także wkrótce podpiszą deklarację, ponieważ pojawia się wiele nowych rozwiązań jako alternatywa dla klasycznych min przeciwpiechotnych.



CZOŁOWE ARMIE ŚWIATA MAJĄ JUŻ W SWOIM WY- POSAŻENIU MINY NIEZA- BIJAJĄCE OFIAR

HUMANITARNE MINY?

Poszukiwania zamiennika dla min przeciwpiechotnych prowadzono w dwóch kierunkach. Pierwszy zakładał opracowanie takiej broni, która nie zabijałaby przeciwnika, lecz jedynie obezwładniała. Drugi to dążenie do skonstruowania ładunków inteligentnych, które same potrafią rozpoznać wroga.

Główne armie świata mają już w swoim wyposażeniu miny niepowodujące śmiertelnych ofiar. Prace nad tego typu bronią Amerykanie rozpoczęli pod koniec ubiegłego wieku. Dowództwo US Army zdecydowało wówczas, że dla lepszego efektu odstraszania mają one

przypominać tradycyjne uzbrojenie. Przykładem miny przeciwpiechotnej wykorzystywanej w amerykańskiej armii jest M18A1 Claymore. Opracowany na początku ubiegłej dekady zestaw strefowo rażącej amunicji (ZSRA) jest jej wierną kopią, ale wewnątrz ma 600 gumowych kulek o średnicy 32 mm oraz materiał miotający. Producent ZSRA deklaruje, że zestaw może razić obiekty oddalone nawet o 30 m, ale największą skuteczność osiąga w odległości od 5 do 15 m. Z tych min można ustawiać zapory składające się z kilkunastu ładunków detonowanych drogą radiową.

Również w wielu europejskich krajach takie niezabijające miny weszły już do wyposażenia wojsk lub ich opracowywanie dobiega końca. Niemiecka armia realizuje trzy programy badawczo-rozwojowe w tej dziedzinie. Projekt „Nilpferd” ma zaowocować powstaniem miny, która będzie samoczynnie namierzać cel dzięki głowicy optoelektronicznej lub mikrofonom kierunkowym, a potem obezwładniać wroga za pomocą siatki. Bliźniaczym programem jest „Chamäleon”. Zgodnie z założeniami →



Polska inteligentna mina przeciwpancerna Tulipan waży zaledwie 7 kilogramów, a przebija pancerz o grubości 60 mm!

OFIARAMI MIN PRZECIWPIECHOTNYCH CZĘSTO SĄ PRZYPADKOWI CYWILE

pętla z liny zaciśnie się na nodze ofiary wykrytej przez czujniki sejsmiczne. Nieco mniej futurystyczny „Bovist” przewiduje z kolei wyprodukowanie miny chemicznej. Broń ma zawierać pojemnik z cieczą, której zapach oszołomi przeciwnika aż na 20 minut.

SYSTEMY CZUJNIKÓW

Zupełnie inaczej podeszli do zagadnienia Francuzi. By dostosować się do zapisów konwencji ottawskiej, chcą opracować miny przeciwpiechotne nowej generacji, które będą identyfikowały cele samodzielnie albo sterowane przez człowieka. Na tym polega program badawczo-rozwojowy francuskiej armii – „Moder Plus”. Jedną z wersji ładunku Galix, oznaczonego liczbą 19, jest jednak mina dźwiękowa, która za pomocą granatów hukowych ma na kilkanaście minut obezwładnić przeciwnika.

Francuska armia pracuje także nad dwoma innymi projektami – „Spectre” i „Suzon”, które są systemami zawierającymi różne sensory służące do obserwacji i nadzorowania danego terenu. W tym wypadku efektem ma być nie ładunek wybuchowy zawarty w minie, lecz dron uzbrojony w rakiety czy też ukryta w pobliżu artyleria. Droge, którą wybrali Francuzi, wybrała zdecydowana większość państw na świecie, w tym także Polska.

DOBRE, BO POLSKIE

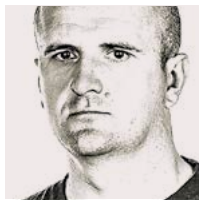
Na początku ubiegłej dekady uruchomiono rodzimy program o nazwie „Jarzębina”. W 2006 roku Ministerstwo Obrony Narodowej zleciło kilku instytucjom naukowo-badawczym, w tym Wojskowemu Instytutowi Techniki Inżynieryjnej, opracowanie zapór minowych, które spełniałyby normy i wymagania narzucone przez konwencję ottawską. W efekcie prac w 2011 roku zaprezentowano dwa projekty – system sterowanych ładun-

ków wybuchowych „Jarzębina-S” oraz system kierowanych min przeciwpancernych „Jarzębina-K”.

W rozwiązaniu oznaczonym literą S całym polem minowym miał zarządzać operator, a w projekcie o symbolu K, w pełni automatycznym – komputer, który sterowałby całym procesem od identyfikacji celu do decyzji o odpaleniu ładunku. Niestety żaden z tych systemów nie trafił jeszcze do wyposażenia polskich wojsk, chociaż to Skarb Państwa jest właścicielem opracowanej dokumentacji technicznej i może w każdej chwili zlecić ich produkcję przemysłowi. Nad typami nowych min pracowały nie tylko ośrodki naukowe, lecz także przemysłowe. Inżynierowie z bydgoskiej Belmy przygotowali rodzinę nowych min przeciwburtowych (przeciwpancernych) oraz nadzorowany system ochrony obszaru. NSOO jest siecią (systemem) różnego typu sensorów służących do obserwacji terenu i identyfikacji wrogich obiektów. W odróżnieniu na przykład od francuskiego rozwiązania „Spectra” operator może zastosować nie tylko środki niekinetyczne (granaty ogłuszające, ostrzegawcze sygnały dźwiękowe i świetlne), lecz także miny przeciwpancerne lub przeciwpiechotne.

PIEŚŃ PRZYSZŁOŚCI

Współczesne miny przeciwpiechotne, po wprowadzeniu w konwencji ottawskiej zakazu używania konstrukcji z klasycznym zapalnikiem oraz niemających systemów do masowej automatycznej dezaktywacji, musiały stać się zaawansowanymi technologicznie urządzeniami. Są one zatem tak naszpikowane elektroniką, że potrafią nie tylko zobaczyć, usłyszeć i zidentyfikować cel, lecz także podjąć decyzję, czy go zniszczyć. Dalszy rozwój tej broni to przede wszystkim jeszcze lepsze i skuteczniejsze systemy identyfikacji obiektów oraz nowe typy głowic bojowych, które pozwolą atakować cele znajdujące się w znacznej odległości. ■



RAFAŁ
CIASTOŃ

Starożytny bewup



Rydwan był pierwszym wozem bojowym w historii wojskowości. Stojący na tej ruchomej platformie wojownicy mogli razić wroga za pomocą różnego rodzaju uzbrojenia – łuków, oszczepów, włócznie czy też broni siecznej. Na pewien czas zrewolucjonizował on sztukę wojenną, szczególnie w rejonie Azji Mniejszej i Bliskiego Wschodu, choć znany i używany był również w Europie, Indiach i Chinach.

Rydwany w znanej nam dziś postaci pojawiły się w drugim tysiącleciu, a dwie największe armie, które korzystały z tego wynalazku, to egipska i hetycka. Egipcjanie przejęli, udoskonalili i zaczęli masowo stosować rydwany po najeździe Hyksosów (od połowy XVII do połowy XVI wieku p.n.e.), Hetyci zaś zapożyczyli ten rodzaj wozu od podbitych przez siebie Hurytów (XIV wiek p.n.e.). Wozy egipskie różniły się od swoich hetyckich odpowiedników zarówno pod względem konstrukcyjnym, były bowiem nieco lżejsze, jak i taktyki użycia – służyły jako platformy łucznicze poruszające się równolegle do linii wojsk nieprzyjaciela i zasypujące go gradem strzał miotanych z przywiezionych do Egiptu przez Hyksosów łuków kompozytowych. Wozy Hetytów, nieco cięższe i lepiej chroniące załogę, służyły głównie do szarży przełamującej, rozbijającej szyki wroga, a znajdujący się w środku wojownik był oszczepnikiem, nie łucznikiem. Najbardziej znanym starciem obu armii, zakończonym taktycznym patem i strategicznym remisem, była bitwa pod Kadesz (1274 rok p.n.e.), w której obie strony użyły łącznie około 5–6 tys.(!) rydwanów. Hetyci, korzystając umiejętnie z dezinformacji, uderzyli jako pierwsi na rozczłonkowane siły egipskie i byli blisko zwycięstwa, którego ostatecznie nie udało się jednak osiągnąć. Przyczyniło się do tego nie tylko osobiste zaangażowanie w walkę faraona Ramzesa II, lecz także dotarcie na pole bitwy kolejnych oddziałów jego wojsk. Egipcjanie zniszczyli najprawdopodobniej wszystkie rydwany przeciwnika, jednak nie byli w stanie przełamać linii liczniejszej piechoty hetyckiej, która nie mogła ścigać rydwanów. Skłoniło to władców do szukania kompromisu. Rydwany odgrywały istotną rolę w armii asyryjskiej, były używane także w Persji Achemenidów, choć ich znaczenie z czasem zmalało. Podobnie zresztą jak w Chinach, gdzie szczyt popularności pojazdy te osiągnęły między VIII a V wiekiem p.n.e. – pomimo swych zalet miały bowiem szereg wad.

Konstrukcja rydwanów wymagała ograniczenia ich masy, co wiązało się m.in. z rodzajem stosowanej uprzęży, zmniejszającej moc pociągową konia. To zaś powodowało, iż były one podatne na uszkodzenia mechaniczne – pęknięcie koła lub osi wyłączało pojazd z walki. Z tego powodu ich zdolność do pokonywania przeszkód terenowych była znikoma, podobnie zresztą jak zdolność manewru całej formacji. Jednocześnie, jak pokazał przykład bitwy pod Kadesz, rydwany nie były wystarczająco skuteczne w starciu ze zdyscyplinowaną piechotą, która potrafiła utrzymać linię i razić je strzałami. Zranienie, a tym bardziej zabicie jednego konia z zaprzęgu (a rydwany asyryjskie potrafiły mieć zaprzęgi nawet czterokonne), wyłączało rydwan z walki równie skutecznie co pęknięta oś. Wreszcie zdecydowanie bardziej efektywna okazała się kawaleria, zwłaszcza konni łucznicy, dysponujący taką samą siłą rażenia jak łucznicy z rydwanów, pozbawieni jednak ich ograniczeń.

Wycofane z pól bitewnych rydwany trafiły na areny sportowe – w starożytnej Grecji, a później Rzymie zawody z ich udziałem dostarczały emocji porównywalnych zapewne z dzisiejszymi wyścigami Formuły 1.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ ZAGROŻENIA

TOMASZ OTŁOWSKI

METODA NA SAMOBÓJCĘ

Według bardzo ostrożnych szacunków, od 1982 roku do końca 2016 roku islamscy szahidzi dokonali na całym świecie łącznie około 5,5 tys. zamachów, w których śmierć poniosło niemal 55 tys. ludzi. A wszystko wskazuje na to, że najgorsze wciąż przed nami.



G

dy rankiem 11 listopada 1982 roku rozpędzona półciężarówka z impetem wbiła się w siedzibę lokalnego dowództwa okupacyjnych sił izraelskich w Tyrze w południowym Libanie, aby na skutek potężnej eksplozji niemal doszczętnie zrównać budynek z ziemią – nikt nie podejrzewał, że w dziejach świata zaczął się właśnie nowy rozdział. Incydent w Tyrze nie był bowiem, jak w pierwszych chwilach sądzono, tragicznym wypadkiem, lecz drobniawo zaplanowanym i przygotowanym zamachem terrorystycznym, dokonany w nowatorski sposób przez jedną z wielu działających wówczas w Libanie proirańskich milicji szyickich, niedługo potem połączonych w jednolitą, prężną strukturę – Hezbollah (Partię Boga). Zamachowcem okazał się zaledwie 15-letni Ahmed Dżafar al-Kassir. Stał się on pierwszym islamskim zamachowcem samobójcą, nowym wcieleniem bojownika-męczennika za „świętą sprawę” islamu, czyli szahida. Od tamtego tragicznego listopadowego dnia za przykładem młodego Al-Kassira poszły już tysiące muzułmańskich fanatyków, przekonanych o tym, że służą nie tylko swojej religii, lecz także zbawieniu duszy. Ofiary ich ataków liczy się już w dziesiątkach tysięcy, a strach, jaki wzbudzają, rośnie wprost proporcjonalnie do liczby zamachów.

Dziś, 35 lat później, aż trudno uwierzyć, że historia islamistycznych ataków samobójczych jest aż tak krótka. Wystarczyło życie jednego pokolenia, aby islamscy zamachowcy samobójcy, którzy dotychczas byli lokalnym problemem regionów endemicznie dotkniętych nierozwiązanymi konfliktami politycznymi lub etnicznymi, stali się powszechną plagą i zagrożeniem o globalnym zasięgu. Samobójcze zamachy, dokonywane w imię Allaha z użyciem najróżniejszych środków i technik, stały się w ciągu po-

nad trzech dekad wizytówką islamskiego terroryzmu. Organizacją ekstremistyczną, która zaczęła je stosować na masową skalę i uczyniła z nich główny sposób działania, stała się sunnicka Al-Kaida. Począwszy od lat dziewięćdziesiątych XX wieku, właśnie to ugrupowanie, założone przez Osamę bin Ladena, doprowadziło taktykę zamachów samobójczych do perfekcji, nadając jej określony wymiar ideologiczny i teologiczne uzasadnienie. Dzisiaj palmę pierwszeństwa po Al-Kaidzie przejęło Państwo Islamskie (IS) i jego regionalne odgałęzienia.

Skutek jest dramatyczny – praktycznie każdego dnia gdzieś na świecie (najczęściej w Afryce, Azji Południowej i na Bliskim Wschodzie) co najmniej jeden islamski ekstremista staje się szahidem. Co gorsza, rzesza wyznawców Proroka, którzy skłonni są podążyć ścieżką tak rozumianego męczeństwa, zdaje się rosnąć.

TROCHE FAKTÓW I STATYSTYKI

Według danych izraelskiego Instytutu Narodowych Badań Strategicznych (Institute for National Security Studies – INSS), od wielu lat zgłębiającego problem szahidzkich zamachów, w 2016 roku dokonano na świecie 469 terrorystycznych ataków samobójczych, w których śmierć poniosło 5650 osób. Oznacza to, że w stosunku do roku 2015 liczba zamachów wzrosła o 5%, a ich ofiar – aż o 30%.

Warto jednak pamiętać, że statystyki rządzą się własnymi prawami. Twórcy raportu INSS sami przyznają, że przyjmują w swych opracowaniach bardzo zachowawczą metodologię, m.in. uwzględniają tylko te incydenty, które były raportowane przez co najmniej dwa niezależne, międzynarodowe media. Sprawia to, że wiele zamachów samobójczych, zwłaszcza dokonywanych przez bojowników Państwa Islamskiego w ramach regularnej aktywności militarnej kalifatu na licznych frontach prowadzonych przezeń wojen, nie jest wliczana do zestawień INSS.



U S A R M Y

Wybuch samochodu pułapki na ulicy południowego Bagdadu w Iraku

Tymczasem ośrodki badawcze specjalizujące się właśnie w takiej aktywności operacyjnej struktur IS (np. The Long War Journal) szacują, że w 2016 roku samo tylko Państwo Islamskie dokonało – i to jedynie w Iraku, Syrii oraz Libii – około 1140 zamachów i operacji szahidzkich. Jak więc widać, rozbieżności w zestawieniach są olbrzymie, prawda najpewniej leży zatem gdzieś pośrodku.

Wraz z systematycznie rosnącą liczbą zamachów samobójczych oraz ich ofiar, zwiększa się także liczba państw, które doświadczają tego typu zagrożeń. Tę tendencję wzrostową obserwuje się – z różnym nasileniem – już od kilkunastu lat, a jej początek zbiega się z rozpoczęciem przez Zachód tzw. wojny z terroryzmem, po największej, jak dotąd, serii ataków samobójczych, jakimi były zamachy na Nowy Jork i Pentagon z 11 września 2001 roku. Wcześniej, między zamachem w Tyrze a rokiem 2000 – czyli w ciągu około 18 lat – na świecie doszło „jedynie” do 200 zamachów samobójczych. Tymczasem, jeśli wierzyć doniesieniom mediów kurdyjskich i syryjskich, samo Państwo Islamskie przeprowadziło podobną liczbę ataków samobójczych tylko w grudniu 2016 roku, i to wyłącznie w Lewancie. Gwałtowny, tragiczny w skutkach wzrost liczby zamachów samobójczych przypada zatem na ostatnie 15 lat, czyli od zamachów w Stanach Zjednoczonych.

ATRAKCYJNY LOS SZAHIDA

Co sprawia, że taktyka zamachów samobójczych jest dla islamistów tak atrakcyjna? Odpowiedź na to pytanie nie jest ani łatwa, ani jednoznaczna i zawiera cały zestaw aspektów zarówno natury religijnej (teologicznej) w ramach islamu, jak też ściśle militarnych (operacyjnych).

W teologii muzułmańskiej szahid to osoba poświęcająca się dla ogółu wiernych. Warto przytoczyć tu definicję islamskiego męczennika, opracowaną ponad 30 lat temu przez szyickiego ajatollaha Mortezę Mutaharriego z Iranu: „Szahid jest jak świeca, której zadaniem jest palić się i dawać światło ku pożytkowi innych. Męczennicy są właśnie takimi świecami dla ogółu wiernych –

wypalają się i oświetlają całą zbiorowość, ukazując jej właściwą drogę”.

To poświęcenie w przypadku samobójczych operacji terrorystycznych lub militarnych oznacza po prostu oddanie własnego życia dla „sprawy”. To istotna ewolucja w sposobie postrzegania szahida-męczennika w teologii islamskiej. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu idea ta zawierała głównie pierwiastek konstruktywny – w postaci postulatu pracy danej jednostki nad sobą czy na rzecz jej najbliższego otoczenia, np. poświęcania się w sensie duchowym lub przez należyte wykonywanie swych obowiązków zawodowych. Obecnie jednak dominuje pierwiastek destruktywny, zakładający właśnie poświęcenie życia w walce za islam i jego wyznawców. Nic więc dziwnego, że współczesne radykalne interpretacje islamu (zarówno sunnickiego, jak i szyickiego) dopuszczają, a często wręcz pochwalają i afirmują, formę samobójczej śmierci wyznawcy w walce o „świętą sprawę”. I to pociągającej za sobą śmierć wrogów islamu. Zarówno wśród sunnitów, jak i szyitów istnieje przy tym autentyczne przekonanie i pełna zgodność co do tego, że szahid jest w wyniku swego czynu niejako automatycznie zbawiony i trafia wprost „na łono Allaha”. Element ten jest nie bez znaczenia w rozważaniach nad fenomenem niekończącej się kolejki ochotników do tej roli.

Rosnąca popularność taktyki zamachów samobójczych jest jednak również rezultatem jej prostoty i operacyjnej elastyczności. Większość ataków szahidzkich to akcje nieskomplikowane pod względem planistycznym i organizacyjnym, a do tego relatywnie tanie, zwłaszcza w porównaniu z innymi formami działań nieregularnych. Dla licznych ugrupowań islamistycznych w wielu konfliktach (Afganistan, Pakistan, Irak, Syria, Libia, Jemen itd.) jest to zatem niejako naturalny i pierwszy z wyboru sposób prowadzenia walki. Zasadniczym (i w zasadzie wyłącznym) problemem, z którym muszą się zmierzyć ekstremiści, jest znalezienie odpowiedniej liczby kandydatów na szahidów. Różne ugrupowania radzą sobie z tym →

wyzwaniem w rozmaity sposób: najczęściej obiecują odpowiednio wysokie gratyfikacje finansowe dla rodziny przyszłego „męczennika” (tak robi do dziś palestyński Hamas, a wcześniej robił libański Hezbollah). Grupy takie jak Al-Kaida i jej odgałęzienia czy ostatnio IS, tworzą specjalne „elitarne” obozy szkoleniowe dla przyszłych szahidów – podczas intensywnego programu szkoleniowego zamienia się tam młodzież i dzieci w gotowych na wszystko samobójców. Państwo Islamskie werbuje również kandydatów na islamskich męczenników spośród tysięcy ochotników przybywających do Lewantu czy Libii w ramach dżihadu. Ich wartość militarna często bywa niewielka, są zatem kierowani do specjalnych oddziałów samobójców. Zadaniem tych „formacji męczeńskich” jest przepro-

bójca daje bowiem organizatorom danej operacji znacznie więcej możliwości niż konwencjonalny atak. W pociągu, autobusie czy w galerii handlowej nikt nie zwróci uwagi na człowieka z plecakiem lub walizką, podczas gdy ten sam bagaż pozostawiony bez opieki może już wywołać alarm i spowodować porażkę całej akcji. Zamachowiec mający przeprowadzić atak za pomocą nasobnego ładunku wybuchowego (osławiony pas szahida) może też reagować na nagłe zmiany sytuacji wokół celu swojej operacji, np. opóźnić lub przyspieszyć akcję, a w ostateczności zmienić jej przebieg, wybierając inny, „zapasowy” cel. Zastosowanie konwencjonalnych urządzeń wybuchowych, pozostawianych w danym miejscu i detono-

Z PERSPEKTYWY CZŁONKÓW ZAATAKOWANEJ ZAMACHU POTĘGUJE JEGO GROZĘ I WYMIAR RÓŻNIC KULTUROWYCH I CYWILIZACYJNYCH

wadzenie ataków samobójczych (najczęściej z wykorzystaniem samochodów bomb), będących częścią większych operacji militarnych. To właśnie IS doprowadziło do wyżyn doskonałości taktykę walki bojowników dżihadystycznych, oryginalnie stworzoną przez Al-Kaidę, a polegającą na połączonym działaniu szahidów i „regularnych” oddziałów szturmowych. Zadaniem tych pierwszych jest dokonywanie wyłomu w liniach obrony przeciwnika, podczas gdy „szturmowcy” – korzystając z szoku i paniki w szeregach wroga po ataku samobójców – muszą już tylko zająć jego pozycje. Według takiego scenariusza przebiegał np. atak na polską bazę w Ghazni w Afganistanie w sierpniu 2013 roku. Formacje Państwa Islamskiego chętnie stosują zmasowane ataki samobójcze na pozycje przeciwnika także jako element taktyki defensywnej – w tym przypadku celem działania „męczenników” jest zdeorganizowanie przygotowań wroga do ataku, opóźnienie jego działań, wprowadzenie w jego szeregi zamętu i paniki.

Z kolei w operacjach ściśle terrorystycznych, podejmowanych przez islamistów zwłaszcza na Zachodzie, ataki samobójcze są preferowane głównie ze względów taktycznych. Odpowiednio zmotywowany zamachowiec samo-

wanych zdalnie lub zapalnikiem czasowym, nie zapewnia już organizatorom operacji terrorystycznej takich możliwości reagowania na zmiany wokół celu.

Duża efektywność taktyki zamachów samobójczych wynika także z możliwości jej zastosowania tam, gdzie jakkolwiek inna metoda ataku terrorystycznego jest z góry skazana na niepowodzenie. W wielu okolicznościach i miejscach tylko szahid – chodząca „ludzka bomba” – jest w stanie podjąć próbę oceny sytuacji, w jakiej znajduje się cel i jak jest chroniony. Przykładów prób wykorzystania zamachowców samobójców jest wiele i warto przytoczyć choćby kilka najbardziej charakterystycznych.

Mało kto już dzisiaj pamięta, skąd wzięła się irytująca procedura, nakazująca sprawdzanie podczas odprawy na lotniskach butów pasażerów podróżujących do USA. Wszystko przez niejakiego Richarda Reida, brytyjskiego konwertytę, który przeszedł na islam – w grudniu 2001 roku podjął on próbę (nieudaną) przeprowadzenia na pokładzie samolotu pasażerskiego linii American Airlines z Paryża do Miami samobójczego zamachu z wykorzystaniem urządzenia wybuchowego umieszczonego

w podeszwach butów. Reid ostatecznie męczennikiem nie został, ale jego wyczyn spowodował zaostrenie przepisów bezpieczeństwa na lotniskach.

Innym przykładem może być próba (również nieudana) zamachu na saudyjskiego księcia Muhammada ibn Najifa, ówczesnego szefa służb bezpieczeństwa Królestwa Saudów, przeprowadzona w 2009 roku przez członka Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego (AQAP). Zamachowiec przedostał się w pobliże Najifa, przechodząc wszelkie kontrole. Okazało się, że urządzenie wybuchowe (pół kilograma plastycznego materiału wraz z detonatorem) miał umieszczone w odbycie, a detonacja została zainicjowana sygnałem z telefonu komórkowego.

bójców). Z perspektywy członków zaatakowanej zbiorowości charakter samobójczy zamachu potęguje jego grozę i wymiar emocjonalny. Wynika to z zasadniczych różnic kulturowych i cywilizacyjnych między światami Zachodu a islamu. Dla nas człowiek i jego życie mają fundamentalne znaczenie i wartość nadrzędną, samobójstwo zaś – zwłaszcza popełnione w imię jakichś celów ideologicznych – jest niezgodne z porządkiem moralnym świata. Dla muzułmanów z kolei nadrzędną wartością nie jest człowiek, lecz Bóg z jego prawami. I to w relacji do niego i jego nakazów ma być kształtowane ludzkie

ZBIOROWOŚCI CHARAKTER SAMOBÓJCZY EMOCJONALNY. WYNIKA TO Z ZASADNICZYCH MIĘDZY ŚWIATAMI ZACHODU A ISLAMU

Podobna sytuacja miała miejsce w 2011 roku, kiedy to przeprowadzono (tym razem udany) zamach na wysokiego rangą polityka afgańskiego Burhanuddina Rabbaniego. Zamachowiec, udający skruszonego komendanta talibów skłonnego do negocjacji z rządem w Kabulu, na prywatne spotkanie z Rabbanim zdołał przemycić bombę ukrytą w turbanie. Ochrona afgańskiego dygnitarza skrupulatnie przeszukała gościa, nikt jednak nie odważył się nakazać mu zdjęcia tradycyjnego nakrycia głowy, bo byłoby to równoznaczne z jawną obrazą i dyshonorem. Rezultat był tragiczny – zginął nie tylko sam Rabbani, lecz także czterech innych obecnych w tym miejscu polityków afgańskich, członków Wysokiej Rady Pokoju.

SIĄĆ TERROR WŚRÓD NIEWIERNYCH

Analizując fenomen szahidów i ich ataków, nie sposób abstrahować od aspektów psychologicznych, szczególnie ważnych w odniesieniu do operacji dżihadystycznych podejmowanych na szeroko rozumianym Zachodzie. Konwencjonalny zamach bombowy, nawet krwawy, zawsze będzie tam miał znacznie mniejszy wydźwięk psychologiczny i medialny niż podobny w skutkach, ale dokonany przez szahida (lub kilkusobowe komando zamachowców samo-

życie. W takiej optyce usprawiedliwione i dopuszczalne są wszelkie działania (a więc i samobójcze zamachy) mające na celu zaprowadzenie na świat „bożego ładu”.

Islamiści doskonale zdają sobie sprawę z tych kulturowo-etycznych uwarunkowań i z tym większą premedytacją starają się w swych atakach przeprowadzanych na Zachodzie sięgać po szahidów. I to niekiedy w przypadku zamachów bombowych – w istocie bowiem zdecydowana większość ataków islamistycznych dokonanych w ostatnich kilku latach w USA, Kanadzie i Europie miała charakter misji samobójczych. Ich wykonawcy z premedytacją dążyli do śmierci, nawet jeśli zamiast nosobnego ładunku wybuchowego posługiwali się kałasznikowem. Ekstremiści islamscy wiedzą, że każdy taki incydent ma niebagatelne oddziaływanie na psychikę społeczeństw państw zachodnich, zwłaszcza tam, gdzie dekady laicyzacji i odwrotu od korzeni wiary poczyniły nieodwracalne spustoszenia. Właśnie w takich krajach dżihadystom najłatwiej jest realizować koraniczny nakaz „siania terroru w sercach niewiernych”.

Rola szahidów jako niezwykle skutecznej broni w arsenale ekstremistów islamskich z pewnością będzie nadal rosła. Co z kolei oznacza, że wspomniany trend eskalacji liczby zamachów dokonywanych przez islamskich „męczenników” nie zostanie szybko przełamany. ■



W Erbilu schronił się
Józef razem
z rodzicami, którzy
uciekli z Karakoszu.

MACIEJ MOSKWA

JESZCZE TYLKO TYGRYS

**Nie zdajesz sobie sprawy
z tego, co to miasto czeka.
Oni tu ciągle są, czekają
na odpowiedni moment.
To uśpione komórki, uwierz mi,
to się dopiero zacznie.**

Trzymaj głowę nisko i śpiesz się, wchodźcie dwójkami”, poinstruował mnie krótko iracki żołnierz. Dach, z którego widać rzekę Tygrys i zachodni Mosul, usłany jest łuskami. Wieńczący go murek, ustawiony z kiepskiej jakości pustaków, podziurawili żołnierze z obu frontów. Spoglądając przez plamkę światła między krawędziami betonowych bloków, można dostrzec linię brzegową i dzielnicę, które ciągle są twierdzą tzw. Państwa Islamskiego.

Bitwa o Mosul rozpoczęła się w październiku 2016 roku. Po trzech miesiącach zaciętych walk fundamentalisci właśnie utracili kontrolę nad wschodnią częścią miasta. Teraz już tylko nocami próbują desantować się przez rzekę. Ich celem jest m.in. przylegająca do niej dzielnica Hayy Bath. Lądują po zmroku jakieś 600 m od pozycji irackiej armii. Przyplływają małymi łodziami, na każdej z nich jest od kilku do kilkunastu bojowników. To są samobójcze misje nastawione na efekt psychologiczny.

Dla żołnierzy 16 Dywizji irackiej armii, którzy zajęli tutaj pozycję, zagrożenie w ogóle nie minęło. Państwo Islamskie ostrzeliwuje utracone dzielnice i coraz częściej wykorzystuje drony do precyzyjnych ataków w miejscach, gdzie w większych grupach zbierają się żołnierze. Budynek, z którego obserwujemy rzekę, ostrzelano dwa dni wcześniej. Niewielkiego rozmiaru rakietą przebiła się przez ścianę pokoju, w którym przykucamy. Przez okno →

MACIEJ MOSKWA / TESTIGO



OD POCZĄTKU OPERACJI WYPIERANIA IS Z MOSULU PONAD 1,2 TYS. OSÓB STRACIŁO ŻYCIE Z POWODU IMPROWIZOWANYCH URZĄDZEŃ WYBUCHOWYCH

majaczy w oddali zachodni Mosul. Rakieta na szczęście nie eksplodowała.

SELFIE ZE ŚMIERCIA

Gdzieś na zewnątrz, przed budynkiem, ciągle toczy się normalne życie, a przynajmniej jego namiastka. Przymykając między uliczkami, można spotkać sąsiadów, którzy wrócili do domów doglądać dobytku. Zerkają na żołnierzy, raz po raz muszą odpowiadać na ich pytania. Od kilku dni siły specjalne (National Security Service – NSS) szukają terrorystów, którzy mogli się ukryć w odbitych dzielnicach. Armia wchodzi do domów, pękają futryny, gną się ciężkie wrota mosulskich domów. Wprawdzie niektórzy mieszkańcy zdecydowali się zostać, ale to nie znaczy, że miejsce jest bezpieczne.

Przesuwamy się z oddziałem patrolującym budynki i zatrzymujemy przed tym, w którym IS składowało improwizowane pociski. „Niczego nie dotykaj. Idź krok w krok za mną i patrz pod nogi”, przestrzegł mnie kapitan z 76 Brygady. Wszedł pierwszy do domu, w którym terroryści zostawili pociski moździerzowe, zapalniki i pułapkę splątana

kablami. Miała eksplodować podczas przeszukania obiektu. Żołnierze robią sobie na miejscu selfie. Od początku operacji wypierania IS z Mosulu ponad 1,2 tys. osób straciło życie z powodu improwizowanych urządzeń wybuchowych, kolejne 750 zostało rannych w samej prowincji Ninawa. Opuszczamy budynek, na wąskiej ulicy zarówno żołnierze, jak i nieliczni mieszkańcy nerwowo spoglądają w górę. Wypatrują dronów.

„Dalej podwieziemy was humvee, tylko streszczajcie się, bo tu wcale nie jest bezpiecznie”, kapitan ponownie wykazał się przezornością. Zatrzymujemy się przed ostatnią linią budynków niedaleko „czwartego mostu” przy rzece. To właśnie tutaj dochodzi do nocnych walk, a cały rejon jest w zasięgu ognia snajperów. Ulice dookoła w charakterystyczny sposób zablokowano cywilnymi samochodami, część z nich to już tylko wypalone i ostrzelane wraki. Zmasowane ataki z użyciem VBIED-ów (vehicle-borne improvised explosive device, czyli pojazdy wypełnione materiałami wybuchowymi) zmusiły iracką armię do zastosowania taktyki ograniczającej samobójcze misje przeciwnika. Pomogli w tym mieszkańcy



MACIEJ MOSKWA/TESTIGO (3)

Dotychczas ponad 160 tys. mieszkańców Mosulu uciekło ze swoich domów.

miasta, parkując swoje samochody w poprzek ulic. Obok jednego z ostrzelanych aut leżą zwłoki terrorysty zabitego podczas nocnego szturm. Armia ich nie usuwa – tajemnicą poliszynela jest, że zostawia się je jako przestrożę dla sympatyków IS.

TO JEST HARAM!

W dzielnicy Sukkar znaleźliśmy dwóch samobójców. Pierwszy zdetonował się w morderczej próbie, jego szczątki leżały teraz wymieszane ze stertą śmieci. Kilka metrów dalej widać drugie ciało. Na zwłokach ciągle jeszcze jest pas szahida. W powietrzu unosi się fetor rozkładających się ciał i śmieci. Pomiedzy lejami po bombach chodzą cywile. Zupełnie nie zwracają uwagi na szczątki kolejnego terrorysty, który zginął w ataku lotniczym. Zatrzymali się, dopiero gdy policjant zaczął przeszukiwać kieszenie martwego dżihadysty. W jednej znalazł irackie dinary. Upuścił je nie dbając na ziemię. Dzieciaki, które do tej pory tylko się przyglądały, rzuciły się po pieniądze. „Zostawcie! To jest haram, to pieniądze pełne grzechu”. Kilka banknotów leżało na ziemi, inne zniknęły w kieszeniach. Policjant powoli za-

pakował do siatki kilka magazynków z amunicją znaną przy trupie. Ktoś mu obmył dłonie wodą z butelki. Powoli zapadał zmrok.

Dotychczas przeszło 160 tys. mieszkańców Mosulu uciekło ze swoich domów. Koalicja dokonała ponad 500 nalotów na miasto, które jest okrążone przez 100 tys. żołnierzy walczących przeciwko terrorystom – ich siły szacuje się na blisko 4 tys. bojowników. Zaczyna się trzecia część operacji w Mosulu. Gdy żołnierze przerzucają sprzęt w stronę południowego frontu, Państwo Islamskie dokonuje w tym czasie kolejnych samobójczych ataków.

„Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co to miasto czeka. Proszę, nie rób mi żadnych zdjęć i nie podawaj mojego imienia. Oni tu ciągle są, czekają na odpowiedni moment. To uśpione komórki, uwierz mi, to się dopiero zacznie”.

Niedawno mój kolega opublikował zdjęcie z restauracji, którą odwiedzał we wschodniej części miasta. To popularne miejsce zarówno wśród żołnierzy, jak i dziennikarzy relacjonujących konflikt. I właśnie w tym lokalu zdetonował się samobójca. Cztery osoby zginęły, 15 zostało rannych. W Mosulu nie tylko Tygrys został pokonany. ■

RAFAŁ CIASTOŃ

Fajerwerki dla Trumpa?

Korea Północna od początku roku zapowiada przeprowadzenie testów pocisku międzykontynentalnego. Czy to pokaz rzeczywistej siły, czy tylko preżenie muskułów przed nową administracją Stanów Zjednoczonych?

Rok 2016 na Półwyspie Koreańskim upłynął pod znakiem testów – przede wszystkim dwóch jądrowych, ale także ośmiu prób pocisku balistycznego średniego (pośredniego?) zasięgu Musudan, nie wspominając o pociskach krótkiego zasięgu i przeznaczonych dla okrętów podwodnych KN-11. Bieżący rok może okazać się przełomowy ze względu na testy innego z pocisków widm, międzykontynentalnego (ICBM) KN-08 lub też jego nowszej wersji – KN-14. Zwiastunem tego mogła być lutowa próba kolejnego pocisku średniego zasięgu Pukguksong-2.

IDZIE NOWE

Pod koniec ubiegłego i na początku tego roku informacja o możliwości testu pocisku nowej klasy przez Pjongjang kilkakrotnie pojawiała się w doniesieniach regionalnych i światowych agencji prasowych oraz telewizyjnych. W orędziu noworocznym Kim Dzong Un oznajmił, iż Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna wkroczyła w ostatnią fazę przygotowań do testu pocisku międzykontynentalnego (Intercontinental Ballistic Missile – ICBM), choć – jak słusznie zauważa John Schilling z amerykańskiego portalu 38 North – kwestia ta ani nie zajmowała centralnego miejsca w przemówieniu, ani też nie podano choćby przybliżonej daty. Wypowiedź dyktatora została jednak zauważona przez prezydenta elekta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa, który zareagował w swoim stylu – napisał krótko na Twitterze: „To nie nastąpi”. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czym była wypowiedź Kim Dzong Una. Być może jedynie sondowaniem, jak bardzo nowa administracja USA będzie skłonna do rozmów, a może jedynie potrząśnięciem szabelką obliczoną głównie na użytek wewnętrzny. Cechą wspólną dyktatorów jest jednak to, że nie mogą sobie pozwolić, aby ktoś publicznie podważał ich słowa, nawet jeśli jest to przyszły przywódca supermocarstwa. Rządowa agencja informacyjna KCNA poinformowała 8 stycznia, że Korea Północna może przeprowadzić próbę pocisku międzykontynentalnego „w dowolnym czasie

i z dowolnej lokalizacji”. Jak dodano, czynnikiem, który zmusza Koreańczyków do budowy takiego pocisku, jest oczywiście wroga polityka Waszyngtonu.

Rewelacje na temat możliwego testu uprawdopodobniła także wypowiedź Thae Yong-ho, byłego dyplomaty północnokoreańskiego, który w lipcu 2016 roku zbiegł z kraju i obecnie przebywa w Londynie. Stwierdził on, że Pjongjang może wejść w posiadanie pocisków klasy ICBM do końca bieżącego roku lub na początku przyszłego, dodał przy tym, iż celem Koreańczyków jest również miniaturyzacja głowicy jądrowej.

CO Z TYM POCISKIEM?

Rozważając prawdopodobieństwo testu KN-08 lub KN-14, warto powrócić na chwilę do ubiegłorocznych prób pocisku Musudan. Między 15 kwietnia a 20 października 2016 roku przeprowadzono ich w sumie osiem. Według źródeł północnokoreańskich dwie zakończyły się sukcesem, natomiast źródła amerykańskie i południowokoreańskie podają, że o sukcesie (i to zaledwie częściowym) można mówić w odniesieniu tylko do jednej z nich. To częściowe powodzenie miało dotyczyć prób przeprowadzonych 22 czerwca, wówczas pierwszy z testowanych pocisków przeleciał około 150, drugi zaś 400 km, przy czym ten ostatni wzniósł się na wysokość przeszło tysiąca kilometrów (według Pjongjangu około 1,4 tys. km). Jak oceniają eksperci, kąt wznoszenia sugeruje, że celem mogło być właśnie osiągnięcie jak największego pułapu, zasięg był tu zaś kwestią wtórną. Wysokość, na jaką wzniósł się pocisk, pozwala sądzić, iż jego zasięg mógłby sięgnąć około 3,2 tys. km. Założenie to opiera się na przypuszczeniu, iż wzorowany na radzieckim typie SLBM R-27 Musudan przenosi głowicę podobnej masy, a więc 650 kg. Jeśli tak, to pociskowi brakuje wciąż 300–400 km, by zagrozić amerykańskim bazom na wyspie Guam, chyba że zostanie



on wyposażony w lżejszą (do 500 kg) głowicę, a tu również pojawiają się spekulacje, iż pocisk testowany 22 czerwca mógł przenosić jeszcze mniejszy ładunek.

W analizach jednego z brytyjskich think-tanków, tj. Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych, pojawia się przypuszczenie, że silniki 4D10, używane prawdopodobnie w pocisku Musudan, mogą służyć również jako pierwszy stopień napędu pocisków międzykontynentalnych, czyli KN-08 lub KN-14. Należy także nadmienić, iż w ubiegłym roku KRL-D testowała już silniki rzekomo przeznaczone dla pocisków klasy ICBM. Na początku stycznia w doniesieniach południowokoreańskiej agencji informacyjnej Yonhap pojawiła się jednakże informacja, iż Pjongjang przygotowuje do testu dwa pociski, przewożone na wyrzutniach samochodowych (Transporter Erector Launcher – TEL). Ich rozmiary jednak wskazywały, że nie był to żaden z dwóch wyżej wymienionych typów. KN-08 ma bowiem 19–20 m długości, KN-14 17–18 m, a zaobserwowana konstrukcja – poniżej 15 m. Kilka tygodni później okazało się, iż jest to Pukguksong-2, kolejny po KN-11 (znanym także jako Pukguksong-1) i musudanie pocisk, wywodzący się konstrukcyjnie od wspomnianego powyżej R-27.

Lutowa próba Pukguksong-2 jest dowodem na to, iż również testy KN-11, w tym także (a może raczej – przede wszystkim) te nieudane, nie poszły na marne. Nowy pocisk, którego istnienia nawet się nie domyślano, odniósł sukces w pierwszym podejściu. Pukguksong-2 wzniósł się na wysokość około 550 km i przeleciał około 500 km, na tej podstawie jego zasięg został określony w przedziale między KN-11 a musudanem, czy-

li od 2,5 do 3 tys. km. Pukguksong-2 nie będzie raczej stanowił alternatywy dla tego ostatniego, będzie za to jego uzupełnieniem. Napędzany stałym paliwem pocisk ma znaczną wartość operacyjną, nawet jeśli jego zasięg jest niewystarczający do osiągnięcia wyspy Guam.

Podobnie jak w wypadku opisanych powyżej testów, Pjongjang, aby ogłosić powodzenie próby, nie potrzebuje pocisku, który przeleci co najmniej 5,5 tys. km (powyżej tej wartości pocisk uznawany jest za międzykontynentalny). Zasięgi musudana, KN-11 i Pukguksong-2 szacowane są na podstawie kąta wznoszenia i osiągniętego pułapu lotu, w podobny sposób zostanie najprawdopodobniej oszacowany zasięg pocisku międzykontynentalnego. Nie byłoby to zresztą niczym niezwykłym – nieudana próba rakiety nośnej Unha-2 z 2009 roku, zakończona 3,8 tys. km od miejsca startu, posłużyła do określenia zasięgu potencjalnych ICBM-ów na 6,7 tys. km. Po udanym teście Unhy-3 z 2012 roku i wyniesieniu na orbitę satelity zasięg ten oszacowano w przedziale 10–13 tys. km. Eksperci, na których opinie powołuje się we wspomnianym tekście agencja

Yonhap, zakładają więc, że jeśli północnokoreańskiemu pociskowi udałoby się przelecieć około 2,5 tys. km, byłoby to dla reżimu wielkością wystarczającą, aby ogłosić światu fakt posiadania pocisków międzykontynentalnych. W tym miejscu należy bowiem postawić zasadnicze pytanie: czym miałyby być zapowiadany test? Krokiem na ścieżce rozwoju nowej broni czy też aktem demonstracji?

POKAZ SIŁY

Ubiegłoroczne testy musudana, a nawet wyniesienie na orbitę za pomocą rakiety nośnej Unha-3 kolejnego satelity, nie były zapowiadane na najwyższym szczeblu. Dzięki temu niepowodzenia, z którymi się bez wątpienia liczone, łatwiej było potraktować jak wypadki przy pracy i uniknąć niepotrzebnego z punktu →

KIM DZONG UN
OZNAJMIŁ, IŻ KOREA
PÓŁNOCNA WKRO-
CZYŁA W OSTATNIA
FAZĘ PRZYGOTO-
WAŃ DO TESTU PO-
CISKU MIĘDZYKON-
TYNENTALNEGO

KCNA, PK / DZIAŁ GRAFICZNY

CZY ZABÓJSTWO KIM DZONG NAMA NA LOTNISKU W KUALA LUMPUR MIAŁO ODWRÓCIĆ UWAGĘ OD TESTU RAKIETOWEGO Z 12 LUTEGO?

widzenia reżimu rozgłosu. Kim Dzong Un bezpośrednio po dojściu do władzy usilnie dążył do przeprowadzenia uwieńczonego sukcesem startu rakiety nośnej, jednak po osiągnięciu tego celu w grudniu 2012 roku ograniczył ambitne plany w tej dziedzinie. Można przypuszczać, iż oprócz kosztów to właśnie ryzyko niepowodzenia testu, a także brak nowych zdolności, które można by zaprezentować, były głównym czynnikiem spowalniającym program rakiety Pjongjangu. Zarówno musudan, jak i KN-08, a później i KN-14 zostały publicznie zaprezentowane jako w pełni operacyjne przed przeprowadzeniem jakichkolwiek prób. W ubiegłym roku rozpoczęto testy pierwszego z pocisków, a ich szaleńcze wręcz tempo świadczy z jednej strony o tym, iż dalszy rozwój musudana był niemożliwy bez elementu empirycznego, z drugiej zaś, iż zakładano przynajmniej częściowe powodzenie testu i wobec jego braku w jednej próbie, usiłowano zastąpić ją kolejną. Jednocześnie testy pocisku krótszego zasięgu stanowią kolejny krok na drodze rozwoju pocisków międzykontynentalnych, zarówno w odniesieniu do zasięgu, dopracowania silników, jak i głowicy, która musi przecież powrócić w atmosferę, i to przy zdecydowanie większej prędkości niż znajdujące się w linii pociski rodziny SCUD/Ro-Dong.

Czy zatem w najbliższych tygodniach i miesiącach możliwy jest test ICBM-a? Tak, choć należy to opatrzyć kilkoma załoženiami.

Po pierwsze (i niejako oczywiste), reżim północnokoreański nie zdecyduje się na test pocisku, dopóki nie będzie miał widoków na sukces w stopniu co najmniej takim samym, jak rok temu z musudanem. Dzięki nabytemu doświadczeniu północnokoreańscy naukowcy nie są zmuszeni do testowania słabo rokujących i niedopracowanych konstrukcji, choć nie oznacza to rzecz jasna, że gdy już dochodzi do testu, gwarantowane jest jego powodzenie (na przykład dysponujący dalece bogatszym doświadczeniem Rosjanie wciąż odnotowują problemy z pociskiem Buława). Po drugie, nie jest wcale do końca pewne, czy względy czysto naukowe bądź operacyj-

ne wystarczą do dokonania próby. Testy systemu tej klasy narażą Pjongjang na kolejne sankcje, a zapewne również kontrposunięcia natury militarnej ze strony Stanów Zjednoczonych, zatem demonstracja będzie przede wszystkim aktem politycznym, musi mieć więc takie samo podłoże.

NEGOCJACJE CZY DEMONSTRACJE?

Działania reżimu Kim Dzong Una, jakkolwiek mogą wydawać się irracjonalne, są uwarunkowane pewną logiką, choć nie jest ona najczęściej łatwa do odgadnięcia, a tym bardziej do zrozumienia. Warto tu na przykład zadać pytanie, czy zabójstwo Kim Dzong Nama, dokonane na lotnisku w Kuala Lumpur, nie miało także odwrócić uwagi od testu rakiety z 12 lutego. Dwa dni później czołówki światowych dzienników były wprawdzie wciąż skupione na Korei Północnej, jednak już w zupełnie innym kontekście. Zasadniczym pytaniem pozostaje więc, jak wyglądają relacje między reżimem a nową administracją USA i czy młody dyktator będzie opierał się na negocjacjach, czy na demonstracji siły i wzajemnych groźbach. W marcu na Półwyspie odbędą się kolejne edycje dwóch ćwiczeń z udziałem wojsk amerykańskich i południowokoreańskich, tj. „Foal Eagle” i „Key Resolve”, Waszyngton już zapowiedział udział w nich m.in. myśliwców F-22, bombowców B-1 i B-52, a także lotniskowcowej grupy bojowej USS Carl Vinson. Jednocześnie ze strony dowódcy wojsk amerykańskich w Korei gen. Vincenta K. Brooksa płyną wezwania do zwiększenia zdolności w zakresie namierzenia i potencjalnego zniszczenia północnokoreańskich rakiet. O wypracowanie nowego podejścia do reżimu, obejmującego także środki natury militarnej, apelował również sekretarz stanu Rex Tillerson. Jeśli w podobnym tonie utrzymują się także nieformalne kontakty obu stron, założenie czynione przez południowokoreański wywiad, a dotyczące zwiększonego prawdopodobieństwa testu w okolicach dat związanych przede wszystkim z historią rodziny Kimów, może okazać się wyjątkowo trafne. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Gra raketami

Stany Zjednoczone twierdzą, że Federacja Rosyjska łamie porozumienie rozbrojeniowe z 1987 roku o całkowitej likwidacji przez oba państwa wystrzeliwanych z ładu pocisków krótkiego i średniego zasięgu.

Generał Paul Selva, wiceprzewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, oskarżył Rosję o rozmieszczanie pocisków manewrujących SSC-8. Stwierdził, że Rosjanie naruszają „ ducha i literę ” układu o siłach nuklearnych średniego zasięgu (Intermediate-Range Nuclear Forces Treaty – INF Treaty), który został podpisany w 1987 roku przez Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone. Porozumienie rozbrojeniowe dotyczy całkowitej likwidacji pocisków raketowych, balistycznych i manewrujących o zasięgu od 500 km do 5500 km, wystrzeliwanych z wyrzutni lądowych. Po dojściu do władzy Władimira Putina Federacja Rosyjska zaczęła sygnalizować, że w nowej sytuacji geopolitycznej uważa te porozumienia za niekorzystne.

ZAKAZANE POCISKI

Amerykańskie agencje wywiadowcze oceniły, że w końcu 2016 roku pociski określane na Zachodzie jako SSC-8, a w Rosji jako 9M729, osiągnęły status operacyjny. Rosjanie w tajemnicy rozmieścili już dwa ich bataliony (dywizjony), każdy z czterema wyrzutniami. W artykule, który ukazał się na łamach dziennika „New York Times”, podano, że jeden jest na poligonie Kapustin Jar. Amerykańscy eksperci nie wykluczają, że zasięg pocisków może wynosić nawet około 5 tys. km, a nie poniżej 500 km, jak deklarowała FR. Tym samym byłoby to jawne złamanie układu INF.

„Rozmieszczenie przez Rosję, z naruszeniem układu INF, wystrzeliwanych z ładu pocisków manewrujących z uzbrojeniem nuklearnym jest znaczącym zagrożeniem militarnym dla amerykańskich sił zbrojnych w Europie i naszych sojuszników z NATO”, napisał w oświadczeniu republikański senator John McCain, wpływowy członek Komisji Sił Zbrojnych Senatu USA. W jego ocenie, Władimir Putin „testuje” w ten sposób nowego prezydenta

USA Donalda Trumpa. Moskwa zaprzeczyła tym zarzutom. Rzecznik Władimira Putina, Dmitrij Pieszkow, powiedział, że Rosja „nadal wypełnia swe zobowiązania międzynarodowe, w tym zgodnie z układem INF”.

Pierwsze sygnały, że Federacja Rosyjska może się wycofać z porozumienia rozbrojeniowego, pojawiły się już w poprzedniej dekadzie. Sekretarz obrony USA Robert Gates napisał w swych wspomnieniach, że temat INF poruszył podczas rozmowy w 2007 roku jego rosyjski odpowiednik, Siergiej Iwanow. Putin oświadczył 10 lutego 2007 roku, że układ o pociskach raketowych średniego zasięgu jest niekorzystny dla jego kraju. O możliwym wypowiedzeniu porozumienia mówił ówczesny szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej gen. Jurij Bałujewski. Jako pretekst takiego posunięcia Moskwy wskazał rozmieszczenie elementów tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach. Rosjanie zwrócili uwagę, że z wchodzących w jej skład piono-

UKŁAD INF, POD KTÓRYM SWE PODPISY ZŁOŻYLI PREZYDENT USA RONALD REAGAN I PRZYWÓDCA ZWIĄZKU SOWIECKIEGO MICHAŁ GORBACZOW, JEST UZNAWANY ZA JEDEN Z SYMBOLI KOŃCA ZIMNEJ WOJNY

wych wyrzutni Mk 41 mogą być wystrzeliwane pociski manewrujące Tomahawk. Innymi podanymi przez Rosjan powodami były rozwój uzbrojonych amerykańskich bezzałogowych statków powietrznych oraz to, że w pociskach-celach, wykorzystywanych w testach przeciwrakietowych, są używane zmodyfikowane silniki z wycofanych rakiet średniego zasięgu Minuteman II.

Prawdopodobnie Rosjanie już wtedy podjęli prace nad nowymi pociskami o zakazanym przez porozumienie rozbrojeniowe zasięgu, o czym dowiedzieli się Amerykanie. Na posiedzeniu senatu w lutym 2014 roku ówczesny sekretarz obrony USA Ash Carter zalecał wobec przypadków naruszenia przez Rosjan układu INF działania dwukierunkowe, w tym posunięcia otwierające Stanom Zjednoczonym możliwość reakcji. W ocenie amerykańskiego polityka niechęć rosyjskich władz do układu wynikała ze



ZAMIERZONE PODOBIEŃSTWA

Wartykule zamieszczonym w „New York Timesie” zwrócono uwagę na to, że identyfikacja pocisków SSC-8 jest trudna, gdyż są one niezwykle podobne do 9M728, znanych też jako R-500, i wyrzeliwane z podobnych wyrzutni jak w systemie Iskander. Owe podobieństwo nie jest przypadkowe. Część ekspertów militarnych uważa, że Rosjanie od lat pracowali nad całą rodziną pocisków manewrujących, zewnętrznie podobnych, ale o różnych parametrach bojowych. Według tej tezy R-500 jest mającą mniejszy zasięg wersją SSC-8. Podobnie rzecz się ma z systemami raketowymi rozmieszczonymi na okrętach – 3M14E Klub jest prawdopodobnie, mającą krótszy zasięg, wersją pocisku 3M14 Kalibr. Tymi ostatnimi Rosjanie zaatakowali cele w Syrii, odpalając je z okrętów na Morzu Kaspijskim. Istnieje też podobieństwo między nowymi rosyjskimi pociskami manewrującymi wyrzeliwanymi z lądu i morza. Fakt, że są zewnętrznie podobne, utrudnia działania inspekcyjne, a wręcz je uniemożliwia. Rosjanie mogą więc utrzymywać, że zarzuty Amerykanów są bezpodstawne. ■



Inspektorzy z Rosji i USA
wśród zdemontowanych rakiet
Pershing II, 14 stycznia 1989.

strategii przyjętej po rozpadzie Związku Sowieckiego. Rosjanie postanowili poprzez rozwój broni nuklearnej rekompensować dominację USA i NATO w siłach konwencjonalnych. Broń nuklearna jest też potwierdzeniem statusu mocarstwa Federacji Rosyjskiej na świecie.

Departament Stanu USA opublikował 29 lipca 2014 roku raport o naruszaniu przez Rosję układu INF. Amerykańscy eksperci wojskowi wyrazili wątpliwość co do prawdziwości oficjalnych danych o pocisku balistycznym RS-26 Rubież. Rosja podała, że ma on zasięg ponad 5,5 tys. km. Jednak podczas testów RS-26 w latach 2012–2013, które obserwowali Amerykanie, pociski wyrzuczone z poligonu Kapustin Jar w obwodzie astrachańskim trafiły cele na poligonie Sary Szagan, na zachód od jeziora Bałchasz, oddalonym o nieco ponad 2 tys. km.

Amerykanów zaniepokoiło wyrzeliwanie z wyrzutni dla Iskanderów pocisków manewrujących R-500. Rosjanie testowali je na dystansie 360 km, ale według analiz amerykańskich specjalistów, ich zasięg jest większy. Amerykanie podejrzewają Rosjan, że w tajemnicy testowali odpalanie z wyrzutni na lądzie morskiego pocisku manewrującego średniego zasięgu S-10 Granat, noszącego zachodnie oznaczenie SS-N-21.

Rosjanie nie przejęli się amerykańską krytyką i kontynuowali prace nad kontrowersyjnymi pociskami. „2 września nie po raz pierwszy widzieliśmy test, podczas którego wiele wskazywało na naruszenie INF”, oświadczył 30 paź-

dziernika 2015 roku podczas briefingu w Pentagonie gen. Philip Breedlove, wtedy naczelny dowódca sił zbrojnych NATO. Wcześniej, 16 września 2015 roku, Rose Gottemoeller, podsekretarz stanu ds. kontroli zbrojeń i bezpieczeństwa międzynarodowego, powiedziała Radiu Wolna Europa, że według amerykańskiego wywiadu naruszenia układu INF przez Rosję nie wynikały z błędów technicznych lub złej interpretacji przez Moskwę zobowiązań. „Mówimy o wyrzeliwanym z lądu pocisku manewrującym, którego zasięg jest przez układ zakazany”, podkreśliła amerykańska dyplomatka. Odnosząc się do kontaktów z Rosjanami w sprawie możliwych naruszeń układu INF, Gottemoeller powiedziała, że byli oni zainteresowani nie tyle rozwiązaniem problemu, ile raczej wysondowaniem, co Amerykanie wiedzą o ich broni i skąd czerpią informacje.

„Rosja opracowała pocisk manewrujący bazowania naziemnego, co – jak uważają Stany Zjednoczone – łamie układ o całkowitej likwidacji pocisków raketowych pośredniego zasięgu”, oświadczył 9 stycznia 2016 roku dyrektor Wywiadu Narodowego USA James Robert Clapper, kiedy wystąpił przed Kongresem z corocznym raportem o zagrożeniach dla bezpieczeństwa państwa. Jako przykład złamania przez Rosję układu INF podał przeprowadzone przez nią testy pocisku manewrującego SSC-8, który podczas śledzonych przez Amerykanów prób pokonywał dystans większy niż dopuszczalne 500 km. Niewiele przyniosło zwołane na żądanie USA



trzynaste spotkanie Specjalnej Komisji Weryfikacyjnej, ciała nadzorującego realizację układu INF, które odbyło się 15–16 listopada 2016 roku w Genewie. Oprócz USA i Rosji wzięli w nim też udział przedstawiciele Białorusi, Kazachstanu i Ukrainy. Warto zauważyć, że było to pierwsze takie spotkanie od 2003 roku.

ZIMNOWOJENNY WYŚCIG

W latach siedemdziesiątych XX wieku Związek Sowiecki zyskał nad NATO przewagę w lądowych systemach raketowych krótkiego (500–1000 km) i średniego (1000–5500 km) zasięgu. Przełomowe było wprowadzenie do uzbrojenia sowieckiej armii dwustopniowych pocisków RSD-10 Pionier, noszących natowskie oznaczenie SS-20. Dwustopniowa raketa balistyczna z trzema głowicami została umieszczona na mobilnej wyrzutni, co utrudniało jej zlokalizowanie i zniszczenie. Pocisk SS-20 mógł niszczyć cele do 5000 km, czyli na terenie prawie całej Europy Zachodniej. Zestawy rozmieszczone na Syberii stanowiły zagrożenie dla amerykańskiej Alaski i znaczącej części Azji.

Nowa faza wyścigu zbrojeń rozpoczęła się, gdy 12 listopada 1979 roku ministrowie obrony NATO przyjęli dwukierunkową strategię odpowiedzi na pojawienie się SS-20. Otóż postanowili, że równolegle z próbą wynegocjowania z Rosjanami porozumienia o ograniczeniu sił INF do jak najniższego poziomu rozpoczną od grudnia 1983 roku rozmieszczanie w Europie Zachodniej nowych raki-

towych systemów amerykańskich – 464 jednogłowicowych pocisków manewrujących BGM-109G i 108 pocisków balistycznych Pershing II. Początkowa reakcja Moskwy była ostra. Rosjanie odrzucili propozycję podjęcia rozmów o systemach średniego zasięgu, ale ostatecznie przed końcem 1980 roku rozpoczęli w Genewie dyskusję z Amerykanami.

Po konsultacjach z sojusznikami Stany Zjednoczone przyjęły jako strategię negocjacyjną to, że rozmowy z Moskwą o siłach INF będą miały charakter bilateralny, czyli nie obejmą uzbrojenia posiadanego przez Francję i Wielką Brytanię. Formalne negocjacje rozpoczęły się 23 września 1981 roku. 18 listopada prezydent Reagan przedstawił tzw. ofertę zerową. Amerykanie byli gotowi zrezygnować ze swoich pocisków Pershing II i BGM-109G, jeśli Rosjanie zgodzą się na likwidację swych systemów SS-20 oraz SS-4 (R-12) i SS-5 (R-15). Rozmowy nie były łatwe, bo reprezentanci Moskwy przedstawili zupełnie inne propozycje – 300 pocisków średniego zasięgu i samolotów przenoszących broń jądrową po każdej ze stron, z uwzględnieniem brytyjskich i francuskich sił nuklearnych. Chcieli też połączenia negocjacji o INF z innymi rozmowami rozbrojeniowymi. W końcu lutego 1986 roku Amerykanie zaproponowali redukcję systemów raketowych średniego zasięgu w Europie do 140 wyrzutni i proporcjonalne ich zmniejszenie w Azji.

POLITYCZNY SYMBOL

Przełom nastąpił, gdy 28 lutego 1987 roku Związek Sowiecki ogłosił, że zgodzi się na układ o siłach nuklearnych średniego zasięgu bez łączenia go z innymi negocjacjami rozbrojeniowymi. 22 lipca tego roku Gorbaczow zaprobował „podwójne globalne zero”, czyli całkowitą likwidację systemów średniego zasięgu. Wynegocjowane porozumienie podpisali 8 grudnia 1987 roku w Waszyngtonie przywódcy obu mocarstw.

USA i Związek Sowiecki uzgodniły, że zlikwidują wszystkie swe systemy krótkiego i średniego zasięgu. W tym czasie Amerykanie mieli 689 pocisków średniego zasięgu i 282 wyrzutnie. Rozmieszczonych i gotowych do działania było 429 pocisków i 214 wyrzutni. Rosjanie natomiast mieli 826 pocisków i 608 wyrzutni, z tego w gotowości pozostawało 470 z 484 wyrzutniami.

Układ INF wszedł w życie 1 lipca 1988 roku. Stany Zjednoczone zlikwidowały swe ostatnie pociski raketowe nim objęte w końcu kwietnia i na początku maja 1991 roku. Ostatni SS-20 został zniszczony 11 maja 1991 roku. Wraz z pociskami krótkiego zasięgu, amerykańskimi pershingami IA i pershingami IB oraz sowieckimi SS-12 (Temp-S) i SS-23 (R-400 Oka), dzięki układowi rozbrojeniowemu wyeliminowano 2692 rakiety. ■

RAFAŁ CIASTOŃ

KONFLIKT ROZPISANY NA ROLE

**Gry wojenne powinny nauczyć
podejmowania decyzji
mających przełożenie
na rzeczywistość.**



Wirtualne gry i symulacje wojenne nie cieszą się w Polsce dużą popularnością. Organizują je najczęściej bądź dowództwa, bądź też uczelnie wojskowe, a nie podmioty pozarządowe – ośrodki eksperckie czy pozarządowe ośrodki akademickie. Zupełnie inaczej jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie niezależne, choć często niekryjące swych afiliacji politycznych, think-tanki wykorzystują różnego rodzaju platformy komputerowe do symulowania sytuacji kryzysowych czy też wręcz konfliktowych, uzyskując w ten sposób cenny materiał do swych opracowań.

Dzięki współpracy dwóch podmiotów: polskiego i amerykańskiego, podobna gra została przeprowadzona pod koniec stycznia na warszawskim stadionie PGE Narodowy. Organizatorami były: amerykańska Potomac Foundation, która udostępniła opracowaną przez siebie platformę Hegemon, oraz Fundacja im. K. Pułaskiego, jeden z czołowych polskich think-tanków zajmujących się problematyką bezpieczeństwa, obronności i relacji międzynarodowych.

SCENARIUSZ NA CZAS W

Gry wojenne wymagają często szczegółowego scenariusza wprowadzającego, osadzającego graczy w konkretnych realiach, i tak też było w tym wypadku. Gra toczyła się na przestrzeni kilku miesięcy, od stycznia do września, a scenariusz uwzględniał kilka etapów eskala-

cji sytuacji kryzysowej – od narastania kryzysu, poprzez okres, który można określić popularnym terminem wojny hybrydowej (choć bardziej adekwatny wydaje się tu zaproponowany przed kilkunastu laty przez gen. Bolesława Balcerowicza termin „nie-pokój”), po regularny konflikt zbrojny. Uczestniczyło w niej dziewięć zespołów graczy, w tym oczywiście zespoły polskie, amerykański, natowskie oraz kierowany i dowodzony przez przedstawicieli Fundacji Potomac Zespół Czerwony, czyli agresor. Wśród uczestników znaleźli się m.in. gen. Philip Breedlove, były dowódca wojsk NATO w Europie (SACEUR), gen. Tim Radford, dowódca Sojuszniczego Korpusu Natychmiastowej Reakcji (ARRC), przedstawiciele sił zbrojnych Szwecji, Danii oraz polskich ośrodków rządowych i akademickich, w tym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Biura Bezpieczeństwa Narodowego, reprezentanci sił zbrojnych oraz Wojskowej Akademii Technicznej.

Warto poczynić w tym miejscu jedno zasadnicze zastrzeżenie – jak to ujął gen. Breedlove, celem gry wojennej nie jest osiągnięcie zwycięstwa, lecz nauczenie się czegoś. Głównym jej rezultatem ma być pozostawienie uczestników z pytaniem, jak zachowaliby się w danej sytuacji. Ma ona uczyć deeskalacji, tego jak uniknąć konfliktu, a nie jak do niego doprowadzić i w nim zwyciężyć. Wydaje się, że w przekazie medialnym ten aspekt jest często pomijany na rzecz uwarunkowań operacyjno-taktycznych, tj. przedstawienia sił i środków

zaangażowanych w bezpośrednie działania bojowe i przebieg samych walk.

W scenariuszu gry, która odbyła się w styczniu na stadionie PGE Narodowy, można zauważyć pewne reminiscencje fabuły książki gen. Richarda Shirreffa (byłego zastępcy gen. Breedlove'a) „Rok 2017. Wojna z Rosją”. Kryzys również się zaczyna od państw nadbałtyckich, choć jego przebieg nieco się różni. Wprawdzie „zielone ludziki” Czerwonych, a w dłuższej perspektywie również i regularne wojska tego zespołu, pojawiają się na terytorium republik, to jednak konflikt udaje się opanować i zostaje wypracowane rozwiązanie polityczne. Niezadowolenie w aparacie kierowniczym Czerwonych sprawia jednak, że pojawia się pokusa, by brak satysfakcjonującego efektu końcowego na jednym odcinku powetować sobie na innym, co z kolei doprowadza do, mówiąc eufemistycznie, operacyjnego rozwinięcia zaplanowanych wcześniej manewrów, czego ofiarą staje się Polska. Wybucho konflikt, który angażuje po stronie Czerwonych głównie siły utworzonej armii pancerniej, działające zasadniczo wzdłuż tradycyjnego kierunku Brześć – Warszawa, z elementem ugrupowania rozwiniętym także na południe od tego korytarza.

Co może być pewnym zaskoczeniem dla części publicystów, podkreślających albo raczej wręcz mitologizujących znaczenie tzw. przesmyku suwalskiego i kierunku operacyjnego wiodącego z północy poprzez obszar Mazur, ani on, ani też wojska zgrupowane na północ od tego regionu nie odgrywają w scenariuszu większej roli. Obfitujący w kompleksy leśne i przeszkody wodne teren nie jest dogodny do rozwinięcia na nim natarcia kolumn pancernych i nie stanowi żadnej alternatywy dla historycznie sprawdzonych kierunków.

W konflikt zostają zaangażowane państwa sojusznice – oczywiście przede wszystkim Stany Zjednoczone, ale też Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Dania. W kontekście kontrolowania sytuacji na Bałtyku pewną rolę odgrywa także Szwecja. Realistyczne założenia początkowe, w których kryzys nie jest dziełem kilku czy kilkunastu dni, lecz efektem kilkumiesięcznego wzrostu napięcia i wcześniejszej agresji na kierunku bałtyckim, sprawiają, że zarówno siły polskie, jak i sojusznicze rozlokowane na terytorium RP, mają czas, żeby się przygotować. Założenie to ma także aspekt polityczny – czas eskalacji napięcia jest potrzebny NATO. Olbrzymi wysiłki polskich sił zbrojnych oraz zaangażowanie sił sojuszniczych, zarówno w wymiarze powietrznym, jak i lądowym, pozwalają na zastopowanie agresora. Jednak celem gry nie było doprowadzenie do rozstrzygającej bitwy w kategoriach clausewitzowskich. Gra kończy się w momencie, w którym impet ataku zostaje wyhamo-

wany, a agresor jest zmuszony przyjąć do wiadomości, że nie będzie w stanie zrealizować zakładanych celów i rozwiązanie musi zostać wypracowane na gruncie politycznym, a nie militarnym.

NAUCZANIE PRZEZ DZIAŁANIE

Rezultatem gry było, jak już wcześniej zasygnalizowano, zmuszenie jej uczestników do podejmowania decyzji mających realne przełożenie na rozwijającą się sytuację (zarówno w wymiarze politycznym, jak i wojskowym), a także do zmierzenia się z problemami pojawiającymi się w trakcie scenariusza. Reakcja wywołuje kontreakcję, a zatem każde działanie bądź jego brak mają swoją cenę i powodują określone, choć nie zawsze zakładane, reperkusje.

Wnioski, które wyciągnięto z gry, dotyczyły m.in. częstego wyolbrzymiania znaczenia przesmyku suwalskiego i mazurskiego kierunku operacyjnego, a także działań i systemów o charakterze antydoświadczalnym (Anti-Access/Area Denial – A2/AD). Udowodniono także siłę i potencjał bojowy 11 Dywizji Kawalerii Pancernej jako jednolitego związku taktycznego.

Odnosząc się do sytuacji w naszej części Europy, gen. Breedlove, zaznaczył w czasie jednego z wywiadów, że w jego ocenie konflikt z Rosją jest raczej mało prawdopodobny, gdyż przywódcy tego kraju rozumieją, czym jest sojusz północnoatlantycki. Mało prawdopodobny nie znaczy jednak niemożliwy. Jako przykład sytuacji kryzysowej, która mimo marginalnego w gruncie rzeczy znaczenia mogłaby wywołać nieprzewidziane reperkusje, podał casus rosyjskiego Su-24, zestrzelonego w 2015 roku przez Turcję. Dynamika podobnych incydentów potrafi zdominować chłodne kalkulacje czasu pokoju.

Generał zwrócił również uwagę na kilka bolączek, z którymi będzie musiał sobie poradzić sojusz. Przede wszystkim ćwierć wieku po zakończeniu zimnej wojny oraz po przeszło dekadzie działań typu out of area, gdy koniecznością stało się zwalczanie sił nieregularnych, musi on powrócić do swej podstawowej roli i ćwiczyć nie na poziomie batalionów czy brygad, lecz korpusów. Zdolność do działania w Afganistanie jest czymś całkowicie innym niż zdolność do ochrony jednego czy kilku sojuszników w razie zagrożenia pełnoskalowym konfliktem zbrojnym. Gen. Breedlove podkreślił także znaczenie działań o charakterze wywiadowczym i rozpoznawczym (ISR). Świadomość bowiem możliwości zaistnienia sytuacji kryzysowej pozwala nam się do niej przygotować i odpowiednio zareagować. Właściwa i we właściwym momencie podjęta reakcja jest zaś najlepszą receptą na to, by kryzys nie przerodził się w konflikt. ■

ROBERT SENDEK

Armia niezgodna z konstytucją

Kosowo tworzy własne wojsko w miejsce dotychczasowych sił reagowania.

W połowie lutego w Kosowie obchodzono dziewiątą rocznicę proklamowania niepodległości kraju. 17 lutego 2008 roku deputowani w kosowskim parlamencie jednogłośnie poparli deklarację niezależności, oznaczającą de facto zerwanie z Serbią oraz początek budowy odrębnego państwa. Z tej właśnie okazji w przeddzień rocznicy odbyła się uroczysta sesja kosowskiego parlamentu, na której padło wiele patetycznych słów. Czołowi politycy w swych wystąpieniach podsumowywali czas niepodległości. „W ciągu minionych dziewięciu lat istnienia naszego państwa Kosowo osiągnęło naprawdę wiele i byłoby niesprawiedliwe, gdyby temu zaprzeczać lub to lekceważyć”, akcentował przewodniczący parlamentu Kadri Veseli. „Kosowo jest krajem demokratycznym, który działa na rzecz pokoju na Bałkanach”, mówił premier Isa Mustafa.

Przez te dziewięć lat sporo udało się osiągnąć Kosowianom. Kosowscy Albańczycy mają własne państwo, w którym działają instytucje stojące na straży niepodległości i praworządności, działa władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza. Kosowo jest uznawane na arenie międzynarodowej przez 113 państw, kraj ma jasno zarysowaną prozachodnią orientację polityczną, jest członkiem wielu organizacji międzynarodowych. Prezydent Hashim Thaçi mówił ponadto o budowie nowych szkół, szpitali, dróg, o tym, że Kosowo przestaje się kojarzyć z wojną i kryzysem, bo za granicą kraj rozślawiają artyści, piosenkarze, filmowcy i sportowcy. Rzeczywiście, piosenki Rity Ory są dobrze znane także polskim nastolatkom, a dzięki złotemu medalowi olimpijskiemu Majlinda Kelmendi przestała być dla naszych kibiców anonimową judoczką.

To jedna strona medalu, bo optymizm przedstawicieli władzy nie jest jednak w stanie ukryć problemów, z jakimi boryka się najmłodsze państwo w Europie. Kraj jest podzielony: północną część Kosowa oraz kilka enklaw zamieszkują Serbowie, którzy w ogromnej większości nie

akceptują zachodzących w republice przemian. Wyraźnie odczuwalna jest wzajemna niechęć Serbów i Albańczyków, a pretensje i oskarżenia wygłaszane przez polityków z dwóch stron nie sprzyjają łagodzeniu konfliktów. Szerzą się bieda i bezrobocie. Młodzi ludzie mają marne perspektywy na znalezienie satysfakcjonującej pracy, więc większość z nich marzy o emigracji na Zachód. Potwierdzają to statystyki: w ciągu minionych dziewięciu lat populacja Kosowa zmniejszyła się o 300 tys. osób, co jak na kraj liczący około 2 mln ludzi jest liczbą ogromną. W społeczeństwie narastają frustracja i rozczarowanie własnymi elitami, w tym powszechną korupcją. Wielu obywateli Kosowa pod wpływem propagandy religijnej, a także biedy i poczucia beznadziei podejmowało w minionych latach współpracę z Państwem Islamskim. Na dodatek część państw europejskich nie uznaje niepodległości Kosowa, przede wszystkim sąsiednia Serbia.

BAŁKAŃSKA BURZA

Rocznicowa sesja parlamentu Kosowa odbyła się w bardzo interesującym momencie, właściwie w samym





THOMAS DUVAL / US ARMY

KOSOWSKIE SIŁY BEZPIECZEŃSTWA

NIE SĄ REGULARNĄ ARMIA I MOGĄ BYĆ UŻYTE TYLKO W SYTUACJACH KRYZYSOWYCH

środku medialnej burzy, którą wywołało plenarne posiedzenie zgromadzenia narodowego. Otóż 14 lutego przyjęto rezolucję w sprawie przekształcenia Kosowskich Sił Bezpieczeństwa (KSB) w regularną armię. Przegłoszenie rezolucji można wiązać z zapowiedziami przedstawicieli nowej administracji prezydenta Donalda Trumpa,

dotyczącymi ograniczenia obecności amerykańskiej w Europie. Bezpośrednim impulsem stała się styczniowa wypowiedź nowego sekretarza obrony USA, Jamesa Mattisa, który stwierdził, że w obliczu ewentualnego zmniejszenia zaangażowania amerykańskiego na Bałkanach miejscowe siły powinny przejąć odpowiedzialność za ochronę kraju i jego granic.

Słowa Mattisa wywołały w Prisztinie i Belgradzie burzę, ale każda ze stron zinterpretowała je po swojemu. W kosowskiej prasie niemal natychmiast pojawiły się opinie, że w takiej sytuacji Kosowo powinno stworzyć własną armię. Szybko „odkurzono” zatem gotowy już od dwóch lat projekt przekształcenia KSB w regularną armię, a Daut Haradinaj, przewodniczący parlamentarnej komisji nadzorującej siły bezpieczeństwa, zgłosił projekt rezolucji w parlamencie. Została ona przyjęta jednogłośnie, ale na sali nie było przedstawicieli mniejszości serbskiej, którzy są zdecydowanie przeciwni całemu projektowi. Rezolucja upoważnia rząd do możliwie szybkiego podjęcia inicjatyw dotyczących transformacji Kosowskich Sił Bezpieczeństwa w siły zbrojne Kosowa. W dokumencie podkreślono przy →

WŁADZE KOSOWA PRÓBUJĄ STWORZYĆ SIŁY ZBROJNE BEZ ZGODY MNIJSZOŚCI SERBSKIEJ ORAZ AKCEPTACJI NATO, STANÓW ZJEDNOCZONYCH I UNII EUROPEJSKIEJ

tym, że celem działań rządu jest integracja euroatlantycka Kosowa we współpracy z NATO i USA oraz rozwój zdolności operacyjnych zgodnie z mandatem nowych wojsk.

NIBY-WOJSKO

Kosowo ma własne siły reagowania, pozostające pod nadzorem oficerów międzynarodowych KFOR. Do ich tworzenia władze przystąpiły już w marcu 2008 roku, czyli tuż po ogłoszeniu niepodległości. Początkowo planowano utworzenie armii, ale sprzeciwili się temu Serbowie, którzy podkreślali, że zgodnie z przyjętą przez Radę Bezpieczeństwa ONZ jeszcze w 1999 roku rezolucją nr 1244 jedynymi legalnymi siłami wojskowymi na terenie Kosowa są oddziały KFOR. Weto Serbii okazało się skuteczne – Kosowskie Siły Bezpieczeństwa nie mają statusu regularnej armii i mogą być użyte tylko w sytuacjach kryzysowych, np. w czasie zamieszek oraz klęsk żywiołowych. Personel KSB liczy 2,5 tys. osób w służbie czynnej i 800 w rezerwie, które mają do dyspozycji lekkie uzbrojenie. Wyposażone w zachodnią broń i szkolone przez tamtejszych ekspertów jednostki, biorą udział we wspólnych manewrach z Amerykanami.

O planach przekształcenia sił reagowania w państwowe siły zbrojne Kosowa miejscowi politycy mówili właściwie przy każdej możliwej okazji, zwłaszcza podczas corocznych lutowych obchodów rocznicowych. Premier Isa Mustafa zwraca uwagę, że Kosowo już od dawna spełnia wszelkie warunki konieczne do utworzenia własnej armii, tyle że zagraniczni partnerzy naciskają, by odbyło się to przez zmianę zapisów w konstytucji. Klimat międzynarodowy zaś nie sprzyjał takim reformom. Przeciwni projektowi występuje także Serbska Lista, czyli partia skupiająca mniejszość serbską w kosowskim parlamencie.

Władze w Belgradzie przyjęły rezolucję z 14 lutego z gniewem. Ivica Dačić, szef serbskiego ministerstwa spraw zagranicznych, powiedział wprost: „Prisztina nie ma prawa do stworzenia wojska!”. Władze serbskie wyśtosowały protest, pospytały się zarzuty o dążenie do destabilizowania regionu, o rosnące zagrożenie dla Serbów mieszkających w Kosowie. Podobne stanowisko zajmuje Rosja. Ambasador Aleksandr Karpuszyń zwrócił nawet uwagę, że rezolucja ONZ nr 1244 nie zezwala na tworzenie wojsk Kosowa.

UMOCOWANIE PRAWNE

Największą trudnością w utworzeniu wojska jest przegłosowanie w parlamencie zmian w ustawie zasadniczej. Warto przypomnieć, że Kosowskim Siłom Bezpieczeństwa poświęcono w konstytucji republiki odręb-

ny artykuł (art. 126). Nie może zatem powstać kosowska armia bez przegłosowania koniecznych poprawek do konstytucji, a do tego wymagana jest zgoda dwóch trzecich ogólnej liczby posłów (tj. 80 ze 120 zasiadających w parlamencie), w tym także zgoda dwóch trzecich posłów mniejszości etnicznych

(art. 144). Oznacza to, że zmiana konstytucji jest niemożliwa bez zgody posłów mniejszości serbskiej.

Są jednak propozycje, by pominąć konstytucję i poszukać możliwości utworzenia armii w inny sposób. Pojawiła się koncepcja, żeby obejść problem przez zmianę już istniejącego prawa. Chodzi o dopisanie nowych zobowiązań i kompetencji do istniejącej ustawy regulującej zakres odpowiedzialności KSB. I rzeczywiście powstał projekt prawa, w którym określono, że zadaniem wojska (występującym pod starą nazwą) byłaby aktywna obrona suwerenności i integralności terytorialnej Kosowa, a nie tylko reagowanie w sytuacjach wyjątkowych. Projekt przewiduje, że armia liczyłaby 5 tys. żołnierzy i 3 tys. osób w rezerwie, które dysponowałyby ciężkim sprzętem. Jednostki zostałyby rozlokowane także w północnym Kosowie, zamieszkanym w większości przez Serbów.

Machina już ruszyła. Prezydent Hashim Thaçi na początku marca zaznaczał, że bez względu na reakcje ze strony NATO i USA, dalej będą prowadzone prace nad przekształceniem KSB w wojsko. Takie podejście jest novum w polityce republiki, ponieważ dotychczas władze konsultowały swe decyzje z zachodnimi sojusznikami albo przynajmniej otwarcie przeciwko nim nie występowały. Thaçi zapowiedział nawet, że poda się do dymisji, jeśli parlament nie zaakceptuje jego inicjatywy w sprawie formowania wojska.

Tymczasem taka inicjatywa władz Kosowa u nатов- skich, amerykańskich i unijnych urzędników wywołuje raczej niechęć i obawę. Zaniepokojony jest także Jens Stoltenberg. Szef NATO zwraca uwagę, że ewentualne zmiany nie mogą być przeprowadzane w sposób jednostronny, bez akceptacji ze strony mniejszości. Greg Delawie, ambasador USA w Prisztinie, ostrzega natomiast, że jeśli rząd z sił bezpieczeństwa stworzy armię bez zmian w konstytucji, Amerykanie będą musieli zmienić zakres współpracy z Kosowem.

Najbliższe tygodnie przyniosą odpowiedź na dwa pytania: jak wielka jest determinacja władz kosowskich, by zbudować siły zbrojne oraz czy Thaçi i Mustafa gotowi są zaryzykować pogorszenie stosunków nie tylko z Serbią, lecz także z kluczowymi dotychczas sojusznikami z Zachodu, by zrealizować własne wizje? ■

WOJCIECH SZEWKO

Straszenie Turcją



Do połajanek tureckiego prezydenta wobec liderów Unii Europejskiej przez lata wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić. Erdoğanowi nie podobają się nadmierna tolerancja Europy dla lewicowych ruchów kurdyjskich i Partii Pracujących Kurdistanu. Turcja od dawna chciała też wsparcia Zachodu dla interwencji w północnej Syrii i utworzenia w niej strefy buforowej. Po nieudanym puczu w lipcu 2016 roku do katalogu pretensji doszły jeszcze żądania wydania faktycznych lub rzekomych zwolenników Fethullaha Gülena – dawnego sojusznika, a obecnie arcywroga Recepa Tayyipa Erdoğana – oskarżanego o kierowanie globalną siatką terrorystyczno-polityczną FETO. Prezydent sztorcował też liderów UE w czasie negocjacji dotyczących uchodźców, a kiedy otrzymał wszystko to, co chciał, i tak oskarżał Unię o opie-
szczość lub niedotrzymywanie zobowiązań.

Turcy w Europie to mniejszość licząca od 7 do 10 mln osób, ponad 4 mln ma prawa wyborcze. Z punktu widzenia organizacji terrorystycznych Turcy nie są najlepszymi rekrutami dla Państwa Islamskiego, Al Kaidy i grup salafickich. Ich wizja islamu odbiega od promowanej przez te organizacje, a wojujący nacjonalizm jest nie do zaakceptowania dla uniwersalistycznej, ponadnarodowej wizji ummy. Dlaczego więc to Turcy stali się dla rządów Holandii, Niemiec i Francji symbolem złej asymilacji, wojującego islamu i braku demokracji? Przecież wszyscy liderzy UE przez ostatnie dwa lata stawiali Erdoğana za wzór cnót, nawet wówczas gdy na oczach całego świata pacyfikował kurdyjskie wsie i miasta.

Odpowiedzią jest rosnące poparcie dla partii antyimigranckich, ksenofobicznych i antyislamskich. W Holandii partia Geerta Wildersa jeszcze dwa tygodnie przed wyborami wygrywała z partią premiera Marka Ruttego, we Francji w wyścigu prezydenckim prowadzi Marine Le Pen. W Niemczech ultraprawicowa AfD odbiera głosy CDU/CSU i to SPD ma dziś większą szansę na zbudowanie rządowej koalicji niż partie sprzyjające Angeli Merkel. Uznano zatem, że sposobem na antyimigranckich ksenofobów jest wybicie im z ręki argumentu o nadmiernej uległości. Do demonstracji siły świetnie nadaje się butna i agresywna Turcja, a słabo – syryjscy czy afgańscy imigranci.

Czym mogłby przebić antyislamski Wilders zdjęcia Turków leżących na bruku Rotterdamu i gryzionych przez policyjne psy? Problem pozostanie, ale jakiś procent głosów zniknie ze słupków poparcia dla skrajnej prawicy, przynajmniej na chwilę.



Dr WOJCIECH SZEWKO jest ekspertem
do spraw międzynarodowych.

HISTORIA

/ XX WIEK



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

SPECJALIŚCI Z POLSKI

**Mało kto w Polsce słyszał o Władysławie
Turowiczu, ale w Pakistanie uważany jest
za bohatera narodowego.**

KRÓLEWSKIE PAKISTAŃSKIE SIŁY POWIETRZNE



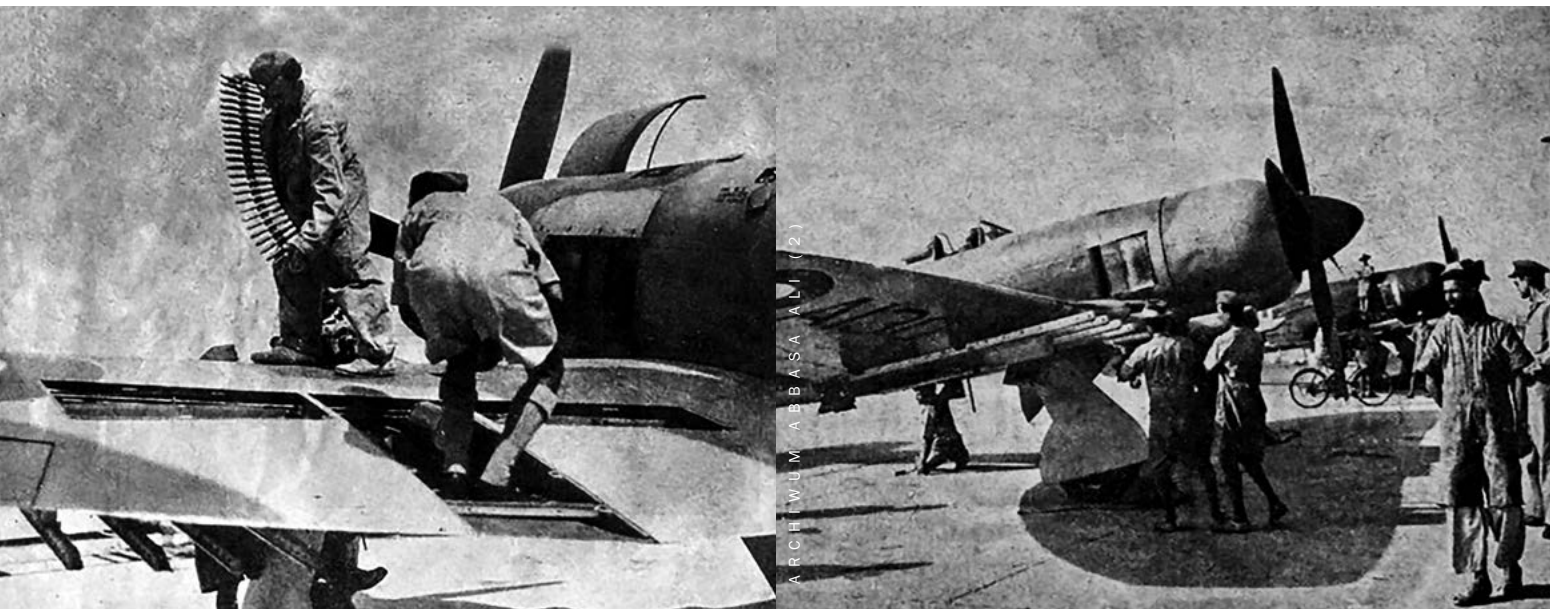
Druga wojna światowa zmieniła mapę nie tylko Europy. Wówczas m.in. od imperium brytyjskiego oderwały się Indie. W 1947 roku ta najważniejsza kolonia Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii podzieliła się na dwa niepodległe państwa: Pakistan i Indie. W tym samym czasie, gdy w dalekiej Azji Pakistan uzyskał niepodległość – 14 sierpnia 1947 roku, w Wielkiej Brytanii polscy żołnierze wchodzący w skład Polskich Sił Zbrojnych przygotowywali się do obchodów kolejnego Święta Żołnierza (15 sierpnia). Po zakończeniu II wojny światowej w kraju tym przebywało około 15 tys. polskich lotników. Tylko 3 tys. zdecydowało się na powrót do ojczyzny, a 11 tys. wstąpiło do Lotniczego Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Kiedy brytyjskie władze rozwiązały PKPiR, który miał przygotować do życia w cywilu tych, którzy zdecydowali się zostać na emigracji, na Wyspach Brytyjskich było jeszcze 9 tys. polskich lotników. Spośród nich 500 podjęło służbę w Royal Air Force (RAF), a 5 tys. znalazło pracę w cywilu. Wielu niestety trafiło pod opiekę instytucji socjalnych i stało się w Wielkiej Brytanii nieproszonymi gośćmi.

BUDOWANIE LOTNICTWA

Na początku 1948 roku do Wielkiej Brytanii przyjechali pakistańscy wojskowi. Szukali oni lotników, którzy zastąpili by angielskich

pilotów odchodzących ze służby na subkontynencie indyjskim i pomogli im utworzyć Królewskie Pakistańskie Siły Powietrzne (Royal Pakistan Air Force – RPAF). Gdy zwrócili się do rządu brytyjskiego o wskazanie dobrych fachowców, zostali skierowani do Polaków. Pół roku później stu polskich pilotów, nawigatorów i mechaników wsiadło do samolotu lecącego do Karaczi. Pakistańczycy zaoferowali im trzyletnie kontrakty z wysoką pensją, zakwaterowaniem i opieką zdrowotną dla całej rodziny.

Królewskie Pakistańskie Siły Powietrzne prezentowały się bardzo skromnie. Flotę powietrzną odziedziczyły po Brytyjczykach, więc wysłużone maszyny wymagały nieustannych remontów. Brakowało także doświadczonej kadry – większość Brytyjczyków opuściła Pakistan po ogłoszeniu przez to państwo niepodległości. Jak napisał Aleksander Głogowski w książce „Polskie orły nad Himalajami”, w raporcie attaché lotniczego wysokiego komisarza Zjednoczonego Królestwa Brytyjskiego w Pakistanie z 31 marca 1949 roku podano następującą liczbę pakistańskich samolotów: dwie sztuki de Havilland Tiger Moth, pięć – North American T-6 Harvard, 17 (w tym siedem nieuzbrojonych) – Hawker Tempest II i Hawker Fury, 16 – Douglas DC-3 Dakota, 12 – Bristol 170 Freighter, 16 – Bristol 164 Brigand i cztery – Taylorcraft Auster V/VI. Muhammad Ali Jinnah, pierwszy generalny gubernator Pakistanu, zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i dostrzegał konieczność podjęcia konkretnych działań: „Państwo bez silnego lotnictwa znajduje się na łasce agresjo-



Samoloty Hawker Tempest II, należące do Królewskich Pakistańskich Sił Powietrznych podczas uzupełniania paliwa, rakiet i amunicji, 1949 rok

DLA WIĘKSZOŚCI POLSKICH LOTNIKÓW SŁUŻBA W PAKISTANIE BYŁA OSTATNIM OKRESEM SPĘDZONYM ZA STERAMI

ra. Pakistan musi zbudować jak najszybciej siły powietrzne. To ma być skuteczne lotnictwo”.

POLSKIE WSPARCIE

Kiedy Polacy wylądowali na lotnisku w Karaczi, Pakistan prowadził przygraniczną wojnę z Indiami. Na miejscu nie było wyszkolonych pilotów, więc do maszyn transportowych, zaopatrujących walczące jednostki wojskowe, wsiedli polscy piloci. Wykonywali nocne zrzuty broni i żywności nad linią frontu. Tak wspominał je kpt. Henryk Kudliński: „Lot odbywał się wśród szczytów Himalajów, na wysokości około 4,3 tys. m, bowiem był to stary typ dakoty, niemający specjalnych sprężarek, nie mógł przelecieć powyżej szczytów. Lot odbywał się wąwozami, mijaliśmy szczyty Himalajów znacznie powyżej naszego pułapu, a o wykonaniu zakrętu w którąkolwiek stronę nie było mowy z braku miejsca w powietrzu. Lot taki trwał około pięciu godzin”.

Ze wspomnień mjr. Kazimierza Kozaka wynika natomiast, że Polacy byli zaangażowani również w działania

bojowe. On sam wykonywał lot bojowy w czasie pierwszej wojny z Indiami o Kaszmir, choć panuje powszechna opinia, że takie loty nie miały wówczas miejsca. „Celem był Śrinagar. Lot był trudny, bo góry były wysokie”, pisał.

Polscy lotnicy nie tworzyli zorganizowanego cudzoziemskiego kontyngentu. Byli oficerami i żołnierzami kontraktowymi walczącymi w szeregach pakistańskiego lotnictwa. Nie mieli naszywki „Poland” i orła na czapce, jakie nosili w dywizjonach RAF-u w Wielkiej Brytanii, bo pakistańskie władze nie chciały zaogniać stosunków ze Związkiem Sowieckim.

Najważniejszym zadaniem Polaków było szkolenie miejscowych lotników. W nowo powstałej uczelni lotniczej w Risalpur (nosiła nazwę Dom Orłów) trwało ono dwa lata. Przez tę szkołę przewinęły się setki pakistańskich adeptów lotnictwa. Wielu dosłużyło się wysokich stopni wojskowych, a swoją wartość bojową udowodnili podczas wojny z Indiami w 1965 roku.

Niektórym polskim lotnikom w RPAF-ie powierzono odpowiedzialne stanowiska. Por. Julian Żuromski



dowodził 5 Dywizjonem Myśliwskim, a mjr Mieczysław Wolański – 6 Dywizjonem Transportowym, kpt. Bolesław Kaczmarek – eskadrą szkolną, a ppor. Bronisław Malinowski – Sekcją Szkolenia Nawigatorów w RPAF College w Risalpur. Kpt. Przemysław Hedinger pełnił z kolei funkcję głównego oficera do spraw uzbrojenia w kwaterze głównej RPAF.

Podczas trwającego trzy lata kontraktu Polakom pracującym w Karaczi i Peszawarze udało się zbudować mocne fundamenty Królewskich Pakistańskich Sił Powietrznych. Dla większości z nich służba w Pakistanie była ostatnim okresem spędzonym za sterami samolotu.

OBRONA LAHAUR

Spośród tych, którzy po zakończonym kontrakcie zdecydowali się pozostać dłużej w Pakistanie, największy wkład w rozwój tamtejszego lotnictwa wniósł Władysław Turowicz. Tego absolwenta Wydziału Lotniczego Politechniki Warszawskiej z powodu wady wzroku wojskowa komisja lekarska nie dopuściła do lotów bojowych. Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Francję do Wielkiej Brytanii. Tam początkowo latał transportowym halifaksem, a potem jako inżynier nadzorował stan techniczny samolotów wysyłanych do walki. Po 1945 roku pracował w fabryce samolotów w Farnborough, a później przyjął propozycję Pakistańczyków.

W nowym azjatyckim państwie Władysław Turowicz pracował głównie jako mechanik. Gdy postanowił przedłużyć kontrakt, Pakistańczycy zaoferowali mu na początku posadę szefa zespołu naukowców w nowo powstałej akademii sił powietrznych. Szybko jednak awansował i w 1952 roku jako porucznik objął stanowisko

**PAKISTAN,
NIE CHCĄC SIĘ
ZNALEŹĆ NA ŁASCE
AGRESORA,
MUSIAŁ ZBUDOWAĆ
JAK NAJSZYBCIEJ SILNE
I SKUTECZNE SIŁY
POWIETRZNE**



Pakistański inspektor na lotnisku zatrzymuje samolot do końcowej kontroli przed startem

dowódcy bazy lotniczej w Chaklali. W 1959 roku mianowano go pułkownikiem, a rok później – generałem i został zastępcą dowódcy lotnictwa ds. technicznych. Było to drugie co do ważności stanowisko w pakistańskich siłach powietrznych.

Dla lotnictwa Pakistanu, które przechodziło proces przeobrażania na samoloty odrzutowe produkcji amerykańskiej, był to dość trudny okres. W 1965 roku wybuchła także druga wojna o Kaszmir. Wówczas gen. Turowicz wsiadł do amerykańskiego myśliwca Sabre i razem z innymi polskimi pilotami bronił miasta Lahaur przed atakami indyjskiego lotnictwa. Po zakończeniu konfliktu Polacy zostali uznani za bohaterów narodowych Pakistanu. Turowicza, którego nazwano wówczas obrońcą Lahaur, prezydent Muhammad Ayub Khan nagrodił Gwiazdą Pakistanu, jednym z najwyższych tamtejszych odznaczeń.

Turowicz był pionierem nie tylko pakistańskiego lotnictwa, lecz także badań nad kosmosem. Gdy w 1967 roku przeszedł w stan spoczynku, podjął pracę w agencji kosmicznej. Pod jego kierownictwem powstawały satelity. Powierzono mu też zadanie budowy środków przenoszenia głowic nuklearnych. Kiedy Władysław Turowicz zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym, pojawiły się teorie, że jego śmierć miała związek z walką wywiadów toczącą się w tamtych latach o informacje na temat pakistańskich prac nad programem bomby atomowej. Został pochowany z wojskowymi honorami na cmentarzu chrześcijańskim w Karaczi. W 2006 roku w mieście tym stanął jego pomnik, a centrum kosmiczne w Lahore zostało nazwane jego imieniem. ■



JACEK SZUSTAKOWSKI

Niechciani

Z Aleksandrem Głogowskim

**o żołnierzach, którzy nie mogli wrócić
do ojczyzny, i trudnym życiu na emigracji
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Po zakończeniu II wojny światowej na zachodzie Europy pozostała wielotysięczna armia polskich żołnierzy. W których krajach było ich najwięcej?

Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych największe skupiska były w Wielkiej Brytanii oraz we Włoszech, gdzie pozostali głównie żołnierze 110-tysięcznego 2 Korpusu Polskiego, którzy przeszli szlak bojowy z gen. Andersem. W Holandii oraz w północnej Francji

i w Niemczech znajdowali się żołnierze generałów Maczka i Sosabowskiego, a także jeńcy i więźniowie wyzwoleni z obozów – żołnierze Września oraz powstańcy warszawscy. Liczbę żołnierzy polskich oddziałów wojskowych szacuje się na 250 tys., trudno natomiast oszacować, ilu było cywilów. Sądzę, że po II wojnie światowej na terenie krajów zachodnioeuropejskich oraz na Bliskim Wschodzie mogło się znaleźć łącznie nawet pół miliona Polaków.



W 1947 roku Brytyjczycy rozwiązali Polskie Siły Zbrojne. Co to oznaczało dla naszych żołnierzy?

Dla tych, którzy nie chcieli wracać do komunistycznej Polski, został utworzony Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia. Formacja ta miała przygotować do życia w cywilu Polaków, którzy zdecydowali się zostać w Wielkiej Brytanii. Część z nich nie znała języka angielskiego, wielu nie miało żadnego zawodu.

Czy wiadomo, ilu z nich zdecydowało się na powrót do Polski?

Komuniści robili wszystko, aby jak najmniej osób podjęło taką decyzję. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej prowadził różne działania, by uniemożliwić repatriację jak największej liczby żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Rządy państw zachodnich natomiast apelowały do przebywających na ich terenie byłych żołnierzy armii sprzymierzonych, aby jak najszybciej wracali do swoich ojczyzn. Aby pozbyć się niedawnych sojuszników, rząd brytyjski planował nawet, że 2 Korpus zostanie przetransportowany z Włoch nie na Wyspy Brytyjskie, lecz do Afryki Północnej. Przeciwno zatrudnianiu obcokrajowców występowały także silne w Wielkiej Brytanii związki zawodowe, a rząd obawiał się przyciągnięcia na stałe wielotysięcznej rzeszy imigrantów z powodów finansowych i społecznych. W protestanckiej Wielkiej Brytanii katolik był źle postrzegany. Kojarzył się z irlandzkim terrorystą. W tamtejszych archiwach można znaleźć dokumenty świadczące o tym, że rządy państw obawiały się, iż w grupach polskich imigrantów mogą znaleźć się komuniści, którzy podejmą działania dywersyjne.

Ogółem do Polski repatriowało się ponad 100 tys. żołnierzy i oficerów, ale większość pozostała na emigracji, w tym 90% składu 2 Korpusu. Osiedlili się w różnych krajach Europy Zachodniej, w obu Amerykach oraz w Australii. Spośród kadry dowódczej za granicą pozostało ponad stu generałów, dwudziestu zdecydowało się na powrót do kraju.

Nie wszyscy dali się przekonać do powrotu.

Dla żołnierzy PSZ były to trudne lata, czuli się zdradzeni przez sojuszników. Musieli

podjąć jedną z najważniejszych decyzji w życiu – czy wracać do ojczyzny innej niż ta, o którą walczyli. Ci, którzy się na to zdecydowali, ostrzegali kolegów przed podjęciem podobnej decyzji. Także rodziny w Polsce nie zachęcały do powrotu. W obozach wojskowych, w których przebywali zdemobilizowani członkowie Polskich Sił Zbrojnych, krążyły niepokojące wiadomości. Niemożliwy był powrót zwartych oddziałów oraz pod broń – to też wskazywało, że komuniści nie chcieli mieć wojska polskiego z Zachodu gotowego do działań. Zdziwienie wywołał dekret amnestyjny z sierpnia 1945 roku, który miał być stosowany do wszystkich członków Polskich Sił Zbrojnych powracających z zagranicy. Ludzie nie rozumieli, po co amnestia. Jakież przestępstwo popełnili? Wielu żołnierzy 2 Korpusu Polskiego doświadczyło już życia pod okupacją ZSRR, więc nie ufali komunistycznemu rządowi. Kresowiakom amnestia kojarzyła się z uwolnieniem z łagrów, wielu przeszło przez więzienia i obozy sowieckie, nie mieli dokąd i po co wracać, ponieważ na mocy postanowień przyjętych na konferencji w Jałcie przez przywódców koalicji antyhitlerowskiej ich domy i ziemie znalazły się poza granicami państwa polskiego.

Jakie były motywacje tych, którzy zdecydowali się pozostać na Zachodzie?

Niektórzy wierzyli, że wybuchnie III wojna światowa, zmieni się układ geopolityczny i wrócą do takiej Polski, o jaką walczyli. Inni, szczególnie Kresowiaczy, jak już powiedziałem, nie mieli do czego wracać.

WIZYTÓWKA



DR HAB. ALEKSANDER GŁOGOWSKI

Po II wojnie światowej Amerykanie wykorzystali wiedzę i doświadczenie nazistowskich fachowców, a żołnierze PSZ, mimo niewątpliwego wkładu w zwycięstwo aliantów, zostali zostawieni sami sobie.

Mjr Tadeusz Krzystek, autor imiennej listy per-

Jest adiunktem w Katedrze Strategii Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się zagadnieniami dotyczącymi polityki zagranicznej Pakistanu, a także historią stosunków polsko-pakistańskich i Policji Państwowej.

Do Polski po II wojnie światowej wróciło ponad 100 tys. żołnierzy i oficerów, ale większość pozostała na emigracji

sonelu Polskich Sił Powietrznych w Anglii w latach 1940–1947, został przyuczony do zawodu zegarmistrza, a był mechanikiem lotniczym. Problem ze znalezieniem pracy dotyczył zwłaszcza oficerów, którzy nie mieli w rękach żadnego fachu. Łatwiej było podoficerom, mającym często rzemieślnicze wykształcenie. Gen. Maczek pracował jako barman w hotelu swojego podkomendnego, który się dobrze ożenił. Gen. Sosabowski został zatrudniony w fabryce jako pracownik fizyczny. Pod koniec lat czterdziestych XX wieku USA wykorzystały polskich lotników, którzy byli już w cywilu, do zorganizowania mostu powietrznego do Berlina Zachodniego – dostarczali zaopatrzenie do zablokowanego przez Rosjan miasta. Państwem gościnnym dla Polaków była Australia, kraj o dużym terytorium i małej liczbie ludności. Gdy rozwiązano Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, zaproszono tam polskich specjalistów, ale pracowali oni jako cywile. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych do Australii przybyło około 3,7 tys. polskich żołnierzy, w tym 800 z Wielkiej Brytanii i 2,5 tys. z Niemiec.

Czy polscy żołnierzy nie mieli szans na dalszą karierę wojskową w zachodnich armiach?

Karierę zrobiły jednostki. Aleksander Meissner na przykład po wojnie był zastępcą dowódcy do spraw wykszolenia w szkole RAF-u w Cranwell. Awansował nawet do stopnia wicemarszałka lotnictwa. Najbardziej znanym jego uczniem był następca tronu Wielkiej Brytanii książę Karol. Grupa żołnierzy Samodzielnej Kompanii Grenadierów wyjechała do USA jako zwarta jednostka, aby pomagać w szkoleniu wojsk specjalnych. Była to jedna z wszechstronnie wyszkolonych, a przy tym najmniej znanych polskich jednostek specjalnych utworzonych w czasie II wojny światowej na Zachodzie. Miała organizować akcje sabotażowe i dywersyjne na terenie Francji i Niemiec. Pierwsza grupa wzięła udział w D-Day. Na uczestnictwo drugiej na terenie Rzeszy nie zgodził się Stalin. Nic dziwnego, że gdy Amerykanie zobaczyli co potrafią, po wojnie zaprosili tych żołnierzy do siebie. W tej jednostce służył brat mojej prababci. Był podporucznikiem w 2 Pułku Piechoty Legionów. Początkowo na czele Samodzielnej Kompanii Grenadierów stał mjr Edmund Galinat „Zaremba”, oficer Sztabu Głównego do specjalnych poruczeń, który we wrześniu 1939 roku latał na samolocie Sum do oblężonej Warszawy z rozkazami od marszałka Rydza-Śmigłego. Major zmarł w 1971 roku w Stanach Zjednoczonych. Mój wuj, który był przedostatnim dowódcą SKG, pozostał w Wielkiej Brytanii, gdzie prowadził urząd pocztowy. Zmarł w 2009 roku. Kilku żołnierzy tej formacji wróciło do Polski, żaden już nie żyje.

Po wojnie polscy weterani walczyli m.in. jako najemnicy w Afryce w dawnych koloniach brytyjskich. Najbardziej znany w tej grupie jest ppłk Jan Zumbach z Dywizjonu 303. W latach sześćdziesiątych służył w lotnictwie białym, które tworzył, i brał m.in. udział w nalotach na pozycje nigeryjskie. W tym samym czasie mjr Roman Hrycak, jeden z polskich lotników, którzy po II wojnie światowej odbudowywali pakistańskie siły lotnicze, walczył po stronie przeciwnej. Mogli się spotkać w powietrzu.

Gdyby w Polsce system zmienił się dekadę wcześniej, niewykluczone, że udałoby się jeszcze skorzystać z wiedzy i doświadczenia oficerów, którzy pozostali na Zachodzie. Byli już w podeszłym wieku, ale sądzę, że z powodzeniem mogliby zajmować stanowiska sztabowe i przenosić etos II Rzeczypospolitej do ówczesnego wojska. Dziś pozostaje utrwalanie etosu cichociemnych, co robią głównie żołnierze wojsk specjalnych, oraz kultywowanie tradycji lotniczych, np. przez 23 Bazę Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim. ■



PIOTR KORCZYŃSKI

W arktycznym piekle

Polscy marynarze z niechęcią brali udział w alianckich konwojach z pomocą dla ZSRS. Niektórzy z nich jeszcze do niedawna przebywali w sowieckich łagrach.

Gdyby Hitler napadł na piekło, wypowiedziałbym w Izbie Gmin kilka życzliwych słów pod adresem diabła”, tak Winston Churchill odpowiedział w przeddzień niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki tym, którzy dziwili się, że ten zadeklarowany antykomunista zapowiedział pomoc dla Rosji. I rzeczywiście, już 10 lipca 1941 roku rząd amerykański, na prośbę Brytyjczyków, włączył ZSRS do programu pomocowego Lend-Lease, a 31 sierpnia z Islandii do Archangielska dotarł pierwszy transport z pomocą wojskową. W konwoju „Dervish” Rosjanom przywieziono 200 samolotów myśliwskich, 3 mln par butów i 10 t kauczuku. W ten sposób, jak później mówili marynarze, „otworzyły się podwoje piekła” dla brytyjskiej marynarki i jej sojuszników.

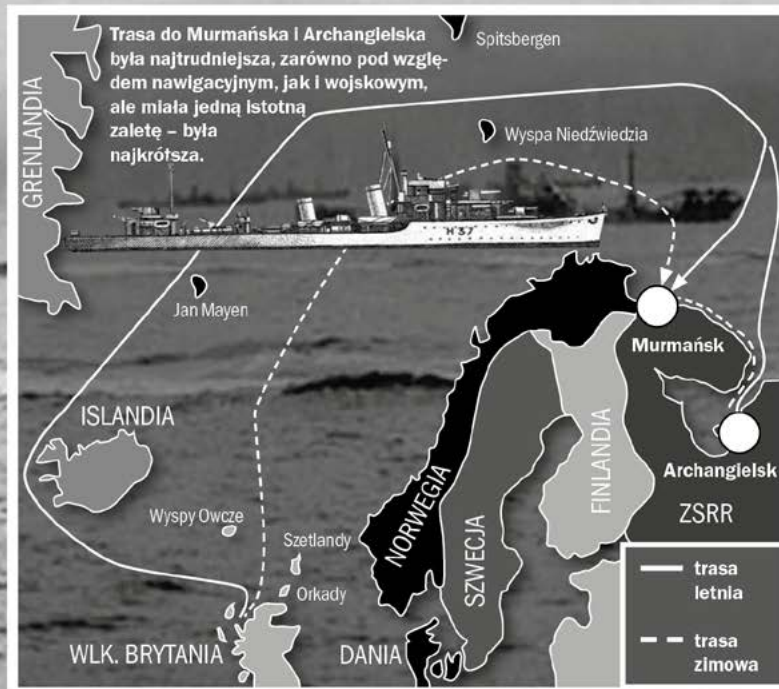
KONWOJE ŚMIERCI

Gdy wytyczano trasy konwojów do ZSRS, brano pod uwagę trzy szlaki: pacyficzny przez Kanał Panamski; afrykański, który prowadził wokół Przylądka Dobrej Nadziei i przez Ocean Indyjski do portów w Basrze i Bandar Abbas; oraz północny – przez wody Morza Grenlandzkiego, Norweskiego i Barentsa do Murmańska i Archangielska. Ta ostatnia trasa była najtrudniejsza, zarówno pod względem nawigacyjnym, jak i wojskowym, ale miała jedną istotną zaletę – była najkrótsza, co w sytuacji, gdy Armia Czerwona ponosiła klęskę za klęską,

miało ogromne znaczenie. Konwoje idące tym szlakiem zaczęto wkrótce nazywać samobójczymi lub śmierci, a samą trasę – arktycznym piekłem, ze względu nie tyle na trudne warunki atmosferyczne, ile na niemieckie U-Booty i lotnictwo bazujące w północnej Norwegii i Finlandii.

W tych konwojach wzięli udział polscy marynarze, co było dla nich szczególnie trudne – wszak Sowietci razem z Niemcami dokonali czwartego rozbioru Polski, a wielu jej obywateli wymordowali lub wysłali do łagrów. Po podpisaniu układu Sikorski–Majski w lipcu 1941 roku i ogłoszeniu tzw. amnestii, na polskich okrętach w Wielkiej Brytanii pojawili się ludzie, którzy zasmakowali „sowieckiego raj”. Mowa jest tutaj przede wszystkim o członkach załogi niszczyciela ORP „Garland”.

Ten noszący najstarszą w historii Royal Navy nazwę niszczyciel (o pierwszym „Garlandzie” mówią kroniki z 1242 roku) został wydzierżawiony polskiej marynarce wojennej w 1940 roku. 30 stycznia 1942 roku nowym dowódcą okrętu został jeden z najbardziej doświadczonych oficerów – kmdr por. Henryk Eibel, a od 28 lutego na jednostce rozpoczęto prace modernizacyjne. W stoczni Smitha w Middlesbrough polski niszczyciel przystosowano do służby eskortowej w konwojach arktycznych. Okazało się bowiem, że ORP „Garland” został włączony do wielkiego konwoju alianckiego zmierzającego do Murmańska. Wielu Polaków ta wiadomość przeraziła i rozgniewała. Polskie okręty operacyjnie podlegały



PK/DZIAŁ GRAFICZNY, ROYAL NAVY

jednak Admiralicji Brytyjskiej i kontestacja jej rozkazów nie wchodziła w grę.

W OKU CYKLONU

21 maja 1942 roku konwój PQ-16 opuścił wody islandzkie. Początkowo składał się z 35 transportowców eskortowanych przez pięć niszczycieli, sześć trałowców i dwa inne okręty. „Garland” ustawił się na lewym skrzydle konwoju jako drugi w szyku. Pierwsze trzy dni rejsu upłynęły spokojnie, wprawdzie żegluga utrudniała gęsta mgła, ale jednocześnie zapewniała osłonę przed obserwacją nieprzyjaciela. 24 maja niemieckie U-Booty jednak wpadły na trop konwoju i wkrótce „Garland” przeprowadził pierwszy w tej akcji atak bombami głębinowymi.

Wkrótce eskorta okrętów została wzmocniona przez ze spół kadm. Harolda Martina Burrougha; jego cztery krążowniki miały odstraszać niemieckie pancerniki kieszonkowe czające się wśród norweskich fiordów. Tyle że wtedy nad konwojem pojawił się znak, że Niemcy szykują się do ataku – niemiecki samolot rozpoznawczy nazwany przez polskich marynarzy diabłem stróżem.

Konwój PQ-16 jeszcze po południu 25 maja spokojnie minął się z powracającym z Murmańska bez strat QP-12. Tuż po tym PQ-16 został jednak zaatakowany przez nieprzyjacielskie samoloty i okręty podwodne. Rozpoczęła się bitwa, która trwała niemal bez przerwy przez pięć dni, aż jednostki alianckie zawinęły do sowieckiego portu.

Pierwsze uderzyły torpedowe heinkle, a po nich dobrze znane Polakom z września 1939 roku nurkowe stukasy. „Garland” od razu znalazł się w samym oku cyklonu. Mimo wybuchów bomb lotniczych nieprzerwanie prowadził ogień z broni przeciwlotniczej. W pewnej chwili jeden ze stukasów został trafiony z oerlikona, kiedy przelatywał tuż nad dziobem polskiego niszczyciela. Z płonącej maszyny wyskoczyli na spadochronach dwaj lotnicy, ale w ogniu walki nikt nie miał czasu ich ratować.

To pierwsze uderzenie lotnictwa torpedowego i bombowego nie przyniosło Niemcom większych sukcesów, ale oni nie zamierzali odpuszczać. Arktyczne białe noce pozwalały lotnictwu atakować „na dwie zmiany”. Co więcej, wieczorem przyłączyły się U-Booty. Jeden z nich został wykryty przez obserwatorów z polskiego okrętu. Po zrzuconiu serii bomb głębinowych na powierzchnię morza pojawiła się tłusta plama oleju – niechybny znak, że okręt podwodny został uszkodzony lub zniszczony.

Wtorek 26 maja upłynął bez większych zmian – konwój nadal szedł szlakiem na północny wschód, a niemieckie lotnictwo nie mogło przedrzeć się do transportowców przez ogień eskorty. Wieczorem znacznie pogorszyły się warunki żeglugi i jednostki musiały ograniczyć prędkość z powodu dryfującego wokół łodu. Jednocześnie od konwoju odłączyły się cztery krążowniki



Burrougha i odeszły w osłonie trzech niszczycieli. Admiralicja uznała bowiem, że w rejonie Wysp Niedźwiedzych okrętom nie grożą już „kieszonkowi piraci”, a jednocześnie obawiała się, że cenne krążowniki mogą paść łupem lotnictwa i U-Bootów.

Niemcy jakby tylko czekali na to osłabienie eskorty. Odległość między lotniskami w północnej Norwegii a konwojem zmniejszyła się teraz do około 250 mil, więc samoloty mogły pojawić się nad nim w ciągu niecałej godziny. Od rana 27 maja okręty zaatakowały ponad 108 samolotów torpedowych i bombowych. Ju-88 i He-111 nadlatywały nad konwój i po opróżnieniu luków z dwu- lub trzytonowego ładunku oddalały się, a na ich miejsce od razu pojawiały się nowe eskadry.

Z POLAKAMI JUŻ KONIEC

Dla „Garlanda” do największej próby doszło w czasie trzeciego nalotu, który rozpoczął się o godzinie 12.20. Zaokrętowany na niszczycielu sprawozdawca wojenny Bohdan Pawłowicz tak zapamiętał ten moment: „Z pięknych niewinnych obłoków i chmurków wprost od słońca wypadła nurkując pierwsza szóstka Junkersów-88, potem druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma... przestałem liczyć. Słupy wody i dymu wyrósł pomiędzy statkami i podnosiły się już teraz prawie bez przerwy w coraz to innych miejscach konwoju. Jakiś statek został trafiony na samym początku tego ataku i zapalił się jasnym, bezdymnym płomieniem. [...] Ale nie było czasu zatrzymać oczu na jednym wydarzeniu. Sceneria zmieniała się nazbyt szybko. »Garland« strzelał ze wszystkich dział, wielokrotnie odzywała się broń maszynowa okrętu, gdy Niemcy przelatywali dość blisko. Nurkowali zaś tego dnia jeszcze śmielej i zniżali się do 50–100 metrów”.

Dziesięć minut przed 14.00 dwa klucze junkersów obrały sobie za cel polski niszczyciel. W jego kierunku poleciały wiązanki ciężkich bomb burzących. „Garland” manewrował w niesłychanym tempie i wydawało się, że kmdr Eibel wyprowadzi go z bezpośredniej strefy rażenia. Nagle z ogromną siłą uderzyły w okręt setki odłamków. Przebijały na wylot stalowe burty, osłony dział i pancernych wież artyleryjskich. Dotarły nawet do maszynowni i uszkodziły główny przewód parowy. „Garlanda” zasnuły kłęby pary i dymu z rozbitej świecy dymnej na dziobie. Niemieccy lotnicy byli pewni celnego trafienia, podobnie sądzili oficerowie z sąsiedniej jednostki: „Szkoda okrętu. Z Polakami już koniec”. Niemale było ich zdumienie, gdy po chwili „Garland” jak okręt widmo wyłonił się z kłębow dymu i nadal – choć o wiele słabiej – prowadził ogień do nieprzyjaciela!



ZE 145 CZŁONKÓW ZAŁOGI ORP „GARLAND” W NIEMIECKIM ATAKU POLEGŁO 22, A 46 ZOSTAŁO RANNYCH

Okazało się później, że „Garland” nie został trafiony bezpośrednio, ale i tak uległ dużemu zniszczeniu. Por. Józef Bartosik, oficer artylerii na niszczycielu, wspominał: „Z pięknego mechanizmu artylerii [...] pozostały drzazgi. Do dalszej walki nadawały się tylko jedna »75« i jedna rufowa »120«. Cała bateria dziobowa była wybita. Prawy »oerlikon« również. Obsługi nkm-ów zniszczone. Pięćdziesięciu ludzi rannych, niezdolnych do walki”. Mimo to z ocalonych dział od razu otworzono ogień – jedyne czynne na dziobie okrętu działo obsługiwali kucharze, stołowi i torpedyści.

Na szczęście, w maszynowni i kotłowni uszkodzenia nie były tak groźne, jak to wyglądało na początku, a załoga trwała na swych stanowiskach, dzięki czemu okręt miał dostatecznie dużą prędkość, choć para nadal ulatniała się z przeбитych przewodów. Ci, którzy nie obsługiwali broni czy maszyn, ratowali rannych na pokładzie, gdyż niemiecki ostrzał trwał nadal – ten nalot skończył się dopiero o godzinie 19.00. Wtedy okazało się, że cztery transportowce zostały zatopione, a dwa uszkodzone. Wieczorna



Marynarz ORP „Garland”
na stanowisku obsługi
ciężkiego karabinu
maszynowego „Vickers”.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

przerwa w bitwie nie trwała długo, bo już o 22.55 Niemcy zaatakowali ponownie i zatopili aliantom kolejne dwa statki, a jeden mocno uszkodzili.

WALKA O ŻYCIE

Na „Garlandzie” bohaterem został lekarz okrętowy, ppor. Wilhelm Ząbroń, który w mesie oficerskiej urządził salę operacyjną. Pobił wtedy rekord w dziejach morskiej medycyny wojskowej, bo operował i opatrywał ciężko rannych nieprzerwanie przez 36 godzin. Kiedy przysłany mu na pomoc lekarz brytyjski zobaczył mesę pełną krwi i amputowanych kończyn, zemdlął i został odesłany na swój okręt. Wtedy leżący na korytarzu w kolejce do stołu operacyjnego jeden z artylerzystów st. mar. Bolesław Bomba, własną krwią napisał na ścianie: „Polsko, jak słodko dla ciebie umierać”. Potem stracił przytomność, ale nie umarł – Ząbroń uratował mu życie.

Doktor nie miał jednak szans uratować wszystkich rannych na zdewastowanym okręcie. Eibel uzyskał wtedy zgodę dowódcy eskorty na odłączenie się od konwoju, żeby popłynąć do Murmańska. 28 maja rano dowódca eskadry, kmdr Richard G. Onslow, pożegnał „Garlanda” słowami: „God bless you, my very gallant ship!”, a załoga jego niszczyciela „Ashanti” stanęła na baczność wzdłuż burty i salutowała „Garlandowi”.

Uszkodzony okręt był łatwym celem dla lotnictwa lub okrętów podwodnych, lecz Polakom dopisało szczęście.

Choć byli obserwowani przez „diabła stróża” i zaliczyli spotkanie z U-Bootem, w piątek 29 maja wpłynęli do Zatoki Kolskiej. Ze 145 członków załogi „Garlanda” 22 poległo, a 46 zostało rannych. Teraz zaczęła się nie mniej emocjonalna batalia o uratowanie w Murmańsku im życia.

W oznaczonym miejscu ORP „Garland” przyjął na pokład pilota Czubakina, kpt. Philipsa z Royal Navy i... por. Andrzeja Guzowskiego z ORP „Jastrząb”, który padł ofiarą ataku własnych niszczycieli, gdy ubezpieczał jeden z konwojów. Oprócz podwodniaków w Murmańsku przebywała też załoga nowoczesnego drobnicowca S/S „Tobruk”, mocno uszkodzonego w porcie przez bomby podczas jednego z niemieckich nalotów.

Już od pierwszych chwil wpłynięcia na wody w okolicach Murmańska załoga „Garlanda” zderzyła się z sowiecką rzeczywistością. Pilot chciał postawić okręt z dala od miasta, ale kmdr Eibel nie zważał na jego protesty i na własną odpowiedzialność skierował niszczyciel prosto do portu, z którego było najbliżej do szpitala. Podobno za tę „niesubordynację” Czubakin zapłacił zesłaniem do łagru.

A to dopiero początek kłopotów. Kiedy poległych członków załogi chciano pochować na cmentarzu polskich żołnierzy walczących tutaj w latach 1918–1919, okazało się, że po ich mogiłach nie ma śladu – zostały zniszczone przez bolszewików. Ostatecznie urządzono pogrzeb morski: 2 czerwca 1941 roku z pokładu brytyjskiego trałowca „Niger” na ostatnią wachtę zepchnięto do morza 22 trumny (w murmańskim szpitalu zmarło jeszcze trzech członków załogi „Garlanda”).

Remont, a raczej łatanie polskiego okrętu, bo na tyle pozwalały warunki miejscowych stoczní, prowadzono najpierw w Murmańsku, a następnie w Archangielsku aż do 27 czerwca. Następnego dnia „Garland” z uratowanymi z „Jastrzębia” marynarzami wyruszył w drogę powrotną do Wielkiej Brytanii, dołączając do konwoju QP-13, i 7 lipca dotarł do Islandii.

Choć załoga ORP „Garland” dostała za tę akcję wiele polskich i brytyjskich odznaczeń, po cichu się modliła o to, by już nie trzeba było wykazywać się w „konwojach śmierci”. Prośby zostały wysłuchane – po remoncie okręt ruszył na inne szlaki. Choć nie zakończyło to jeszcze murmańskiej epopei polskich marynarzy. Po remoncie trasę arktyczną jeszcze kilka razy pokonywał S/S „Tobruk” kpt. Bronisława Hurki. W osłonach konwojów uczestniczyły OORP „Orkan”, „Piorun” i „Dragon”. Udział polskich statków i okrętów w „konwojach śmierci” przerwało w kwietniu 1943 roku zerwanie przez ZSRS stosunków dyplomatycznych z rządem RP i odkrycie zbrodni katyńskiej. ■

Historia wojskowości zna przykłady broni wykonanej z przeróżnych, niezwyklej materiałów. Armaty z drewna z pewnością zajmują tu istotne miejsce. Przykładów ich użycia jest naprawdę niemało, zwłaszcza z XIX wieku, ale i początków kolejnego. W polskiej historii najbardziej są znane drewniane armatki wykorzystywane podczas powstania styczniowego przez oddział Mariana Langiewicza, choć na pomysł ich użycia wpadli także np. podhalańscy chłopcy w czasie powstania w latach 1669–1670.

Szczególną rolę armaty takie odegrały na Bałkanach. Stanowią tam swoisty fenomen historyczny. Jako symbol desperackiej walki o wolność drewniana artyleria weszła do mitologii narodowej Serbów, Bułgarów, Macedończyków i Rumunów. Używano jej podczas tzw. pierwszego powstania serbskiego (1804–1813), w trakcie walk partyzanckich w Siedmiogrodzie na przełomie lat 1848 i 1849, w czasie powstania kwietniowego w Bułgarii (1876) oraz tzw. powstania ilindenckiego w Macedonii (1903). Nie bez powodu drewniane armaty wspomina się na Bałkanach w poezji i pieśniach ludowych, ich repliki często pojawiają się w filmach historycznych dotyczących tego okresu, w Bułgarii zaś niemal każde większe miasto ma ulicę Czereśniowej Armatki.

Z DEBU LUB CZEREŚNI

Drewniane armaty były bronią powstańców i buntowników. Z łatwo dostępnego i niedrogiego materiału, jakim było drewno, oraz dzięki pomysłowości i zręczności powstańcy próbowali w warunkach polowych stworzyć własną artylerię i w ten sposób zwiększyć swoje szanse na zwycięstwo. Była to broń zastępcza, mająca mnóstwo wad, z których najważniejszą była nietrwałość. Drewniane armaty miały jednak i pewne zalety, dzięki którym tak często sięgali po nie wszelkiego rodzaju wywrotowcy i rebelianci. Stanisław Radziszewski, powstaniec listopadowy, w swych zapiskach dotyczących powstania na Litwie, uzasadniał to tak: „Armaty drewniane śmieszna dziś niejednemu wydadzą się rzeczą. W istocie mały z nich był użytek, bo po kilku wystrzałach pękały, ale przy niedostatku broni nie godziło się powstańcom i taką pogardzać”.

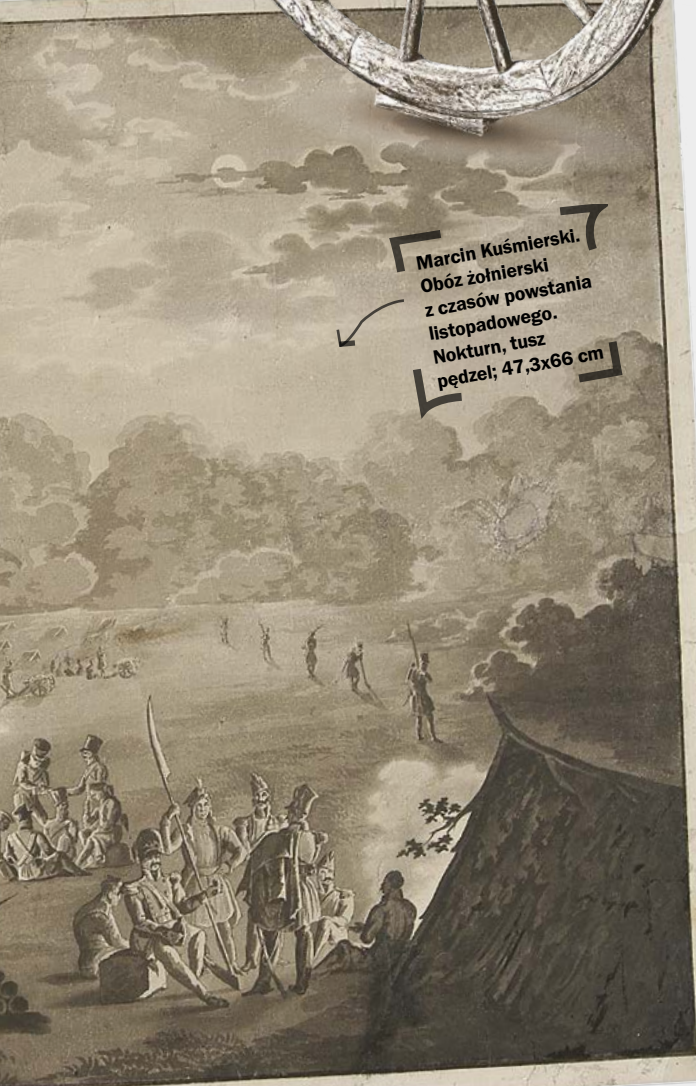
Co do powodów sięgania po drewnianą artylerię, to bardzo ciekawy jest przykład oddziału Michała Lisieckiego, działającego na Litwie podczas powstania listopadowego. Po wybuchu

powstania Lisiecki zajął się organizowaniem wojsk w miejscowości Soły (niedaleko Rakiszek). Gdy stworzył oddział kawalerii, podjął się również zorganizowania artylerii. Początkowo zamierzał odlewać działa z metalu. Zgromadził w tym celu potrzebny materiał (dzwony kościelne, moździerze, lichtarze itp.), procesem odlewania zaś miał się zająć „doświadczony inżynier”. Niestety, cały projekt poniósł fiasko, gdyż – jak Lisiecki napisał we wspomnieniach – „kruszcąc zastygał w połowie odlewania”. Dalej wyjaśnia: „Znudzony ciąglem niepowodzeniem tej fabryki rzuciłem się do innego przemysłu, do robienia dział drewnianych. To przedsięwzięcie pomyślniejsze wzięło skutek i w kilka dni z największą wszystkich radością ujrzeliśmy sześć armat dębowych, ujętych grubymi żelaznymi obręczami, które, położone na gotowe już lawety, miały pozór armat wojennych pozycyjnych największego kalibru”.





Marcin Kuśmierski.
Obóz żołnierski
z czasów powstania
listopadowego.
Nokturn, tusz
pędzel; 47,3x66 cm



POLONA.PL

Armaty te przygotowywano z drewna łatwo dostępnego, ale o określonych właściwościach: miało się ono charakteryzować twardością i wytrzymałością oraz względnie dobrze poddawać obróbce. Polscy powstańcy sięgali w związku z tym najczęściej po drewno bukowe lub dębowe, na Bałkanach zaś zdecydowanie używano głównie drewna czereśniowego. Z tego powodu w kilku językach bałkańskich określenie „czereśniowa armatka” stało się wręcz synonimem każdego drewnianego działła, bez względu na faktyczny materiał, z jakiego zostało wykonane. Sporadycznie do przygotowania dział wykorzystywano również drewno orzecha, wiązu, gruszy, morwy czy migdałowca (na Bałkanach). W pniach drążono otwór bądź długim świdrem, bądź też rozpalonym kawałkiem żelaza. Tak przygotowaną rurę wzmocniano metalowymi obęczami. Doświadczenie bałkańskie pokazuje, że zwracano szczególną uwagę na to, by przód lub tył armaty wypadał w miejscu, gdzie znajdują się sęki, co miało zwiększać wytrzymałość tego fragmentu działła. Lont umieszczano w nawierconym u góry otworze zapalowym. Zdarzało się także (w Bułgarii przynajmniej), że we wnętrzu gotowych, wydrążonych pni umieszczano zwiniętą cienką blachę. Miało to podnosić trwałość całej konstrukcji.

Technologia wyrobu drewnianych armat zwykle była maksymalnie uproszczona. Wymagała jednak zaangażowania rzemieślników znających zarówno sposoby obróbki drewna, jak i żelaza, a więc cieśli i kowali. Jeden z takich rzemieślników, Jovan, zwany po prostu Kowalem (Kovač), zdobył sobie sławę podczas tzw. pierwszego powstania serbskiego przeciw Turkom (1804–1813). Miał on na polecenie powstańczego przywódcy, Jerzego Czarnego, okuć obęczami drewniane armaty, które następnie przeszły do legendy jako pierwowciny serbskiej artylerii. Znane są jednak bardziej zaawansowane sposoby budowania drewnianych armat. W Macedonii, podczas przygotowań do powstania ilindenckiego, kiedy powstańcy mieli więcej czasu do dyspozycji, drewno było poddawane dość długim i skomplikowanym procesom suszenia i później impregnowania.

STARYM ŻELASTWEM PLUJĄ W OCZY

Użyteczność drewnianej artylerii była raczej niewielka. Właściwie wszędzie, gdzie używano drewnianych armatek, podkreślano głównie ich rolę propagandową oraz motywacyjną. Przede wszystkim miały one podnosić morale powstańców. Niekiedy urządzano w tym celu specjalne pokazy. Zachari Stojanow, uczestnik tzw. powstania kwietniowego w Bułgarii (1876) i kronikarz wydarzeń tego czasu, opisuje to następująco: „Mieszkańcy



wsi nabrali odwagi, gdy okuty żelaznymi obręczami cze-reśniowy pień został umieszczony na dwóch kołach i przejechał przez wieś ciągnięty przez muła. Armata była ozdobiona kwiatami, pop Christosko zaś szedł z przodu, uśmiechnięty od ucha do ucha”.

Równie istotnym zadaniem drewnianych dział było oddziaływanie psychologiczne na przeciwnika, zasugerowanie mu, że powstańcy dysponują większą siłą, niż się pierwotnie wydawało. Odgrywały więc one swoistą rolę dezinformacyjną. Przykłady można czerpać z powstań na Bałkanach, gdzie do walki ze słabo uzbrojonymi buntownikami przystępowały zwykle całkiem dobrze wyekwipowane oddziały regularnej armii tureckiej bądź oddziałów ochotniczych, tzw. baszybuzuków. Wystrzał z drewnianego działka budził zaskoczenie u żołnierzy tureckich, którzy nie spodziewali się, że zbuntowani chłopcy będą dysponować własną artylerią.

Drewniane armaty mogły być bronią niebezpieczną, choć głównie dla własnej obsługi. Specyfika materiału oraz pośpiech przy ich wykonywaniu sprawiały, że wiele armat wybuchło i rozpadało się już przy pierwszej salwie. Dla obsługi, która nie zachowywała ostrożności, takie wybuchające działo mogło stanowić niemałe zagrożenie. W swej „Nocie do Rządu Narodowego w przedmocie powstania i wojny roku 1863” Krystyn Ostrowski, pisarz i publicysta, a także uczestnik powstania listopadowego, być może na podstawie własnego doświadczenia stwierdzał: „Co do dział drewnianych, sądzymy, że są zupełnie nieużyteczne i niebezpieczne tylko dla tych, którzy się nimi posługują”. Nawiasem mówiąc, w Serbii opowiadano w związku z tym stosowny dowcip. Otóż walczący z Turkami powstańcy przygotowali drewnianą armatę, nabili ją i podpalili lont. Wystrzału jednak nie było, ponieważ armata wybuchła, zabijając stojące w pobliżu osoby. Jeden z powstańców przeżył wybuch, wstał, otrząpał się z kurzu i zaczął skakać z radości. Na pytanie, z czego się cieszy, odpowiedział: skoro ta armata zabiła u nas tyle osób, to ilu musiała zabić Turków?

Żarty żartami, ale przykłady historyczne pokazują, że broń tego typu była w walce różnorako wykorzystywana. W trakcie pierwszego powstania serbskiego użyto drewnianych armat tylko kilka razy, niemal wyłącznie w charakterze wiwatówek dających sygnał do ataku. Tak było podczas ataku na miejscowość Rudnik (1804) czy Prokuplje (1806). Zdarzały się jednak sytuacje, kiedy drewniana artyleria okazywała się przydatna. W czasie powstania listopadowego drewnianych armat używano m.in. w bitwie pod wsią Porakiszki na Litwie w maju 1831 roku. Salwa z dębowych dział miała wówczas, jak twierdził Michał Lisiecki, powstrzymać atak batalionu piechoty przeciwnika. W powstaniu styczniowym drewnianych



W POLSKIEJ HISTORII NAJBARDZIEJ SĄ ZNANE DREWNIANE ARMATKI WYKORZYS- TYWANE PODCZAS POWSTANIA STYCZ- NIOWEGO PRZEZ ODDZIAŁ **MARIANA LANGIEWICZA**

armatek używano z powodzeniem m.in. podczas bitwy pod Małogoszczem. Wykorzystując je, udało się wnieść zamieszanie w szeregi przeciwnika. W bitwie tej uczestniczył Aleksander Zdanowicz, który później wspominał: „dwa nasze działa [drewniane] i jedna długa śmigownica starem żelastwem bezustannie pluły w oczy Moskalom, wtedy żadna jedność zbiorowa, ani batalion, ani kompania szeregu nie utrzymywała”. Najczęściej jednak drewniane armatki robiły więcej huku niż szkody.

Działa te były znane ze swej nietrwałości. Większość świadków twierdziła, że zanim armatka pękła, można było z niej strzelić zaledwie trzy–cztery razy. W Macedonii w trakcie pierwszego lub drugiego strzału pękła praktycznie co trzecia armata. Wyjątkowo Lisiecki zaś świadcza w swych wspomnieniach, że jedno z jego drewnianych dział rozpadło się dopiero „za ośmnastym wystrzałem”.

Z drewnianych dział strzelano właściwie wszystkim, co się do tego nadawało. Działający na Litwie podczas powstania listopadowego Michał Lisiecki opisuje to tak: „ładunki działowe były robione z prochu własnej fabryki i z kul pozbieranych pod Kalekami, Ucianą i Oniksztami. Kartacze zaś były z siekanego żelaza, sto ładunków kartaczowych, ułożonych w blaszane kubki”. Z Bałkanów znane są przypadki, gdzie strzelano... odważnikami. Ciężarki takie przypominały gruszkę, miały u góry ruchomy hak służący do zaczepienia przy wadze.

Dzięki niemu wystrzelone z armat odważniki miały ponoć wydawać dźwięk przypominający – jak opisuje Zachari Stojanow, kronikarz powstania kwietniowego – świst lokomotywy. Zdarzało się, że armaty nabijano również obłymi kamieniami.

Zaletą drewnianych armat była ich lekkość, która ułatwiała transport. Podkreślał to m.in. rosyjski historyk Siergiej Gieskiet, opisujący przebieg bitwy na Świętym Krzyżu podczas powstania styczniowego. Jeśli chodzi o konkretne dane, to armaty używane w Macedonii w czasie powstania ilindenckiego ważyły do 70 kg, choć były też mniejsze i lżejsze, mające około 20 kg. Metalowe armaty z tej samej epoki były zdecydowanie cięższe, ich masa mogła wynosić nawet kilkaset kilogramów. Tymczasem drewniane działa można było nosić ręcznie, choć częściej umieszczano je na dwukołowych wózkach, sporządzanych z fur chłopskich. Sporadycznie były transportowane na drewnianych lub metalowych stojakach w formie trójnoga. Długość samych dział była rozmaita, z informacji z terenu Półwyspu Bałkańskiego wynika, że wynosiła od 80 cm (Macedonia) aż do 2,5 m (Bułgaria). Drewniana artyleria najpowszechniej była wykorzystywana bodaj w tzw. powstaniu kwietniowym w Bułgarii (1876). Historycy doliczyli się aż 52 drewnianych armat, które miały zostać użyte w walkach z Turkami.

ARMATY SYSTEMU JENERAŁA BEMA

W niektórych polskich opracowaniach historycznych można się natknąć na informację o tym, że drewniane armaty miał wykorzystywać gen. Józef Bem podczas walk w Siedmiogrodzie na przełomie lat 1848 i 1849. Henryk Samborski we wspomnieniach z powstania styczniowego pisze wręcz, że powstańcy używali „drewnianych armat systemu jenerała Bema”. Rzeczywiście, na łamach austriackich i niemieckich gazet z okresu Wiosny Ludów znajdziemy wzmianki o tym, jakoby Bem używał drewnianych armat. Większość tych wzmianek wyszła spod ręki Maksa Schlesingera, austriackiego pisarza i dziennikarza. Szczegółowy opis wyglądu rzekomych armat konstrukcji gen. Bema Schlesinger umieścił w swym dziele pt. „Aus Ungarn” (1850), opisującym przebieg rewolucji węgierskiej. Z jego rewelacjami ostro jednak rozprawił się towarzysz Bema, szef sztabu armii siedmiogrodzkiej, węgierski generał János Csetz. Pisał on wprost, „że Bem nigdy nie wpadłby na tak śmieszny koncept, by z drewnianych armat korzystać”. Mieli je natomiast w swym wyposażeniu dowodzeni przez Avrama Iancu rumuńscy partyzanci, którzy w Siedmiogrodzie wojowali z Bemem. I to właśnie ich działa wpadły w ręce wojsk węgierskich gen. Bema po jednej z bitew. Armaty te zdobyli następnie na Węgrach Rosjanie, którzy zawieźli je do Petersburga jako trofeum wojenne. Przypuszczalnie stąd pochodzi opowieść o drewnianych armatach „systemu Bema”. ■



Nosisz mundur?

Interesujesz się
bronią palną?

Chcesz uzyskać
pozwolenie na broń?

Dołącz do nas!

www.pskbpiss.pl

+48 732 75 75 75

Polskie Stowarzyszenie
Kolekcjonerów Broni Palnej
i Strzelectwa Sportowego

TADEUSZ WRÓBEL

Barki zwycięstwa

W czasie II wojny światowej alianci dysponowali barkami desantowymi o różnej wielkości i przeznaczeniu, dzięki którym możliwe były lądowania na brzegach plaż.

Pierwsze pływające jednostki desantowe przystosowane do dostarczania na brzeg ludzi i zaopatrzenia powstały w czasie I wojny światowej. Największą operacją amfibijną podczas tego konfliktu było lądowanie w kwietniu 1915 roku wojsk alianckich na należącej do Turcji półwyspie Gallipoli. Na potrzeby tej misji brytyjska Królewska Marynarka Wojenna zamówiła w lutym 1915 roku 200 lichtug, czyli niewielkich jednostek służących do rozładowywania statków (później zlecenie zwiększono do 225), nazwanych X Lighters, a budowanych przez różne stocznie, głównie w północno-wschodniej Anglii. Ich projekt oparto na używanych na Tamizie barkach. Jednostki X1-X200 miały 160 t wyporności, długość 32,2 m, szerokość 6,4 m oraz zanurzenie 1,1 m, natomiast X201-225 – wyporność 135 t, długość 29,6 m i szerokość 6,1 m. Na dziobach lichtug znajdowały się rampy. Silnik spalinowy zapewniał prędkość 8 w. Jednostki do przewozu około 500 żołnierzy, ale też zwierząt, dział, amunicji i innego zaopatrzenia otrzymały oznaczenie „K” wraz numerem, a te do transportu wody – „L”. W 1916 roku kilka z nich przystosowano do przewozu paliwa. Lichtugi zadebiutowały na polu bitwy 6 sierpnia 1915 roku podczas desantu brytyjskiego IX Korpusu Armijnego w zatoce Suvla. Uczestniczyły też

w ewakuacji wojsk z Gallipoli. Później używano ich w różnych miejscach Morza Śródziemnego oraz na Morzu Białym w trakcie interwencji Rosji. W 1920 roku Royal Navy sprzedała większość lichtug prywatnym nabywcom.

UDANY DEBIUT

W czasie, gdy wyprzedawano lichtugi, brytyjscy konstruktorzy pracowali już nad nową jednostką – Motor Landing Craft (MLC), która poza transportem żołnierzy i zaopatrzenia mogłaby przewozić również pojazdy pancerne. Prototyp MLC, zaprojektowany w stoczni J. Samuel White w Cowes, powstał w 1926 roku. Wyposażone w rampę MLC miały wyporność 20,3 t i zanurzenie 1,4 m. Silnik benzynowy zapewniał im prędkość 5–6 w. Do wybuchu II wojny światowej powstało zaledwie dziewięć takich jednostek.



W 1938 roku uruchomiono jednak nowy projekt – jednostki Landing Craft Mechanized Mark 1 o wyporności ponad 35 t, długości 14,8 m i szerokości 4,3 m. Zanurzenie po załadunku przekraczało metr. Uzbrojenie defensywne składało się z dwóch karabinów maszynowych. Dwa silniki benzynowe zapewniały jej prędkość 6 w. LCM(1) zabierała stu żołnierzy i była najpopularniejszą w Royal Navy jednostką tej klasy, która powstała w kraju. W latach 1938–1944 brytyjskie stocznie budowały ich około 500.

W końcu lat trzydziestych XX wieku pojawiła się potrzeba opracowania mniejszych jednostek desantowych przystosowanych do transportu plutonu żołnierzy. Tak powstała Assault Landing Craft (ALC), o wyporności 9,15 t, długości 12,6 m i szerokości 3 m; po załadunku miała zanurzenie 0,53–0,69 m. Poza czteroosobową załogą ALC zabierała 36 żołnierzy lub 363 kg ładunku, była też opancerzona i uzbrojona – początkowo w jeden karabin maszynowy Bren lub dwa km Lewis. Później na dziobie montowano dwa lekkie moździerze kal. 51 mm. Dwa silniki benzynowe pozwalały załadowanej jednostce poruszać się z prędkością 6 w. Pierwsze 18 sztuk ALC brytyjska admiralica zamówiła w kwietniu 1939 roku. W późniejszym czasie na bazie tego projektu budowano silniej uzbrojone jednostki Landing Craft Support, które udzielały wsparcia ogniowego desantom na brzeg żołnierzom. Szacuje się, że w sumie wyprodukowano około 2 tys. tych małych barek desantowych.

Wszystkie typy brytyjskich jednostek zadebiutowały na polu walki podczas kampanii w Norwegii w okolicach Narwiku, gdzie skierowano sześć MLC, cztery ALC i jedną LCM(1). Początkowo użyto ich do przewozu na brzeg francuskich dział polowych i czołgów. Pierwszą operację alianci przeprowadzili 13 maja 1940 roku

w Bjerkvik. Z dwóch MLC i LCM(1) desantowano na brzeg lekkie czołgi, a z ALC piechurów z 13 Półbrygady Legii Cudzoziemskiej. Później jednostki desantowe, w tym zachowane lichtugi, wykorzystano do ewakuacji wojsk brytyjskich z Dunkierki.

Brytyjczycy opracowali większą jednostkę do przewozu czołgów – Tank Landing Craft. TLC Mark 1 zwodowano w listopadzie 1940 roku. Miała wyporność 372 t i długość 42 m. Pierwszy raz użyto jej wiosną 1941 roku podczas ewakuacji wojsk brytyjskich z Grecji kontynentalnej, a później Krety. W tych działaniach utracono aż 17 z 30 zbudowanych TLC Mark 1. Jednak w tym samym roku Royal Navy otrzymała ponad 70 TLC Mark 2, czyli jednostek większych, o wyporności 535 t. Mogły one zabrać od trzech do pięciu czołgów lub dziewięć ciężarówek. Oczywiście barkami można było również transportować żołnierzy (około 150). Brytyjczycy opracowali jeszcze trzy większe typy – TLC Mark 3, 4 i 5.

W latach 1941–1942 brytyjskich barek używano na Morzu Północnym i Śródziemnym oraz na kanale La Manche, głównie w trakcie rajdów komandosów. Pierwszą dużą operacją desantową Brytyjczyków było lądowanie 5 maja 1942 roku na kontrolowanym przez Vichy Madagaskarze. Skala tej operacji była jednak o wiele mniejsza niż późniejszych desantów, dokonywanych od jesieni 1942 roku, które odbywały się już z bardzo dużym zaangażowaniem sił amerykańskich.

AMERYKAŃSKI POTENCJAŁ PRODUKCYJNY

Po japońskim ataku na bazę Pearl Harbor na Hawajach (7 grudnia 1941 roku) do wojny włączyły się Stany Zjednoczone. Ich potężny przemysł stoczniowy rozpoczął masową budowę różnego typu jednostek desantowych, ➔



zarówno na potrzeby własnych sił zbrojnych, jak i sojuszników. W latach 1941–1942 powstało 147 LCM(2), o wyporności 29 t i długości 14 m, zabierających 100 żołnierzy, przełomem była jednak LCM(3), o wyporności 52 t (załadowana) i długości 15 m. Jednostka mogła zabrać 60 żołnierzy lub średni czołg, lub 27 ton ładunku. W latach 1942–1945 zbudowano ich ponad 8500. Amerykańskim odpowiednikiem ALC była natomiast Landing Craft Personnel (Large) o wyporności ponad 10 t, która zabierała 36 żołnierzy. Wyprodukowano ich około 2200, a następnie uruchomiono budowę wersji z rampą – Landing Craft Personnel Ramped, których powstało około 2800. Te oba typy wyparł inny projekt, Landing Craft Vehicle Personnel (LCVP), znany też jako „łódz Higginsa”. Jednostka zabierała tyle samo żołnierzy co LCPL. Ona też miała rampę, co pozwalało transportować nią lekkie pojazdy. Do końca wojny powstało aż 20 tys. LCVP.

Aby ułatwić współdziałanie, Amerykanie i Brytyjczycy porozumieli się m.in. w sprawie ujednolicenia nazewnictwa jednostek desantowych. I tak w połowie 1942 roku ALC stała się Landing Craft Assault, czyli LCA.

Z kolei TLC zmieniła się w Landing Craft Tank, czyli LCT. Pierwszym typem LCT budowanym w USA był Mark 6. Całkowicie amerykańskim projektem była jednostka Landing Craft Infantry (LCI), która zależnie od typu mogła przetransportować na brzeg od 180 do 250 żołnierzy. Produkcja LCI rozpoczęła się w 1943 roku i przekroczyła 900 jednostek. W sumie Amerykanie i Brytyjczycy zbudowali podczas wojny kilkadziesiąt tysięcy barek różnych typów.

W Europie największą operacją desantową było lądowanie pod Dieppe w sierpniu 1942 roku. Wykorzystano tu m.in. 60 LCA, które przewoziły kanadyjskich piechurów i brytyjskich komandosów. Operacja zakończyła się drugoczącą porażką aliantów, którzy stracili 33 barki desantowe różnych typów, w tym 17 LCA.

8 listopada 1942 roku alianci wylądowali we Francuskiej Afryce Północnej. Do przetransportowania żołnierzy amerykańskich i brytyjskich na plaże Algierii i Maroka użyto setek jednostek desantowych. Samych LCA mogło być do 140.



LCI

Wyporność	– 246 t
Długość	– 46,6 m
Szerokość	– 7,08 m
Zanurzenie	– 1,60 m
Moc silników	– 1600 KM
Prędkość	– 15 w.
Zasięg	– 500 Mm z prędkością 15 w.
Załoga	– 24
Uzbrojenie	– 4 działka przeciwlotnicze kal. 20 mm
Ładowność	– 180–250 żołnierzy



LCM (3)

Wyporność	– 52 t
Długość	– 15,24 m
Szerokość	– 4,29 m
Zanurzenie	– 0,91 m
Moc silników	– 220–520 KM
Prędkość	– 8/11 w.
Zasięg	– 140 Mm z prędkością 11 w.
Załoga	– 4
Uzbrojenie	– 2 karabiny maszynowe kal. 12,7 mm
Ładowność	– 30 t (60 żołnierzy / 30-tonowy czołg)



LCVP

Wyporność	– 9 t
Długość	– 11,23 m
Szerokość	– 3,20 m
Zanurzenie	– 0,91 m
Moc silnika	– 225 KM
Prędkość	– 9 w.
Zasięg	– 115 Mm z prędkością 14 w.
Załoga	– 3
Uzbrojenie	– 2 karabiny maszynowe kal. 7,62 mm
Ładowność	– 4 t (36 żołnierzy / 2 lekkie pojazdy / lekki czołg)

W lipcu następnego roku blisko sto wykorzystano podczas lądowania na Sycylii.

W sierpniu 1942 roku alianci przeszli do kontrofensywy w Azji Południowo-Wschodniej. Amerykańska piechota morska wylądowała na wyspie Guadalcanal. W następnych latach dokonano desantów na kolejne kontrolowane przez Japończyków wyspy. Bez szerokiego wyboru barek alianci nie mieliby szans na przeprowadzenie udanych operacji amfibijnych. Na Pacyfiku największe desanty wysadzono na Filipinach w 1944 roku, a później w 1945 roku na Okinawie. W Europie największe było lądowanie w Normandii.

Mimo że pojawiły się śmigłowce i poduszki, następny etap z czasów II wojny światowej, obok amfibii szturmowych, stanowią ważny środek wsparcia desantów. Ich walorem jest możliwość dostarczenia z okrętów na brzeg dużych ładunków, na przykład amunicji i innego zaopatrzenia, a także pojazdów.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Udaremnić odwrót



Historia wojen uczy, że pobicie przeciwnika jest sztuką. Rozbicie zaś jego sił zbrojnych, czyli uniemożliwienie planowego, zorganizowanego działania, to już prawdziwa dowódcza maestria. Jedną z dróg prowadzących do osiągnięcia owego celu jest udaremnienie odwrotu pokonanym wrogiem oddziałom, by nie mogły one zająć kolejnych umocnionych rubieży, czy też po wzmocnieniu i reorganizacji odzyskać ponownie zdolności do prowadzenia działań zaczepnych. Podkreślić przy tym należy, że fiaska prób przecięcia przeciwnikowi dróg odwrotu doświadczały wybitni wodzowie, by wspomnieć choćby nader utalentowanego taktyka, generała Skonfederowanych Stanów Ameryki, Roberta E. Lee. Podczas bitwy stoczonej pod Glendale 30 czerwca 1862 roku zdołał on co prawda utrzymać pole, ale wojska federalne wycofały się i obsadziły silne pozycje na stokach Malvern Hill. Z kolei cała kampania włoska w latach 1943–1945 zamieniła się w jeden wielki odwrót Niemców, wycofujących się z jednej umocnionej linii na kolejną.

Zupełnie inaczej przebiegały działania na froncie zachodnim, gdy alianci rozpoczęli operację „Totalize”. W działaniach tych uczestniczyła polska 1 Dywizja Pancerna, wchodząca w skład II Korpusu Kanadyjskiego. Początkowo, 8–10 sierpnia 1944 roku, pancerniacy nie odnieśli istotnych sukcesów. Sytuacja operacyjna zmieniła się jednak na niekorzyść Niemców, gdy amerykańska 3 Armia częściowo okrążyła ich oddziały. Korytarz, przez który mogły się one wycofać w głąb Francji, zwęził się do pasa terenu o szerokości nieprzekraczającej 30 km. Zadanie zaryglowania tego przejścia powierzono Polakom. 1 Dywizja została podzielona na grupy bojowe. 19 sierpnia jedna z nich, współdziałając z oddziałami US Army, zajęła miasteczko Chambois, druga – kluczowe pod względem taktyczno-operacyjnym wzgórze Mont Ormel (nazwane wówczas Maczuga). W następstwie tych działań w kotle pod Falais zamknięto niemieckie 7 Armię oraz 5 Armię Pancerną. 20 sierpnia polskie oddziały zostały jednak okrążone przez Niemców znajdujących się wewnątrz kotła oraz formacje atakujące z zewnątrz z zamiarem przełamania pierścienia okrążenia. Silny kontratak na polskie pozycje przypuściły głównie pododdziały 2 Dywizji Pancernej SS. Umożliwił on odwrót części sił niemieckich, ale w matni pozostało nadal 60 tys. żołnierzy, z których do polskiej niewoli trafiło 5,5 tys. 1 Dywizja Pancerna została zluzowana 21 sierpnia przez kanadyjską 4 Dywizję Pancerną. Sukces okupiono dużymi stratami – zginęło 446 Polaków, a około 1,5 tys. odniosło rany.

Inaczej do problemu przecięcia przeciwnikowi dróg odwrotu podeszła w 1971 roku, podczas kampanii w Bengalu Wschodnim, Armia Indii. Wykorzystując fakt, że na trasie marszu wycofującej się ze strefy przygranicznej do stołecznej Dhaki pakistańskiej 93 Brygady w miejscowości Poongli znajduje się most na rzece Jamuna, postanowiono uchwycić tę przeprawę. Zadanie to powierzono 2 Batalionowi Spadochronowemu z 50 Samodzielnej Brygady Powietrznodesantowej. Desantowanie spadochroniarzy rozpoczęło się 11 grudnia o 4.30. Poprzedziło je wysadzenie pozorowanego desantu, który związał odwody przeciwnika, dzięki czemu rzeczywisty desant mógł wylądować na rozległej równinie za rzeką. Do godziny 7.00 indyjscy żołnierze opanowali przeprawę i nawiązali kontakt z nadciągającym z własną awangardą batalionem Maratha Light Infantry. Desant nie tylko udaremnił pakistańskiej 93 Brygadzie odwrót, lecz także dzięki zajęciu nieuszkodzonego mostu zasadniczo przyspieszył natarcie na Dhakę. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI



PIOTR RASZEWSKI

1963

METRY PAMIĘCI

**To jedyna w Polsce taka inicjatywa sportowa.
W ponad 240 miastach Polski jednego dnia
biegacze upamiętnili żołnierzy wyklętych.**



PIOTR RASZEWSKI, SANGEORGEAN/FOTOLIA.
PK/DZIAŁ GRAFICZNY

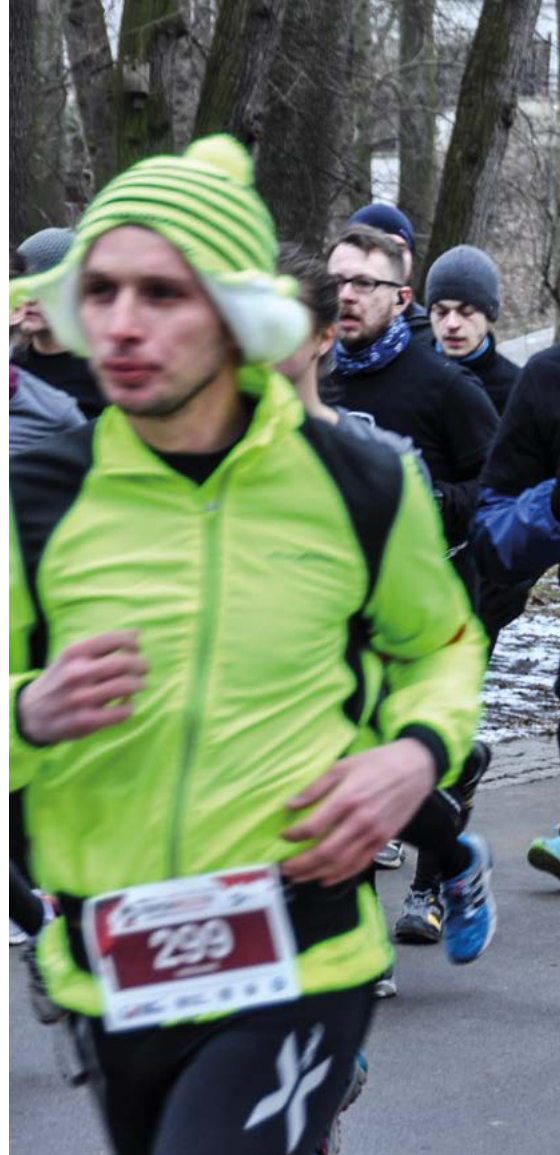


Józef Franczak „Lalek” silnie związany był z Lubelszczyzną. Tu się urodził, tu działał i tu w 1963 roku zginął z rąk funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. „Na Lubelszczyźnie bardzo długo walczyły oddziały niezłomnych, choć los tych żołnierzy w zasadzie po roku 1947 był przesądzony. Komuniści niepodzielnie przejęli bowiem władzę i było tylko kwestią czasu, kiedy poszczególne oddziały zostaną spacyfikowane, a żołnierze poniosą najwyższą karę”, wyjaśnił historyk dr Robert Derewenda z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. „Walczyli jednak do końca. »Lalek« chciał wyrwać się z potrzasku, gdy zorganizowano na niego obławę. Zginął z bronią w rękę”, podkreślił naukowiec.

MIŁOŚĆ DO OJCZYZNY NASZYM PRAWEM

Pomysł grupy zapaleńców, którzy chcieli uczcić pamięć żołnierzy wyklętych, podjął cały kraj. Cztery lata temu nad Zalewem Zegrzyńskim biegło zaledwie 50 pasjonatów. W tym roku Tropem Wilczym ruszyło około 60 tys. osób. W samym Lubelskiem zorganizowano 20 biegów, największy w stolicy województwa. Na dwóch dystansach (symboliczne 1963 m nawiązujące do daty śmierci „Lalka” oraz trzykrotność tego dystansu – 5889 m) rywalizowało ponad 600 osób. Chętnych do udziału było znacznie więcej niż miejsc. „W tej edycji dostaliśmy dwa razy więcej pakietów niż przed rokiem, a listy startowe wypełniły się momentalnie. Wielu chętnych musi poczekać do następnego roku”, przyznał Marcin Bielski, prezes Fundacji Rozwoju Sportu w Lublinie, po raz drugi współorganizującej lubelski bieg.

Trasę wyznaczono w Ogrodzie Saskim, podobnie jak przed rokiem. Wąskie alejki najstarszego parku miejskiego w Lublinie już kilkadziesiąt minut przed startem opanowali biegacze – przedstawiciele grup biegowych z całego regionu, wyczynowi sportowcy, przede wszystkim jednak lublinianie, którzy w sposób sportowy postanowili uczcić pamięć żołnierzy niezłomnych. „Kilka lat temu



PIOTR RASZEWSKI (3)





dowiedziałem się, że moim sąsiadem był człowiek, który wydał »Lalka«», wyjaśnił swoją motywację Henryk Kowalski, sześćdziesięciosześcioletni z Lublina. Symboliczny dystans 1963 m postanowił pokonać z jeszcze jednego powodu. „Mój szwagier był żołnierzem wyklętym. Przesiedział 13 lat we Wronkach. Miał trzykrotną karę śmierci, po 12 latach zamienioną na dożywocie. Ten bieg dedykuję zatem nie tylko »Lalkowi«, lecz także wszystkim żołnierzom niezłomnym”, podkreślił Kowalski.

Część uczestników zdecydowała się na start w gronie rodzinnym. Karolina Lato przyszła do biura zawodów z synkiem. „Jest dobrze ubrany, więc na pewno nie będzie mu zimno, a wartości patriotyczne trzeba wpajać dzieciom od najmłodszych lat”, przekonywała mama małego biegacza. Niespełna trzyletni chłopiec pokonał trasę w wózku – był jednym z najmłodszych uczestników biegu. „To nie kwestia wysiłku, lecz pamięci o tych wszystkich, którzy podporządkowali swoje życie temu, byśmy mogli teraz biec w barwach narodowych”, przyznał z kolei Michał Krzosek. Pobiegł w mundurze wojskowym. „Mam za sobą udział w kilku biegach wojskowych, więc dziś również postanowiłem wystartować w takim ubiorze”, dodał młody biegacz z Lublina, na co dzień cywil.

Większość startujących włożyła jednak koszulki z wizerunkiem żołnierzy wyklętych. Uwagę przykuwały też stroje w patriotycznych barwach. „Pamiętamy o wszystkich, którzy walczyli za naszą ojczyznę. W końcu na koszulkach mamy łacińską sentencję »amor patriae nostra lex«, czyli miłość do ojczyzny naszym prawem. Jesteśmy dumni z żołnierzy wyklętych, a odwdzięczamy się im właśnie tym biegiem”, wyjaśnił Lech Olejniczak z Husaria Race Team. Drużyna mistrzów Polski w bie-

gach z przeszkodami z dumą prezentowała ciemne trykocze z symboliką narodową.

NIE O WYNIK CHODZIŁO

Zawodowych sportowców było znacznie więcej na listach startowych. Żołnierzy antykomunistycznego podziemia symbolicznym biegiem postanowił uczcić m.in. Veljko Nikitović. Do niedawna podpora grającego w piłkarskiej ekstraklasie Górnika Łęczna, a dziś asystent trenera Franciszka Smudy pokonał dłuższy dystans. Biegł ramię w ramię z Jakubem Drzewieckim, rzecznikiem prasowym drużyny. „Przed startem dużo czytałem o żołnierzach wyklętych. Wiem, że są to ludzie, którzy stawiali mocny opór komunistycznej władzy. W Serbii, skąd pochodzę, pod koniec II wojny światowej też tworzyły się takie grupy, tym bardziej chciałem wziąć udział w tym wydarzeniu”, przyznał Veljko Nikitović, który w piłkarskiej ekstraklasie rozegrał 107 spotkań. Z kolei rzecznik Górnika Łęczna dodał, że klub sportowy z Lubelszczyzny jest odpowiedzialny nie tylko za wychowanie fizyczne, lecz także za edukację młodego pokolenia. „Chcemy pielęgnować pamięć o żołnierzach podziemia antykomunistycznego, bo historia i tradycja są dla nas niezwykle ważne”, wyjaśnił Drzewiecki.

W końcowej klasyfikacji lubelskiego biegu dominoowali zawodowi lekkoatleci. Symboliczne 1963 m najszybciej pokonał Michał Kitliński z Akademickiego Związku Sportowego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, brązowy medalista niedawnych mistrzostw Polski juniorów na dystansie 800 m. Na mecie wyprzedził dwóch klubowych kolegów. „Rzeczywiście, jeżeli chodzi o klub, wyszło bardzo dobrze. Dla mnie



DYSTANS NAWIAZUJĄCY DO **ROKU ŚMIERCI „LALKA”** (NA ZDJĘCIU W ŚRODKU) – CZYLI 1963 METRY POKONYWALI BIEGACZE W CAŁEJ POLSCE, ALE JEGO SYMBOLIKA BYŁA WYJĄTKOWA W LUBELSKIM, GDZIE DZIAŁAŁ OSTATNI Z WYKLĘTYCH

najważniejsze jest jednak to, że udało mi się namówić do startu w tak ważnym biegu dwóch kolegów z klasy, którzy nie biegają zawodowo”, podkreślił licealista z Lublina. Na dystansie trzykrotnie dłuższym zwyciężył natomiast znany lubelski biegacz Dariusz Listopad. „To dla mnie wyjątkowy bieg i symboliczne zwycięstwo. Nie ukrywam, że lubię się ścigać, ale aspekt historyczny był dla mnie dziś najważniejszy, więc nie o wynik chodziło”, powiedział po przekroczeniu linii mety zmęczony, ale szczęśliwy zwycięzca.

JAK UCZCIĆ ICH PAMIĘĆ

Dobre wyniki to efekt wsparcia kibiców. Już godzinę przed startem kręte alejki parku wypełniły się widzami. Wielu przyszło dopingować swoich bliskich, ale sporo osób pojawiło się także z innego powodu. „Jesteśmy tu wyłącznie z patriotycznej potrzeby. Mam w domu wiele książek o żołnierzach wyklętych. To byli niesamowici ludzie, którzy poświęcili swoje zdrowie i życie dla ojczyzny. Najpierw cierpieli oni, a później ich rodziny”, wyjaśnił powód przyjazdu do Lublina Piotr Błaszczak z Majdanu Brzezickiego. To w tej miejscowości urodził się Antoni Kopaczewski „Lew”, podkomendny mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”.

Kilkuosobowa delegacja z miejscowości leżącej nieopodal Piasków z biało-czerwonymi flagami i w patriotycznych strojach przez całe zawody głośno dopingowała wszystkich biegaczy. „Do tej pory nie wiem, jakie były losy mojego ojca w tamtych czasach”, przyznał Andrzej Kędziora, który także pojawił się w Ogrodzie Saskim, by wspierać biegaczy. „Pewnego dnia został zabrany przez ubecę z domu przy ulicy Głowackiego, kilka przecznic stąd, i nie było go przez trzy lata. Mama

odnalazła go w więzieniu w Szczecinie”, dodał kibic z Lublina.

Spotkanie w Ogrodzie Saskim to była nie tylko rywalizacja sportowa, wiele bowiem działo się również w pobliżu biura zawodów. Tu swoje stanowisko przygotowała Rostoczańska Konna Straż Ochrony Przyrody, a między biegaczami i kibicami przechadzali się przedstawiciele stowarzyszenia w ułańskich mundurach. „Łączymy trzy pasje: jazdę konną, ochronę przyrody i tradycje 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich. Krzewimy również wartości patriotyczne wśród studentów, dlatego nie mogło nas tu zabraknąć”, wyjaśnił Paweł Kołodziejczyk, zastępca komendanta Straży. Jej przedstawiciele nie tylko wspierali biegaczy, lecz sami także wystawili drużynę, która pokonała oba dystanse.

Biegaczy wsparli też żołnierze zawodowi. Batalion Dowodzenia Wielonarodowej Brygady przygotował niespodziankę dla wszystkich wbiegających na metę. Rozdawane zwykle po zawodach napoje izotoniczne zastąpiła wojskowa grochówka. „Przygotowaliśmy 300 l zupy z warzywami, boczkiem, kielbasą, czosnkiem, majerankiem i innymi tajnymi składnikami”, zachwalał potrawę st. szer. Mariusz Krasnopolski. Taki posiłek regeneracyjny docenili biegacze, którzy szybko ustawili się w krętej kolejce i po zawodach, przy talerzu gorącej grochówki, dyskutowali o przebiegu rywalizacji i losach żołnierzy wyklętych.

„Ci żołnierze walczyli, więc w jaki sposób najlepiej uczcić ich pamięć? Zapalenie znicza i położenie kwiatów to za mało. Natomiast coś, co nas angażuje fizycznie, jest świetnym pomysłem. Dziś nie znam nic lepszego niż bieg upamiętniający tych żołnierzy”, przyznał historyk Robert Derewenda. ■

XIII Międzynarodowa Konferencja i Wystawa

Nowoczesne technologie



dla bezpieczeństwa kraju i jego granic

FOOTSTEP
PULL OUT

11.05.2017

www.nowoczesnetechnologie.ztw.pl

Chcemy w interesujący sposób pokazywać żołnierzom i gościom jednostki tradycje naszego pułku oraz przybliżać postać jego patrona”, mówi mł. chor. Paweł Wilk, miłośnik historii i kustosz sali tradycji w 9 Warmińskim Pułku Rozpoznawczym.

Jednostka z Lidzbarka Warmińskiego od dwóch lat nosi imię legendarnego dowódcy partyzanckiego płk. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” oraz kultywuje tradycje dowodzonej przez niego 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej i 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich, w którym oficer służył we wrześniu 1939 roku.

TRADYCJE WYKŁĘTYCH

Jak podkreślają zwiadowcy, płk Szendzielarz jest symbolem niezłomnej walki o niepodległą Polskę oraz jednym z najbardziej znanych partyzantów walczących po wojnie z komunistycznymi władzami. „Jesteśmy pierwszą i na razie jedyną polską jednostką, której patronem został żołnierz wykłuty”, zaznacza płk Tomasz Łysek, dowódca pułku.

Zwieńczeniem starań o kultywowanie pamięci o patronie i związanych z nim jednostkach było otwarcie na początku lutego, w 66. rocznicę zamordowania „Łupaszki”, nowej sali tradycji. Wstęgę przecięli: prof. dr hab. Wojciech Fałkowski, wiceminister obrony, Bogdan Ścibut, dyrektor generalny MON-u, oraz dowódca pułku.

„Takie miejsca mają kształtować postawy, być świadectwem wartości i przekazywać żołnierzom wzory zachowań”, mówił podczas otwarcia sali prof. Fałkowski.

Uroczystość poprzedził zorganizowany w Lidzbarskim Domu Kultury cykl prelekcji historycznych dla mieszkańców miasta na temat przejmowanych przez jednostkę tradycji.

Dotychczas pułkowa sala tradycji to było jedno pomieszczenie z niewieloma pamiątkami po poprzednich jednostkach, które stacjonowały w Lidzbarku. Po trwającym blisko rok remoncie, obejmującym prace budowlane, wykończeniowe oraz montowanie gablot i aranżację wystawy, dziś zajmuje całe piętro w budynku sekcji wychowawczej.

MUNDUR JAK RELIKWIA

„Główne pomieszczenie poświęciliśmy naszemu patronowi płk. Szendzielarzowi”, opowiada chor. Wilk. Na ścianach rozpisano historię jednostek, w których służył, oraz umieszczono związane z nimi zdjęcia, a w gablotach kustoszowi udało się zgromadzić sporo cennych eksponatów.

Część z nich jest poświęcona 4 Pułkowi Ułanów, utworzonemu 1 listopada 1918 roku. Jego żołnierze walczyli w wojnie polsko-bolszewickiej, uczestniczyli w zajęciu Wilna i wyprawie kijowskiej w maju 1920 roku. Wśród pamiątek po pułku są m.in. oryginalna trąbka sygnałowa, kielich dowódcy służący do wznoszenia pierwszego uroczystego toastu podczas bankietów, ziemia z koszar w Wilnie, oryginalne siodło ułańskie oraz strzemień kawaleryjskie wachmistrza pułku Stanisława Łowskiego, подарowane przez jego syna. Nie zabrakło też repliki mundurów ułanów 4 Pułku oraz

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)



ANNA DĄBROWSKA

PIERŚCIEN OD ŁUPASZKI

Nowoczesna sala tradycji
przypomina o historii pułku
zwiadowców.



Jednym z cenniejszych eksponatów jest pierścionek kpt. Józefa Rusaka „Byliny”, żołnierza 5 Wileńskiej Brygady AK



JA ZBROJNA

kopii karabinu przeciwpancernego UR 35 z lat trzydziestych ubiegłego wieku.

„Wiele przedmiotów przekazali nam członkowie Koła Weteranów Pułku 4. Ułanów Zaniemeńskich, Ich Rodzin i Przyjaciół, a także Fundacja Oddziału Kawalerii Ochotniczej im. Pułku 4. Ułanów Zaniemeńskich”, opowiada chor. Wilk.

Podoficer prowadzi na drugą stronę sali, gdzie umieszczono pamiątki po patronie jednostki i 5 WBAK. „Mamy kopie dokumentów z Centralnego Archiwum Wojskowego dotyczących płk. Szendzielarza, m.in. jego aktu urodzenia, spisane przez oficera życiorysu, świadectw szkolnych oraz zdjęcia, w tym ślubne z 28 stycznia 1939 roku, z Anną Swolkień”, wylicza podoficer.

Jednym z cenniejszych eksponatów jest pierścień kpt. Józefa Rusaka „Byliny”, żołnierza 5 Wileńskiej Brygady AK. „Dostał go od swojego dowódcy za zasługi bojowe w 1943 roku”, opowiada chor. Wilk. Kombatant podarował sali także spisane przez siebie wspomnienia z lat wojny.

„Dzięki pomocy rekonstruktorów udało się nam też stworzyć replikę munduru »Łupaszk« z okresu partyzantki w Armii Krajowej”, dodaje kustosz. Z kolei st. szer. Mariusz Gębski, prywatnie członek Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia Historyczno-Kolekcjonerskiego oraz dowódca 4 Pułku Jegierskiego, odtwarzającego żołnierzy okresu napoleońskiego, wypożyczył zgromadzone przez siebie oryginalne elementy munduru żołnierza podziemia niepodległościowego z lat 1947–1951.

Oryginalnym eksponatem jest także kurtka od munduru por. Ryszarda Sosnowskiego „Wydry”, żołnierza „Łupaszk”, a później oddziału Romualda Rajsa „Burego”. Ten mundur miał na sobie por. Sosnowski w chwili śmierci, i zdjął go na chwilę przed wykonaniem wyroku. „Pamiątkę dostaliśmy od por. Lucjana Deniziaka »Orla«, żołnierza 3 Wileńskiej Brygady AK, który przechowywał ją i traktował niemal jak relikwię”, opowiada kustosz.

W osobnej sali jest gromadzona kolekcja dokumentów, fotografii i innych pamiątek, które przekazują jednostce miejscowi kombatanci. Jeden zbiór dotyczy por. Witolda Tracewicza „Stażyńskiego”, żołnierza 36 Brygady AK, uczestnika walk o Wilno w 1944 roku. W drugiej gablocie obejrzymy pamiątki po Stefanie Łakotce „Szydełko”, żołnierzu dywersyjnej organizacji AK Wachlarz na terenie Okręgu Wileńskiego oraz 24 Brygady AK.

NAPOLEOŃSKI DRAGON

„Pamiętamy też o naszych poprzednikach i w osobnej sali pokazujemy historię jednostki”, mówi chor. Wilk. Jak opowiada, w 1966 roku w Białej Podlaskiej powstał 9 Pułk Rozpoznania Radiowego, dziesięć lat później zo-



stał przeniesiony do Skierniewic. Od 1995 stacjonuje w Lidzbarku jako 9 Warmiński Pułk Radioelektroniczny. Na jego bazie w 2003 roku sformowano 9 Pułk Rozpoznawczy. Po poprzednich jednostkach miłośnicy historii z 9 Pułku gromadzą mundury podarowane przez byłych żołnierzy oraz dawny sprzęt, zwykle ratowany przed trafieniem na złom.

Nowszych dziejów dotyczy część ekspozycji poświęcona udziałowi zwiadowców w misjach poza granicami kraju. „Nasi żołnierze uczestniczyli w ostatnich latach w prawie wszystkich kontyngentach, m.in. w Afganistanie, Iraku, Kosowie, Bośni, Czadzie czy Republice Środkowoafrykańskiej”, wylicza płk Łysek. Dziś można oglądać przywiezione przez nich przedmioty: mundury, lokalne stroje, proporzyczki, odznaki.

Kustosz sali, jako miłośnik historii, gromadzi też pamiątki po jednostkach, które w przeszłości stacjonowały w koszarach w Lidzbarku. Wśród wykopanych na tym terenie przedmiotów związanych z armią pruską, niemiecką lub rosyjską są m.in. bagnety, części uzbrojenia, plecaki, hełmy, klamry do pasów, menażki, butelki, zastawa



CZĘŚĆ EKSPOZYCJI ZOSTAŁA POŚWIĘCONA UDZIAŁOWI ZWIADOWCÓW W MISJACH POZA GRANICAMI KRAJU



stołowa, monety. Można też obejrzeć odnalezione w poniemieckich budynkach wojskowych stare gazety, w tym egzemplarz dziennika „Warmia” z 1903 roku, pudełka po papierosach, a ściany ozdabiają archiwalne zdjęcia koszar i Lidzbarka.

Część wystawy poświęcono czasom napoleońskim i bitwie pod Lidzbarkiem, zwanym wówczas Heilsbergiem, z 10 czerwca 1807 roku. Było to jedno z największych starć epoki napoleońskiej na obecnych ziemiach Polski. Walka 55 tys. żołnierzy francuskich z 90 tys. sprzymierzonych wojsk rosyjskich i pruskich pozostała nierozstrzygnięta, uwieczniono ją jednak na paryskim Łuku Triumfalnym.

Pięć lat temu podczas prac wykopaliskowych na terenie gminy archeolodzy odnaleźli szczątki nieznanego żołnierza francuskiego z 14 Pułku Dragonów, pozostałości munduru, butów i kasku, okucia z pasa oraz guziki. Część z tych przedmiotów trafiła do gablot w sali tra-

dycji. Można tu obejrzeć też kopię munduru francuskiego dragona oraz rosyjskiego artylerzysty pieszego z tego okresu. W sali nie zabrakło multimediiów, w tym monitora, na którym są wyświetlane materiały dotyczące jednostki, jej patrona i tradycji. Piętro niżej zaś, w sali kinowo-wykładowej można obejrzeć filmy dokumentalne i fabularne na ten temat. Ścianę sali ozdabia baner poświęcony płk. Szendzielarzowi, który jednostka dostała od redakcji „Polski Zbrojnej”.

Jak zapewnia chor. Wilk, salę tradycji może zwiedzać każdy, trzeba tylko wcześniej uzyskać telefonicznie zgodę dowódcy. Jednocześnie kustosz apeluje o kontakt do osób, które mogłyby przekazać pułkowi (choćby w depozyt) pamiątki związane z historią 4 Pułku Ułanów, 5 Wileńskiej Brygady czy z płk. Szendzielarzem. „U nas na pewno będą bezpieczne, wzbogacą przekaz naszej wystawy i będą dostępne dla szerszej publiczności”, mówi kustosz. ■



Pamiętki po Niezłomnych

**Muzeum Żołnierzy
Wyklętych
w Ostrołęce apeluje
o eksponaty.**

Na terenie kompleksu byłego aresztu śledczego Urzędu Bezpieczeństwa powstaje muzeum prezentujące dzieje podziemia antykomunistycznego w Polsce. Umowę o współprowadzeniu placówki podpisali w 2016 roku minister kultury Piotr Gliński i Janusz Kotowski, prezydent Ostrołęki. Resort kultury do 2018 roku ma przekazać na tworzenie muzeum 35 mln zł, ostrołęcki samorząd zadeklarował 6 mln zł. Rozpoczęcie głównych prac związanych z adaptacją zabudowań dawnego aresztu jest planowane na ten rok, tak aby muzeum zostało otwarte w 2018 roku.

Kierownicy placówki proszą teraz o przekazywanie pamiętek związanych z historią antykomunistycznego podziemia niepodległościowego. Jak informuje Jacek Karczewski, dyrektor muzeum, ostatnio do jego zbiorów trafiły od prywatnego darczyńcy: drewniany stół z wypaloną na blacie datą „1941” i pieczęcią przedstawiającą gołdo III Rzeszy oraz pałka złożona z wiązki prętów obleczonej skórą. Oba eksponaty znaleziono w Przasnyszu na strychu kamienicy, w której w latach pięćdziesiątych XX wieku mieścił się Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, a podczas II wojny siedziba Gestapo. AD ■

Eksploracja bunkrów

Trzy poniemieckie schrony przeciwlotnicze odkryto w Giżycku. Wybudowano je tuż przed II wojną światową. Największy ma niemal 350 m². Były przeznaczone dla miejscowej ludności, która skorzystała z nich w końcu 1944 roku, chroniąc się przed nalotami sowieckiego lotnictwa. Wejścia do bunkrów zostały zasypane pół wieku temu. Teraz natrafiono na nie, kiedy zapadły się płyty zasłaniające otwory wentylacyjne i wyjście ewakuacyjne pierwszego ze schronów.

Władze Giżycka chcą zagospodarować budowle i udostępnić je zwiedzającym. Najpierw konserwator zabytków oraz inżynierowie ocenią stan podziemnych bunkrów. Będzie tam organizowana ekspozycja nawiązująca do wydarzeń z II wojny światowej. „Chcemy też postawić na efekty multimedialne, imitujące na przykład alarm czy nalot, tak by oddać klimat czasów wojny”, mówi Wojciech Iwaszkiewicz, burmistrz Giżycka. PR ■

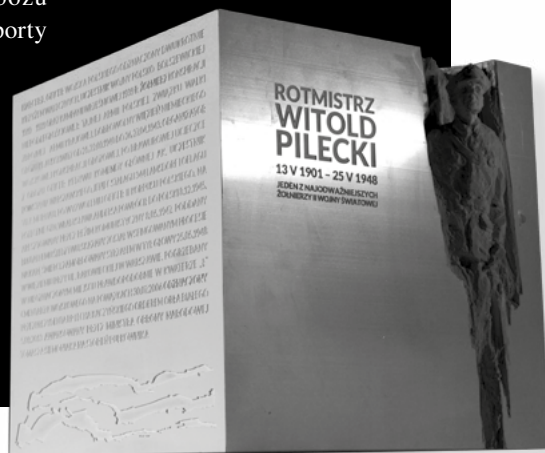
Upamiętnienie bohatera

W Warszawie powstał pomnik płk. Witolda Pileckiego.

Monument przedstawia pękniętą msześcienną bryłę z granitu i betonu. Ze szczeliny wylania się postać płk. Pileckiego w mundurze i rogatywce. Na bokach kamiennej bryły opisano życie i śmierć oficera. Pomnik autorstwa Jacka Kicińskiego i Rafała Stachowicza stanął na warszawskim Żoliborzu w pobliżu dawnego domu Pileckiego.

Płk Witold Pilecki brał udział w wojnie 1920 roku i w kampanii wrześniowej. Był oficerem Ko-

mendy Głównej Armii Krajowej i dobrowolnym więźniem obozu w Auschwitz, skąd wysyłał raporty o popełnianych tam zbrodniach. Po ucieczce z obozu wziął udział w powstaniu warszawskim. W 1947 roku został aresztowany, oskarżony o działalność szpiegowską i skazany na karę śmierci. Zamordowano go w 1948 roku w więzieniu na ul. Rakowieckiej. AD ■





WYSTAWA
NARODOWA KOREI
POŁUDNIOWEJ

25 YEARS
LAT
MSPO

HONOROWY PATRONAT
PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

XXV MIĘDZYNARODOWY SALON PRZEMYSŁU OBRONNEGO

5-8.09.2017, KIELCE



Partner strategiczny:
PGZ
POLSKA GRUPA ZBRZENIOWA

WWW.MSPO.PL


Targi Kielce
exhibition & congress centre

TARGI DAJĄ WIĘCEJ

Sprawdź na:

■ www.targidajawiecej.pl

■ facebook.com/targidajawiecej

NIE TYLKO POMAGAMY

Z Magdaleną Pawlak

**o bohaterach czasu pokoju, nartach z parą prezydencką
i wsparciu dzieci funkcjonariuszy poległych lub poszkodowanych
na służbie rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Podczas gali, która odbyła się w połowie marca w Pałacu Prezydenckim, Fundacja Dorastaj z Nami zainaugurowała nowy program. Jaki?

Rozpoczęliśmy Ogólnopolski Program Pomocy Systemowej – Koalicja: Razem dla Bohaterów. Potrwa on trzy lata i obejmie dzieci żołnierzy, strażaków, policjantów, ratowników górskich, czyli funkcjonariuszy służb publicznych, którzy zginęli lub zostali poszkodowani na służbie. Na uroczystości nasi podopieczni, będący beneficjentami nowego programu, otrzymali symboliczne czek – stypendia. W tej grupie znalazło się m.in. 23 dzieci żołnierzy.

Skąd w nazwie programu słowo „koalicja”?

Poszukujemy partnerów, którzy wraz z nami będą wspierać naszych podopiecznych. Pierwszych koalicjantów już mamy – to prezydent RP Andrzej Duda z małżonką, którzy spędzili dwa dni z naszymi dziećmi na nartach w Wiśle. Obiecali, że nie zapomną o prośbie poległych i poszkodowanych na służbie bohaterów: „Gdyby

coś się stało, pamiętaj o moich dzieciach”. Prezydent objął nasz program honorowym patronatem.

Kto może zostać koalicjantem?

Każda firma i osoba, która wspiera działalność Fundacji. Obecnie jest kilkanaście firm oraz około 600 osób, które co miesiąc przekazują na nasze konto zadeklarowaną kwotę. Oni tworzą koalicję, z którą chcemy razem budować program. Ludzie chętnie przyłączają się do takich społecznych akcji, ale trzeba do nich wyjść i opowiedzieć o tym. Robimy to w różny sposób, m.in. wydaliśmy album „Dorosnąć do śmierci”, poświęcony rodzinom funkcjonariuszy, którzy zginęli lub zostali ranni na służbie. Pukamy do domów i opowiadamy, czym zajmuje się Fundacja. Zachęcamy do wpłat, wydajemy magazyny, w których opisujemy, na co przeznaczamy pieniądze, pokazujemy pracę służb. Na naszej stronie internetowej pojawi się zakładka „Bohaterowie”, w której będziemy prezentować sylwetki tych wyjątkowych ludzi. Na fundacyjnym profilu na Facebooku jest dużo wpisów popierających naszą działalność.

Na czym koncentruje się pomoc Fundacji?

Głównym zadaniem jest udzielanie wsparcia finansowego, które jest uzależnione od wieku benefi-



cjentów – najwyższe wynosi 7000 zł rocznie i może je otrzymać student. W 2014 roku zrealizowaliśmy projekt „Misja Semper Fi”, którego ambasadorem był Marcin Gortat. Była to akcja stypendialna dla dzieci polskich żołnierzy, którzy zginęli na misjach w Afganistanie i Iraku. W jej ramach polska drużyna wzięła udział w Maratonie Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Ulicami Waszyngtonu pobiegł m.in. Roman Polko. Dwa lata później, w 2016 roku, podobną akcją zorganizowaliśmy dla dzieci strażaków. W ten sposób oddajemy hołd poległym na służbie. Najlepsze co możemy dla nich zrobić, to wesprzeć edukację ich dzieci. Dziecko, które trafia pod nasze skrzydła, może liczyć na pomoc, dopóki się uczy, nawet do 25. roku życia. Pomagamy im zdobyć wykształcenie, finansując szkoły, studia, korepetycje i zajęcia pozalekcyjne. Zapewniamy indywidualną terapię psychologiczną. Pomagamy młodym ludziom wejść na rynek pracy. Nasi podopieczni – w sumie 192 osoby – pochodzą z całej Polski, najczęściej mieszkają w małych miejscowościach. W latach 2010–2016 na pomoc dla nich przeznacziliśmy blisko 2,5 mln zł.

Jakie zmiany wprowadza program „Koalicja: Razem dla Bohaterów”?

Nadal będziemy wspierać edukację dzieci, których rodzice zginęli lub stracili zdrowie podczas pełnienia służby. Dotychczas mieliśmy cztery odrębne programy: współfinansowanie edukacji, pomoc psychologiczna, tutoring oraz praktyki i staże. Każdy z podopiecznych sam wybierał, z jakiej formy pomocy chce skorzystać. Na spotkaniach z rodzinami pytaliśmy, co należałoby zmienić w działalności Fundacji. Na podstawie tych rozmów przebudowaliśmy nasz dotychczasowy program. Wszystkie formy pomocy zostały połączone. Wprowadziliśmy doradcę edukacyjnego, który na co dzień ma kontakt z rodziną dziecka. Powstała już sieć takich doradców w całym kraju, obecnie jest ich około 20. Ich zadaniem jest ukierunkowanie potrzeb młodego człowieka. Program „Koalicja: Razem dla Bohaterów” zwiększa także zakres pomocy psychologicznej – dotychczas finansowaliśmy półroczną terapię, teraz – roczną. Postanowiliśmy również wesprzeć rodziców – zamierzamy organizować warsztaty i nadal wydawać poradniki we współpracy z Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa. Planujemy wspólne wyjazdy: rodzic, podopieczny, doradca. Wsparcie Fundacji ma nie tylko wymiar finansowy. Z jednej strony pomagamy, z drugiej budujemy szacunek dla służb publicznych.

W jaki sposób to robicie?

Dwa lata temu prowadziliśmy kampanię społeczną „Bohaterowie proszą Cię o pomoc”, która zwracała uwa-

gę na rolę służb publicznych w Polsce i odpowiedzialność społeczeństwa za losy rodzin tych, którzy w codziennej służbie narażają za nas życie. Był to również początek dyskusji społecznej o tym, czym dzisiaj są patriotyzm i współcześni bohaterowie.

Większość Polaków rozumie słowo „patriotyzm” w tradycyjny sposób – jako walkę o ojczyznę.

To prawda. Zwykle za bohaterów i patriotów uważamy osoby, które w przeszłości walczyły za wolność ojczyzny. Tymczasem współcześnie nie trzeba podejmować takich działań. Propagujemy ideę, że obecnie patriotami są również ci, dzięki którym żyje nam się bezpieczniej: strażacy, policjanci, żołnierze i ratownicy. To są bohaterowie czasu pokoju. Ludzie, którzy oddają swoje życie w imię naszego bezpieczeństwa, zasługują na nasz szacunek. Ponosimy odpowiedzialność za osierocone przez nich dzieci. Dlatego staramy się dać tym osobom pocucie, że gdyby coś się stało, ich rodziny nie zostaną pozostawione same sobie. Celem naszej Fundacji jest także budowanie etosu służby publicznej i uczenie społeczeństwa szacunku dla osób, które narażają życie dla ratowania innych. Chcemy pokazać żołnierzom, strażakom, policjantom i ratownikom górskim, że są dla nas ważni.

Żony żołnierzy, którzy nie wrócili z misji zagranicznych, często nie wiedzą, jak wytłumaczyć dziecku śmierć ojca.

Rodziny poległych na służbie potrzebują wsparcia społeczeństwa, które uzna, że poświęcenie życia przez ich bliskich nie poszło na marne. W świadomości dzieci poświęcenie ojca musi być usprawiedliwione. One muszą wierzyć, że ta śmierć nie była bezcelowa, że ich tata oddał życie za nasz kraj. Rodziny funkcjonariuszy, którzy zginęli, opowiadają, że dzieci często zadają pytania: „czy tata mnie kochał? Przecież pojechał na wojnę, choć wiedział, że może zginąć. Dlaczego w jego życiu było coś ważniejszego ode mnie? Dlaczego zostawił mnie z mamą?”. Na te pytania nie ma prostych odpowiedzi. Naszą odpowiedzią jest organizowanie różnych akcji i kampanii, np. „Bohaterowie proszą Cię o pomoc”. Narty z parą prezydencką były dla naszych podopiecznych dużym przeżyciem. Opowiadali nam potem, że skoro pan prezydent się z nimi spotyka, to znaczy, że są ważni i ważni byli ich ojcowie. Żołnierzom czy policjantom trudno mówić o sobie, że są bohaterami. Nasza Fundacja nie wywodzi się ze służb, my możemy to głośno mówić i podkreślać. I mówimy: ci ludzie są bohaterami. ■

MAGDALENA PAWLAK jest prezesem zarządu Fundacji Dorastaj z Nami.



MICHAŁ NIEWIČ

To nie jest kredyt ani pożyczka. To spłata długu, który państwo polskie i społeczeństwo zaciągnęło u waszych rodziców”, mówił prezydent Andrzej Duda. Para prezydencka przekazała dzieciom, których rodzice zginęli lub zostali ranni na służbie, stypendia Fundacji Dorastaj z Nami. Jak podkreślał Andrzej Duda, w ten sposób pokazujemy, że służba tych funkcjonariuszy jest ważna dla polskiego państwa.

RAZEM DLA BOHATERÓW

„Patryku, pamiętając o bohaterstwie i służbie Twojego Taty dla naszej ojczyzny, jako wyraz naszej troski o Twoją przyszłość przekazujemy stypendium”, symboliczny dyplom z takim napisem odebrał Patryk, którego ojciec kpr. Andrzej Zielke zginął w 2004 roku w Iraku. Chłopak kończy trzecią klasę gimnazjum. Od 2011 roku jest podopiecznym Fundacji Dorastaj z Nami i dostaje stypendium, które przeznacza na edukację: kupuje książki, pomoce naukowe, sprzęt komputerowy, opłaca internet i korepetycje. Ma także przyznane środki na terapię psychologiczną. „Jestem wdzięczna za pomoc, bo to dla nas duże wsparcie finansowe. Mam także poczucie, że nie jestem sama”, mówi Marzena Zielke.

Dyplomy odebrało 48 podopiecznych Fundacji Dorastaj z Nami, w tym 23 dzieci, których ojcowie polegli na służbie lub zostali ranni. Beneficjentów Ogólnopolskiego Programu Pomocy Systemowej 2017 – „Koalicja: Razem dla Bohaterów” objął patronatem prezydent RP. „To piękna akcja, przynosi dobro, jest elementem budowy wspólnoty i państwa”, ocenił Andrzej Duda. „Jesteśmy razem, jesteśmy solidarni z tymi, którzy potrzebują wsparcia”, podkre-

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

SPŁATA DŁUGU

Niech to będzie nasze wspólne „dziękuję” nie tylko dla poszkodowanych lub poległych bohaterów, lecz także dla ich rodzin, a przede wszystkim dzieci.

ślił. Wśród osób odbierających stypendia był m.in. Łukasz, którego ojciec, mjr Tomasz Chudzik, zginął 21 lat temu w katastrofie samolotu. Syn miał wtedy zaledwie pięć miesięcy i chociaż nie pamięta taty, tak jak on został pilotem. Jak mówi, przed każdym lotem ma poczucie, że ojciec mu towarzyszy i pomaga.

Najmłodszym podopiecznym Fundacji jest 3,5-letni Mikołaj. „Stypendium pokrywa 80% kosztów, które ponosimy na przedszkole”, mówi jego ojciec Mariusz Saczek, żołnierz ciężko ranny w 2010 roku w Afganistanie. Przeżył wybuch miny pułapki, ale porusza się na wózku inwalidzkim, bo ma uszkodzony kręgosłup.

PRZYJACIEL FUNDACJI

W podziękowaniu za okazaną pomoc para prezydencka dostała specjalne wyróżnienie – statuetkę Przyjaciela Fundacji. Jej projekt przygotował były podopieczny Fundacji Łukasz Krupski, absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (jego ojciec zginął w katastrofie smoleńskiej). Rzeźba przedstawia postacie dorosłego człowieka i dziecka i symbolizuje wdzięczność.

W program „Koalicja: Razem dla Bohaterów” włączyli się także przedsiębiorcy. „Zachęcamy różne grupy społeczne i biznesowe, aby działały razem, pokazując, że jesteśmy wdzięczni za bohaterstwo i ofiarę życia lub zdrowia tym, którzy służą nam na co dzień. Niech to będzie nasze wspólne »dziękuję« nie tylko dla poszkodowanych lub poległych bohaterów, ale również dla ich rodzin, a przede wszystkim dzieci”, apelowała Magdalena Pawlak, prezes zarządu Fundacji Dorastaj z Nami. ■

DARCZYŃCA O WIELKIM SERCU



MACIEJ BIEDRZYCKI / KPRP

Prezydent Andrzej Duda po uroczystości wręczenia młodym ludziom stypendiów Fundacji Dorastaj z Nami podpisał album „Newport – Warsaw”, wydany przez Wojskowy Instytut Wydawniczy. Książka z dedykacją została przekazana na aukcję charytatywną, która jest częścią akcji „Ślimak dla Antosi”. Rodzice 2,5-letniej Antoniny Twardowskiej starają się zebrać fundusze potrzebne na przyspieszenie operacji

wszczepienia dziecku drugiego implantu ślimakowego. Dziewczynka ma głęboki niedosłuch. W dedykacji Andrzej Duda napisał: „Z serdecznymi pozdrowieniami i podziękowaniami dla Darczyńcy o wielkim sercu”. Wszystkie wpływy z licytacji zasilą subkonto Antosi w Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. Więcej na ten temat na portalu polska-zbrojna.pl oraz facebook.com/slimakdlaantosi ■



ślimak dla Antosi

KWARTALNIK
BELLONA

100
LAT DO-
ŚWIADCZEŃ
W BUDOWA-
NIU BEZPIE-
CZEŃSTWA
NARODO-
WEGO

PERIODYK NAUKOWY

www.polska-zbrojna.pl

uniw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

ANNA DĄBROWSKA

Mogiły w twierdzy

**To jeden z największych w Europie
kompleksów cmentarzy wojennych.**

Rosyjskie wojska otoczyły twierdzę 17 września 1914 roku. Gen. dyw. Hermann Kusmanek, jej dowódca, odrzucił żądania kapitulacji. Wierzył, że umocnienia wytrzymają rosyjskie natarcie. Twierdza Przemyśl była wówczas największym zespołem fortyfikacji w Austro-Węgrzech i jednym z trzech najpotężniejszych w Europie, obok francuskiego Verdun i Antwerpii w Belgii. Budowę umocnień rozpoczęto w 1854 roku. Powstały dwa pierścienie fortów – ochraniane przez zasieki, pola minowe i rowy przeciwpiechotne. Załogę stanowiło około 130 tys. żołnierzy.

TRZY OBLĘŻENIA

Jesienią 1914 roku umocnienia oblegało prawie 92 tys. rosyjskich wojsk. 3 października przypuścili szturm na wschodnią część twierdzy, nie zdobyli jednak żadnego fortu. Pięć dni później atak od strony północnej zakończył się jeszcze większą porażką. Rosjanom nie udało się nawet dotrzeć do linii zasieków. 10 października carskie wojska odstąpiły od oblężenia – poległo i zostało rannych ponad 10 tys. oblegających. Wśród obrońców zaś zginęło około 300 osób, a prawie 1,3 tys. odniosło rany.

Jednak wojna dla obrońców twierdzy się nie skończyła. Już 5 listopada wojska rosyjskie otoczyły ją ponownie. Carscy dowódcy zmienili taktykę i zamiast atakować potężne umocnienia, odcięli dostawy zaopatrzenia do Przemyśla. Stopniowo zaczęło brakować żywności. Zmniejszano więc racje, zabito też na mięso prawie 10 tys. koni.

„Od pierwszych dni marca wszystko wskazywało na zbliżający się koniec. Magazyny stawały się puste. Głodowali żołnierze, ale jeszcze bardziej głodowali cywilni mieszkańcy miasta. Zrobiono bardzo dokładny przegląd posiadanych przez nich zapasów i wszystko, co uznano za nadwyżkę ponad ustaloną normę, rekwirowano”, zapisał 13 lutego 1915 roku Jan Vit, oficer armii austro-węgierskiej.



Cmentarz niemiecki jest otoczony wysokim ogrodzeniem. Wiedzie do niego brama z napisem „Deutschlands Heldensöhne” (niemieccy bohaterscy synowie).

Dlatego dowództwo twierdzy zdecydowało o podjęciu próby przebicia się przez pierścień wroga. „Dnia 18 marca wydano rozkaz wycieczki. Komenda prawdopodobnie chciała rzucić całą załogę. Zaatakowano pozycje rosyjskie z różnych stron, a największe siły rzucono w kierunku wschodnim do fortu Hurko. Nie doszliśmy nawet do okopów rosyjskich, gdy postępując po równinie, prażeni ogniem artyleryjskim, mitraliezowym i karabinowym, poniosłszy bardzo duże straty, musieliśmy wracać w obręb twierdzy”, napisał nieznany żołnierz austriacki w „Gazecie Warszawskiej”.

Nieudana próba kosztowała wojska cesarskie 5,5 tys. zabitych i rannych. 20 marca dowództwo twierdzy wydało rozkaz zniszczenia umocnień i poddania się. Wyszadzano w powietrze działa, forte i mosty na Sanie. 23 marca o 6.00 rano Austriacy podpisali akt kapitulacji. Twierdza upadła z głodu po 173 dniach oblężenia.

Zajęcie Przemyśla okazało się jednym z ostatnich większych sukcesów rosyjskich na froncie wschodnim. Już 2 maja, po przegranej przez nich bitwie pod Gorlicami, ruszyła na wschód ofensywa wojsk austro-węgierskich i niemieckich. 18 maja Przemyśl został otoczony, a 31 maja rozpoczął się atak. Już tego samego dnia zdobyto pięć fortów. Świtem 3 czerwca, po dwutygodniowym oblężeniu, pierwsi żołnierze niemieccy i austro-węgierscy weszli do miasta. Jeszcze podczas pierwszego oblężenia na rozkaz dowództwa twierdzy rozpoczęto tworzenie cmentarzy



PODCZAS TRZECH
OBLĘŻEŃ POLEGŁO OKOŁO
100 TYS. ŻOŁNIERZY,
PRAWIE **30 TYS.** SPOŚRÓD
NICH POCHOWANO
W PRZEMYŚLU

ZWIĄZEK GMIN FORTECZNYCH TWIERDZY PRZEMYŚL (3)

dla poległych obrońców. Pierwszy powstał w dzielnicy Zasanie i wyróżniał się żelaznym krzyżem zbudowanym z metalowych elementów, służących do wzmacniania fortów. Budowę kolejnych nekropolii wojennych rozpoczęto po zakończeniu walk w 1915 roku. Zajął się tym przemyski inspektorat Oddziału Grobów Wojennych C. i K. Komendantury Wojskowej w Krakowie.

Przy dawnej drodze fortecznej, obecnej ulicy Przemysłowej, założono cztery cmentarze dla żołnierzy poległych w trakcie oblężenia. Nekropolie te przeznaczono dla armii: austro-węgierskiej, niemieckiej, rosyjskiej oraz osobny dla bezimiennych wojskowych austro-węgierskich. Cały kompleks poświęcono 1 listopada 1916 roku. Przeniesiono tam poległych ekshumowanych z różnych miejsc twierdzy. Podczas trzech oblężeń zginęło w tym miejscu około 100 tys. żołnierzy trzech armii. Według Austriackiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojennymi, prawie 30 tys. z nich pochowano w Przemyślu.

Cmentarze, obejmujące w sumie 2,78 ha powierzchni, zaprojektował węgierski architekt por. Franciszek Szabolcs. Nadał im w większości dość skromną oprawę. Trzy nekropolie ulokowano po jednej stronie drogi. Największa jest austro-węgierska; polegli spoczywają tam w mogiłach pod rządami prostych granitowych krzyży.

W północno-wschodniej części nekropolii w latach dwudziestych XX wieku założono polski cmentarz wojskowy. Chowano na nim Polaków poległych i zmarłych

po 1918 roku, także podczas II wojny światowej. W 1925 roku odsłonięto tutaj symboliczny Grób Nieznanego Żołnierza.

W centralnym miejscu kompleksu leży cmentarz niemiecki, któremu jako jedynemu nadano formę mauzoleum. Nekropolię założono na planie prostokąta i otoczono wysokim ogrodzeniem. Wiedzie do niej okazała brama z napisem „Deutschlands Heldensöhne” (niemieccy bohaterscy synowie). Od niej do murowanego ołtarza prowadzą kamienne schody. Po obu ich stronach założono cztery kwatery ze zbiorowymi mogiłami i czarnymi betonowymi krzyżami. Na cmentarzu znajdują się także kaplica oraz kopiec zwieńczony 28-metrowym krzyżem.

HONOROWA FLAGA EUROPEJSKA

Jako następny ulokowano wojenny cmentarz rosyjski. Według napisu na umieszczonej na jego terenie tablicy, spoczywa tutaj 9 tys. żołnierzy carskich poległych w walkach o Twierdzę Przemyśl w latach 1914–1915. Na tej nekropolii ustawiono dwa krzyże prawosławne i tablicę upamiętniającą poległych żołnierzy, a ich samych pochowano w rzędach zbiorowych mogił.

Po drugiej stronie obecnej ulicy Przemysłowej leży ostatni z cmentarzy, poświęcony bezimiennym żołnierzom armii austro-węgierskiej. Trawiasty teren podzielono na trzy duże kwatery, na które składa się 12 zbiorowych mogił oznaczonych rzędami kamiennych krzyży. Nad wszystkim góruje krzyż drewniany.

Zabytkowy Zespół Cmentarzy Wojennych Twierdzy Przemyśl 1914–1915 to dziś jeden z największych w Europie kompleksów nekropolii wojennych. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, staraniem Austriackiego Czarneho Krzyża oraz władz miasta, przeprowadzono ich renowację. Dzięki temu w 1995 roku Przemyśl otrzymał Honorową Flagę Europejską, przyznaną przez Radę Europy w Strasburgu za opiekę nad cmentarzami wojennymi.

Trzy lata temu miasto odwiedzili członkowie Austriackiego Czarneho Krzyża, którzy chwalili władze miejskie za troskę o wojskowe groby. Z tej okazji prezydent miasta Robert Choma został uhonorowany Odznaką Honorową za Zasługi dla Republiki Austrii, najwyższym odznaczeniem tego państwa.

„Wielu naszych przodków było żołnierzami Twierdzy Przemyśl. Wielu naszych rodaków tutaj poległo, sporo odniosło rany lub dostało się do niewoli. Samorząd Przemyśla od wielu lat wkłada wiele pracy w zachowanie nagrobków. Cmentarze wojenne powinny być miejscami pamięci, zwłaszcza dla przyszłych pokoleń”, mówił wówczas Peter Rieser, prezes Austriackiego Czarneho Krzyża. ■

**Panu ppłk. lek. Witoldowi Bronowskiemu
oraz Rodzinie**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Taty

składają koleżanki i koledzy
z Wydziału Służby Zdrowia
Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych
w Krakowie.

Z głębokim żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Ryszarda Szablewskiego

prezesa zarządu – dyrektora naczelnego
Wojskowych Zakładów Łączności Nr 2 SA
w Czernicy.

Wyrazy szczerego współczucia i żalu

Rodzinie oraz Najbliższym

składają zarząd i pracownicy
Wojskowych Zakładów Elektronicznych SA
w Zielonce.

Panu Wiesławowi Palczakowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

**Panu płk. Bogusławowi Kot
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego
współczucia z powodu śmierci

Teścia

składają żołnierze i pracownicy Zarządu
Obrony przed Bronią Masowego Rażenia
Inspektoratu Rodzajów Wojsk DG RSZ.

Z głębokim żalem żegnamy
**Pana płk. rez. mgr. inż. Adama Szałwiewskiego.
Rodzinie Zmarłego**

wyrazy głębokiego współczucia
składają koleżanki i koledzy
z 12 Terenowego Oddziału Lotniskowego
w Warszawie.

Z głębokim smutkiem i żalem zawiadamiamy
o śmierci

śp. płk. Jana Kudły,

żołnierza 1 DPanc generała Maczka
oraz Żołnierza Wyklętego.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Rodzinę i Bliskich Zmarłego

prosimy o przyjęcie wyrazów szczerego
współczucia i głębokiego żalu.

Dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
dowództwa 11 Dywizji Kawalerii Pancernej

Panu ppłk. Michałowi Oździńskiemu,

wojskowemu komendantowi uzupełnień,
wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają oficerowie i pracownicy wojska
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Siedlcach.

Pilot z powołania

**Jan Paśnicki
1919–2017**

Urodził się 20 sierpnia 1919 roku w Łodzi. Po ukończeniu Gimnazjum Koedukacyjnego Wydziału Powiatowego Sejmiku Garwolińskiego w Garwolinie wstąpił do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii w Zambrowie i w maju 1939 roku, jako kapral podchorąży, dostał przydział do 71 Pułku Piechoty w Zambrowie, a następnie do 1 Pułku Artylerii Lekkiej Legionów w Wilnie.

We wrześniu 1939 roku Jan Paśnicki został przydzielony do Zapasowego Ośrodka Artylerii Lekkiej nr 3 w Wilnie. Brał udział w walkach przeciwko Armii Czerwonej w rejonie Nowej Wilejki, a następnie wraz z baterią marszową wycofał się na Litwę. Był internowany w Wilkowyskach, a później w Połędzie. Po zajęciu Litwy przez Armię Czerwoną trafił do obozu w Kozielsku, a później w Pawliszczewie Borze. Na przełomie maja i czerwca 1941 roku został wywieziony na Półwysep Kolski – do obozu koło wsi Ponoj. Po podpisaniu układu Sikorski–Majski służył w Wojsku Polskim. 6 września 1941 roku został skierowany do Tatiszczewa, gdzie formowała się

Panu st. chor. sztab. Jackowi Hensiowi,
starszemu technikowi ataszatu obrony
przy Ambasadzie RP w Kijowie,
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składają kadra i pracownicy Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
ppłk. rez. Ryszarda Szablewskiego,
prezesa zarządu – dyrektora naczelnego
Wojskowych Zakładów Łączności nr 2 SA.
Wyrazy współczucia i kondolencje
Żonie, Rodzinie i Bliskim Zmarłego
składają szef, kadra i pracownicy
Zarządu Kierowania i Dowodzenia – P6
Sztabu Generalnego WP.

Panu ppłk. Michałowi Oździńskiemu,
wojskowemu komendantowi uzupełnień
w Siedlcach,
wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia z powodu śmierci
Matki
składają szef oraz żołnierze i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Warszawie.

Panu kpt. Sławomirowi Żubrowi
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii
w Sulechowie.

5 Wileńska Dywizja Piechoty, a po kilku dniach dostał przydział do organizowanego 5 Pułku Artylerii Lekkiej. W składzie macierzystego pułku opuścił terytorium ZSRR – trafił do Pahlevi w ówczesnej Persji, a ostatecznie na front we Włoszech. Chrzest bojowy przeszedł w czasie walk na rzekę Sangro na linii Gustawa. Po bitwie pod Monte Cassino spełniło się jego marzenie – rozpoczął służbę w lotnictwie. Po kursie pilotażu, w grudniu 1944 roku, został pilotem eskadry „C” 663 Dywizjonu Samolotów Artylerii. Dowódcą eskadry był por. pil. Seweryn Laskowski, on sam zaś został dowódcą sekcji. 1 stycznia 1945 roku awansował na porucznika.

W styczniu 1945 roku, gdy dywizjon osiągnął gotowość bojową, Paśnicki trafił na front do Castrocaro koło Forli. Kierował ogniem polskiej artylerii w walkach 2 Korpusu Polskiego na rzeką Senio, następnie w bitwie o Bolonię. Wówczas dwa wydarzenia sprawiły mu radość – zdobycie Bolonii (21 kwietnia 1945 roku) i uhonorowanie Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari (1 czerwca 1945 roku) na głównym placu Bolonii, Piazza Maggiore. Order wręczył mu sam gen. dyw. Władysław Anders.



Latał na samolotach typu Tiger Moth, nazywanych kubusiami. Łącznie wykonał 57 lotów i uzyskał nalot 90 godzin i 40 minut. Za męstwo w walkach był odznaczony między innymi Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino, Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Gwiazdą Wojny 1939–1945, Gwiazdą Italii, Defence Medal i War Medal.

Po wojnie Jan Paśnicki zdecydował, że nie wróci do Polski. Drugi raz zdał maturę i uzyskał tytuł technika elektryka, rozpoczął także zaoczne studia. W latach 1953–1984 pracował przy projektowaniu obiektów chemiczno-naftowych, a później był specjalistą od zbiorników ciśnieniowych. Intensywnie pracował w stowarzyszeniach kombatanckich i kołach pułkowych. Doceniono jego aktywność: 1 listopada 1990 roku został awansowany do stopnia kapitana, a 28 marca 2000 roku – majora. W roku 2009 zdecydował się na powrót do Polski. Mieszkał w Warszawie, utrzymywał kontakty ze swoimi towarzyszami broni. Nie doczekał jubileuszu stulecia lotnictwa polskiego. Zmarł 6 lutego 2017 roku.

Cześć Jego pamięci!

**Panu kpt. Sławomirowi Żubrowi
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają szef sztabu oraz żołnierze
i pracownicy wojska sztabu
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.

**Panu mjr. Jerzemu Mijalskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.

**Panu mjr. Jerzemu Mijalskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Teścia

składają szef sztabu, żołnierze
i pracownicy wojska sztabu
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.

„Można odejść na zawsze, by stałe być blisko”.
Ks. J. Twardowski

Naszemu koledze
Piotrowi Zwolickiemu

wyrazy najszczerzego współczucia
oraz głębokiego żalu po śmierci

Taty

składają szef, żołnierze, pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli
w Bydgoszczy.

Panu mjr. Marcinowi Gut

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Logistyki.

Panu Romanowi Pankowskiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Logistyki.

**Panu płk. Robertowi Kędzierskiemu
oraz Jego Bliskim**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę
kondolencje
z powodu śmierci

Brata

składają szef, kadra oraz pracownicy
Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego WP.

Panu płk. Karolowi Sawickiemu

wyrazy szczerego współczucia
i głębokiego żalu z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca operacyjny
rodzajów sił zbrojnych
wraz z żołnierzami i pracownikami
resortu obrony narodowej.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje

Panu mjr. Janowi Kaczmarczykowi
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
21 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Elblągu.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia dla
Pana płk. dr. n. med. Zbigniewa Kędzierskiego
z powodu śmierci

Brata

składają komenda, żołnierze i pracownicy
1 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
SPZOZ w Lublinie.

Panu płk. Mirosławowi Horodejczukowi
oraz Jego Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra i pracownicy
Centrum Koordynacyjnego Szefa
Sztabu Generalnego WP.

Panu st. szer. Arturowi Gibale

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy wojska
Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

Panu dr. Tomaszowi Zielińskiemu
oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dziekan, żołnierze i pracownicy
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie.

„Nie umiera ten,
kto pozostaje w sercu i pamięci bliskich”.

Panu kmdr. por. Piotrowi Smeli

wyrazy najserdeczniejszego współczucia
i słowa otuchy z powodu śmierci

Mamy

składa starszy oficer narodowy
przy MC Northwood wraz z członkami
polskiej delegacji w Wielkiej Brytanii.

Panu dr. Piotrowi Górnemu
oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dziekan, żołnierze i pracownicy
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie.

Łącząc się w bólu z kolegą

Pawłem Zdziarskim

z powodu śmierci

Mamy Henryki,

kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
składają komendant oraz żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Łodzi.

Panu ppłk. Zbigniewowi Zawadzkiemu
oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.



mł. chor. Bartosz Sychała
3 kwietnia 2011 r., PKW Afganistan

kpr. Grzegorz Politowski
8 kwietnia 2008 r., PKW Afganistan

kpr. Piotr Moszyński
10 kwietnia 1995 r.,
UNPROFOR Jugosławia

kpr. Tomasz Jura
20 kwietnia 2007 r., PKW Irak

Pamiętamy

kpr. Paweł Staniaszek
20 kwietnia 2011 r., PKW Afganistan

KSIĄŻKA

Wystawa na papierze

Unikatowe zdjęcia z Brześcia nad Bugiem sprzed stu lat.

Kiedy pierwszy raz wzięłam do ręki ten album, nie wiedziałam nic ani o jego autorze, ani o okolicznościach wydania. Moją uwagę zwróciły natomiast znakomita okładka i podtytuł „Podróż w czasie”, będący obietnicą niezwyklej wyprawy w przeszłość.

I faktycznie trudno oderwać wzrok od niesamowitych archiwalnych zdjęć, na których uwieczniono historyczne momenty tego symbolicznego, ale stosunkowo mało znanego miasta oraz życie codzienne jego mieszkańców.

Brześć nad Bugiem kojarzy się bowiem głównie z pokojem z 1918 roku. W albumie mamy zaś okazję prześledzić jego historię od momentu odbicia z rąk Niemców, przez lata budowania w nim polskich struktur wojskowych i państwowych, aż do

ponownej utraty na rzecz Rosjan w 1939 roku.

Od początku coś mi jednak w tym albumie nie pasowało, czegoś brakowało. W końcu doszłam do wniosku, że część opisowa przypomina plansze na wystawie –

które czasami tylko sygnalizują jakieś zagadnienie, ale nie zawsze tworzą spójną całość. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że książka jest pokłosiem wystawy prezentowanej najpierw w Muzeum Niepodległości w Warszawie, a następnie w Muzeum Historycznym w Legionowie. Tyle że takie przeniesienie jeden do jednego to nie jest najlepszy pomysł. Tym bardziej że album zawiera naprawdę unikatowy zestaw 200 fotografii ze zbiorów Andrzeja Dołgowskiego. Ten pochodzący z mińskiej rodziny architektów pasjonat historii wojskowości próbuje zidentyfikować ludzi i miejsca zatrzymane w kadrze. I aż chciałoby się poczytać gawędy na temat jego poszukiwań zamiast na przykład notki biograficznej Kazimierza Sosnkowskiego. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Andrzej Dołgowski, „Brześć nad Bugiem. Podróż w czasie 1919–1939”, Bellona, 2016



FILATELISTYKA

Pamiątkowe znaczki

W 2016 roku Poczta Polska wydała upamiętniający Franciszka Szendzielarza „Łupaszkę” znaczek, który zapoczątkował serię filatelistyczną „Ryngrafy Żołnierzy Wyklętych”. 1 marca 2017 roku do obiegu weszły dwa kolejne, poświęcone Mieczysławowi Dziemiszkiwiczowi „Rojowi” i Franciszkowi Majewskiemu „Słonemu”. Oprócz reprodukcji fotografii żołnierzy na

znaczkach umieszczono także wizerunki noszonych przez nich ryngrafów, do których nawiązuje nazwa serii.

Tradycja noszenia ryngrafów ma już kilkadziesiąt lat. Na początku był to element uzbrojenia ochronnego, który z czasem ewoluował i przekształcił się w rodzaj noszonego pod szyją medalionu. Pierwotnie na ryngrafach umieszczano znaki heraldyczne, a od czasów konfederacji barskiej zaczęto grawerować na nich symbole religijne. W II RP ryngrafy miały przede wszystkim



wartość pamiątkową. W czasie wojny wielu żołnierzy nosiło je na piersi. Ryngraf stał się również atrybutem żołnierzy wyklętych. JR ■

KSIĄŻKA

Kocham wojnę

**W internetowych rankingach zaliczany
do „najbardziej pokreconych ludzi wszech czasów”.**

Adrian Carton de Wiart, autor wspomnień zatytułowanych „Moja odyseja”, jest postacią, która zasługuje na to, by zostać bohaterem powieści przygodowej. Jeden z najczęściej odznaczanych oficerów armii brytyjskiej, siedem razy uciekał z niewoli, dwa razy rozbił samolot. Przy czym w wypadkach lotniczych uczestniczył znacznie częściej. Walczył w kilku wojnach, w tym w dwóch światowych. Ranny jedenaście razy. W Somalii stracił oko, a pod Ypres rękę. Podobno odcierał sobie dwa palce pozostałe po postrzale w dłoń, by zmusić lekarza do jej amputacji. Jak sam przyznał, kochał wojnę. Do 1939 roku kojarzyła mu się ona z romantyczną awanturą, ale to, co zobaczył po ataku Hitlera na Polskę, uświadomiło mu, że na wojnie giną nie tylko żołnierze, lecz także kobiety i dzieci.

De Wiart to gorąca krew, trochę beczelny, trochę arogancki. Pali się do służby wojskowej, uwielbia wystawne życie, kocha konie i polowania. Z pewnością był lepszym dyplomatą, niż sam to przyznaje. We wspomnieniach przytacza wiele zabawnych dykterek i anegdot, unika zaś plotek i niedyskrecji.

Dla nas z pewnością najbardziej interesujące będzie 20 lat, które de Wiart spędził w Polsce. Przyjechał do Warszawy w 1919 roku jako szef wojskowej misji brytyjskiej. Funkcję tę pełnił do 1924 roku. W tym czasie współpracował z Piłsudskim i Paderewskim. Był gorącym orędownikiem polskiej sprawy na Zachodzie.

Gdy w 1924 roku odszedł z wojska, jego przyjaciel Karol Radziwiłł podarował mu niewielki majątek w Prostyniu na Polesiu, gdzie de Wiart pomieszkiwał do 1939 roku. Wtedy to został powołany ponownie do służby czynnej.

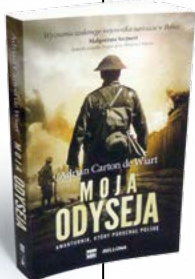
Z wielkim szacunkiem wypowiadał się o Polakach, o ich przywiązaniu do ojczyzny i o waleczności.

Ogromną sympatią darzył Ignacego Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego zaś zaliczył do największych osobowości, z jakimi zetknął się w swojej karierze. Właściwie jedyną osobą, o której jawnie negatywnie się wypowiedział, był Edward Rydz-Śmigły. De Wiart nie mógł przeboleć decyzji generała o przekroczeniu granicy rumuńskiej w 1939 roku. Jak napisał: „Jego postępowanie było zaprzeczeniem wszystkiego, co wiedziałem o Polakach. Wręcz trudno mi opisać, co wtedy czułem”.

W czasie II wojny światowej de Wiart przebywał m.in. w Afryce, Norwegii i we Włoszech, gdzie spędził ponad dwa lata w obozie jenieckim. Po kilkuletnim pobycie w Chinach powrócił do kraju i osiadł w Irlandii, gdzie dożył spokojnie późnej starości. Gdy w 1939 roku wyjeżdżał z Polski, dowiedział się, że Rosjanie rozgrabili cały jego polski majątek. „Na szczęście nie mogli ukraść moich wspomnień”, skwitował. Na szczęście. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Adrian Carton de Wiart, „Moja odyseja”,
Arkadiusz Wingert i Bellona, 2016






NAJWIEKSZE TARGI PROOBRONNE W POLSCE

1-4 CZERWCA 2017 EXPO MAZURY OSTRÓDA



MINISTER
OBRONY
NARODOWEJ



MINISTER
EDUKACJI
NARODOWEJ



WWW.PRO-DEFENSE.PL

KSIĄŻKA

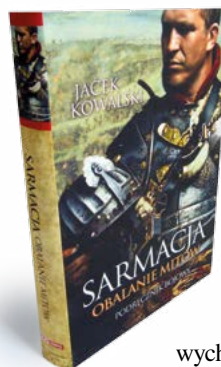
Z SZABELKĄ NA HISTORIĘ

Czy okres Sarmacji poprzedziły franca i kometa wieszcząca zgon króla Kazimierza Jagiellończyka?

Jaki obraz Sarmaty jest zakorzeniony w świadomości przeciętnego Polaka? Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę internetową hasło: „Sarmata cechy”. Od razu pojawia się odpowiedź: człowiek ograniczony, zacofany, pełen przesądów, bezzmyslnie schematyczny, nienawidzący obcych, porywczy i nieprzewidywalny. Dodajmy do tego obraz pasibrzucha opasanego pasem słuckim, z sobolim kołnierzem, wygoloną głową i kuflem miodu w rękę, który się kłóci, pokrzykuje, tego pije i wdaje się w burdy. Wizerunek ten nie pojawił się znikąd. Wszyscy wiemy, że historia ma niezwykle pociąg do uogólnień. Tymczasem, jak przekonuje Jacek Kowalski, Sarmacji nie można uogólniać. To nie jest masa, którą trudno rozdzielić, lecz zbiór pojedynczych kropek, które dopiero połączone tworzą wzór. Kowalski rozprawia się z mitami oraz dotyczącymi Sarmacji i rodzimej historii zabobonami, po swojemu, z przymrużeniem oka.

Jego książka to rodzaj gawędy o Polsce, w którą Sarmata wpisany jest w różnych kontekstach: kulturowo, politycznie, ideowo czy historycznie. I te różne konteksty poddaje analizie, prowadzi przy tym czytelnika przez kolejne wieki panowania królów dynastycznych, elekcyjnych, obcych. Dowiemy się więc, na przykład, czy Sarmaci podbili Słowian, czy język sarmacki jest wieśniacki, czy istnieje sztuka sarmacka, skąd się wziął strach obcokrajowców przed sarmacką szabelką i czy w ogóle istnieje coś takiego jak sarmatyzm. Mitów związanych z tym tematem jest wiele, nie wszystkie jednak Jacek Kowalski obala, z niektórymi nawet jest w stanie się zgodzić, choć ostatecznie zawsze wychodzi na to, że jednak nie do końca.

Dowcipny, lekki, nieco złośliwy styl narracji jest niewątpliwą zaletą książki. Nie jest to rozprawa naukowa, nie ma więc rozbudowanych tez czy pogłębionej analizy tematu. Kowalski



Jacek Kowalski „Sarmacja. Obalanie mitów. Podręcznik bojowy”, Zona Zero, Warszawa 2016

pięknie bawi się historią, zongluje faktami, sypie cytatami z literatury staropolskiej i nie tylko. Niektóre z gawęd opierają się na twardych dowodach źródłowych, inne na semantycznych rozważaniach, w których oczywiście jest wiele racji. Na przykład zabobon 40. (wszystkie są ponumerowane i podzielone tematycznie) poświęcony temu, jaka jest różnica między sarmacką prostotą a prostactwem. Albo zabobon 14. o tym, czy Zygmunt August mógł się zakochać.

Wszystko to w sumie prowadzi do bardzo prostego wniosku – bycie Sarmatą nie oznacza przynależności do konkretnej warstwy społecznej, lecz do grupy ludzi, którzy oprócz przywar mają też powody do dumy. I tu wróćmy do internetowego hasła: „Sarmata cechy”. Oprócz bowiem tych, które wymieniłam na początku, pojawiły się również takie wartości, jak: patriotyzm, odwaga, honor, umiłowanie wolności, głęboka wiara w Boga, hołdowanie tradycji. Pokrzepiające jak trylogia Sienkiewicza. Wziąwszy pod uwagę powyższe, przyznać można rację autorowi, że informacja o śmierci Sarmacji jest mocno przesadzona... ■

JOANNA ROCHOWICZ

KSIĄŻKA

Polscy Spartanie

Żołnierz polski, jeśli nie może wygrać boju, to honoru swojego bronić potrafi”, przekonywał Marszałek Józef Piłsudski.

W historii Polski było wiele bitew i wojen, w których męstwo, heroizm i upór w walce, mimo że nie kończyły się ona zwycięstwem, zapisały się jako chwalebne i przykładowe dla przyszłych

pokoleń. **Najnowsza książka Tomasza Stańczyka i Witolda Paska „Polskie Termopile. Walczyli do końca” to pasjonujący zbiór historii polskiego oręża – od obrony twierdzy Zbaraż w trakcie powstania Chmielnickiego, przez walki powstania listopadowego w Olszynie Grochowskiej i obronę Lwowa w 1918 roku, aż do bohaterskiej samoobrony Przebraża przed sotniami UPA w czasie II wojny światowej.** Autorzy nie koloryzują historii. Przedstawiają róż-

ne bitwy i postawy żołnierskie – zarówno chwalebne, jak i te, o których często wolałoby się zapomnieć. Koncentrują się jednak na tych pierwszych. Książka jest napisana świetnym językiem, urozmaicona unikatowymi

fotografiami, bogata w liczne wspomnienia świadków, dlatego też czyta się ją jednym tchem. ■

JAKUB NAWROCKI



Tomasz Stańczyk, Witold Pasek, „Polskie Termopile. Walczyli do końca”, Fronda, 2016

Helm kuloodporny HBK 01

Maska przeciwgazowa MP-6
Filtropochłaniacz FP-6

Mundur polowy

Kamizelka kuloodporna
Plate Carrier KBT-02

Priorytet: skuteczna ochrona.

KSIĄŻKA

Epoka nerdów

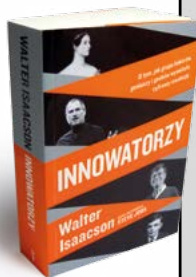
Czy kiedykolwiek zadawaliście sobie pytanie, kim tak naprawdę jest innowator? Obawiam się, że raczej nie, ale po przeczytaniu tej książki warto o tym pomyśleć. Innowator to nie tylko osoba wprowadzająca coś nowego, lecz także taka, która nieustannie dąży do udoskonalania czegoś, co już istnieje. To reformator, który wprowadza poprawki w naszą rzeczywistość tak, byśmy mogli w niej sprawniej funkcjonować. I o tym właśnie opowiada Walter Isaacson, autor bestsellera „Steve Jobs”, w najnowszej książce „Innowatorzy. O tym, jak grupa hakerów, geniuszy i geeków wywołała cyfrową rewolucję”.

Do jej napisania skłoniła Isaacsona fascynacja postępem w dziedzinie technologii cyfrowej. Na ponad 700 stronach w prosty i zrozumiały dla każdego sposób pokazuje olśniewający świat twórców technologii cyfrowych. Jego bohaterami są ludzie,

dzięki którym powstały komputery i internet. Przygodę z innowatorami zaczynamy od poznania hrabiny Ady Lovelace, córki George’a Byrona, która została pierwszą programistką i pionierką informatyki, mimo że żyła w latach, gdy komputery jeszcze nie istniały. Isaacson gładko przechodzi od wieku XIX do prezentacji najnowszych produktów Apple’a. W zabawny sposób opisuje pomysły innowatorów, dzięki którym nastąpiła era cyfrowa: Alana Turinga, Douga Engelbarta, Billa Gatesa, Steve’a Wozniaka czy Steve’a Jobsa. Według hrabiny Lovelace, symbioza człowieka z maszyną jest możliwa dzięki ludzkiej zdolności twórczego myślenia. Zdaniem autora, myśl ta będzie tak długo aktualna, jak długo pozostaniemy gatunkiem kreatywnym. ■

NATALIA EKIERT

Walter Isaacson,
„Innowatorzy.
O tym, jak grupa
hakerów, geniuszy
i geeków
wywołała cyfrową
rewolucję”,
Insignis, 2016



Historia fałszowania funtów brytyjskich przez więźniów obozów koncentracyjnych została pokazana w filmie „Falszerze”, który w 2008 roku został nagrodzony Oscarem za najlepszy film nieanglojęzyczny.

Forsy jak lodu”, pod takim tytułem w 1959 roku ukazała się w „Sternie” opowieść o nazistowskiej operacji fałszowania funtów brytyjskich. Na rozkaz Himmlera w obozie koncentracyjnym zorganizowano zespół, do którego spośród więźniów wybrano drukarzy, zecerów, malarzy, rysowników i innych specjalistów. Mielili oni stworzyć idealną kopię banknotów brytyjskich, które byłyby bezkrywawą, ale niezwykle skuteczną bronią – wypuszczone do obiegu fałszywki miały zniszczyć gospodarkę Zjednoczonego Królestwa. Szok po tej lekturze przeżyła nastoletnia Birgit Krüger, bo okazało się, że całą akcją kierował... jej ojciec Bernhard. Ukrywana przez lata tajemnica jak fatum zaciążyła na całej rodzinie.

KSIĄŻKA

ZBAWCA SZALEŃCÓW

Po raz kolejny Paweł Majka zabiera czytelników w bliżej nieokreśloną przyszłość, do Krakowa wyniszczonego kataklizmem.

Halny, żołnierz Federacji – jednej ze społeczności funkcjonujących w postnuklearnym Krakowie – po kilkutygodniowej nieobecności wraca do domu, do Huty. Nie jest to już jednak miejsce, które opuścił. Tajemnicza wojna rozpętana przez Króla i jego

hordę spowodowała kataklizm. Federacja została rozbita, a towarzysze Halnego zginęli. Nowego porządku strzegą żołnierze Kombinatoru, ale nawet oni z trudem radzą sobie z wojennym chaosem. Halny przyłącza się do dość dziwacznej i tajemniczej wyprawy prowadzonej przez

oficera Kombinatoru, której celem jest odnalezienie Ewy, kochanki Króla. On sam, co prawda, zginął, ale kobieta urodzi jego dziecko. Ono może być powodem zarówno zagłady, jak i wybawienia.

Po raz kolejny Paweł Majka zabiera czytelników w bliżej nieokreśloną przyszłość, do Krakowa zniszczonego kataklizmem, zwanym przez wszystkich Pożogą. Zmyła ona stary świat niczym biblijny potop, ale kruchy porządek, jaki powstał na jego gruzach, a który czytelnicy pamiętają z poprzedniej książki Majki „Dzielnica obiecana”, znów został zburzony. Mikrospo-



KSIĄŻKA

Winny?

Jej dziadek nie był Oscarem Schindlerem, ale nie był też Adolfem Eichmannem...

Z przeszłością bliskich zmierzyła się Charlotte Krüger, wnuczka Bernharda i bratanica Birgit. Jej również trudno było uwierzyć w to, że spokojny starszy pan, którego zapamiętała głównie jako kolekcjonera znaczków pocztowych, jest nazistą. „Mój dziadek fałszerz” jest zatem rozliczeniem się z przeszłością. Książka jest efektem wieloletnich prac nad historią rodziny, ale też pokazuje drogę, jaką autorka

przeszła, żeby się dowiedzieć, czy jej dziadek jest mordercą. Krüger przewertowała rodzinne dokumenty, zbadała dostępne archiwalia, dotarła do historyków, którzy badali „Operację Bernhard”, oraz do więźniów pracujących dla jej dziadka. Na początku chciała znaleźć dowód na to, że nie był on nazistą, zbrodniarzem, że uratował setki ludzi przed komorą gazową. Okazało się jednak, że ta historia nie jest jedno-



Charlotte Krüger,
„Mój dziadek
fałszerz”, Prószyński
i S-ka, 2017

znaczna. Wtedy za wszelką cenę starała się nie dać się uwieść naturalnemu pragnieniu tłumaczenia bliskiej osoby z popełnionych grzechów. Zawsze bowiem pojawia się jakieś „ale” – bez względu na to, jak będzie brzmiał wyrok. Tak więc w tej książce nie jest najważniejsze ani osądzenie Bernharda Krügera, ani sama historia – fascynująca, ale znana już chociażby z filmu nagrodzonego Oscarem. Dla mnie najistotniejsza jest warstwa społeczna i psychologiczna. Krüger opisuje bowiem, jak kolejne pokolenia Niemców radzą sobie z trudną przeszłością nie kraju, lecz najbliższych. Imponuje to, w jaki sposób ona się z tym uporała. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

łeczności, funkcjonujące w nim w określonej hierarchii, czyli ludzie Federacji, Kombinatoru, Wandy, Muzeum i kanibale, zniknęły lub zbuntowały się przeciwko dotychczas obowiązującemu prawu. „Człowiek obiecany” Majki to opowieść o szaleństwie. Objawia się ono w zachowaniu bohaterów pogrążających się coraz bardziej w chaosie, który ich otacza. Spaja ich jedno – wspólny cel, czyli odnalezienie Ewy i dziecka. Dzieli zaś to, co każdy z nich chce zrobić potem.

Powieść Majki jest kolejną książką projektu Metro Dmitry’ego Glukhowskiego. Punktem wyjścia serii

była katastrofa nuklearna, która unicestwiła stary porządek. Pisarze z całego świata, którzy włączyli się w projekt, od początku mieli więc pole do popisu. Mogli tworzyć postapokaliptyczną rzeczywistość od

podstaw, puszczając wodze fantazji. Uniwersum Glukhowskiego przez kilka lat ciekawie ewoluowało. Ocalańcy wyszli już z ciasnych tuneli i kanałów, zniknęła klaustrofobiczna atmosfera pierwszych części serii. Świat po zagładzie staje się bardziej dostępny dla bohaterów, ale też w większym stopniu oderwany od rzeczywistości, jaką znamy. Krakowski krajobraz stworzony przez Majkę jest bez wątpienia jednym z najciekawszych jego elementów. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Paweł Majka, „Człowiek obiecany”,
Insignis, 2016





ANDRZEJ
FĄFARA

Porażki cuchną



Na stare lata odrabiam szkolne zaległości. Kupiłem wydaną w mikroskopijnym nakładzie książkę o powstaniu sejneńskim, o którym moi nauczyciele historii nawet się nie zająknęli. A było to, jak się dziś dowiaduję, jedno z czterech zwycięskich powstań w naszych dziejach. Obok dwóch wielkopolskich i jednego śląskiego.

Nowo zdobytą wiedzę na temat powstania sejneńskiego dzielę się więc natychmiast z czytelnikami „Polski Zbrojnej”. Dla pokrzepienia serc. Rzecz działa się dziewięć miesięcy po zakończeniu I wojny światowej. Francuski marszałek Ferdinand Foch wyznaczył linię demarkacyjną rozdzielającą wojska polskie i litewskie do czasu, aż nie zostaną ostatecznie ustalone granice między obu państwami.

Litwini nie chcieli jednak opuścić Sejnu i okolic, choć tereny te znajdowały się po polskiej stronie linii Focha. Z tego właśnie powodu Polacy wzniesili 23 sierpnia 1919 roku powstanie, zakończone po tygodniu wyparciem litewskich wojsk.

Nic wielkiego w porównaniu z powstaniami listopadowym czy styczniowym. W Sejnach tysiąc naszych walczyło przeciw tysiącowi Litwinów. Ten bój został jednak zwieńczony wiktoria. I to nie moralną, lecz bardzo konkretną, bo przecież Sejny i skrawek terenu aż po Czarną Hańczę znajduje się do dziś na terytorium Rzeczypospolitej.

Przyznaję, że uzupełniłem swoją wiedzę historyczną nie bez satysfakcji. Coś pozostało we mnie z czasów szkolnych, kiedy to nie lubiłem lekcji poświęconych porażkom militarnym Polski. Nie potrafiłem zaakceptować klęski na Psim Polu czy nad Żółtymi Wodami. Nie uznawałem wielkich zasług hetmana Stanisława Żółkiewskiego, bo przegrał bitwę pod Cecorą. Bagatelizowałem jednocześnie te wszystkie niepowodzenia. Wydawały mi się mało znaczące w porównaniu z Grunwaldem, Kircholmem czy Beresteczkiem.

Przeczytałem gdzieś, że porażki cuchną. Sądzę, że zwłaszcza młodzi ludzie mają w tej kwestii bardzo wyostrzony węch. Tego się nie da zmienić, to kwestia wieku. Dopiero z biegiem czasu człowiek potrafi pogodzić się z różnorodnością historycznych wydarzeń.

Owa dojrzałość historyczna to także umiejętność spojrzenia na każde z nich z innej strony. Dotyczy to również przywołanego wcześniej przeze mnie powstania sejneńskiego. Dla Polaków jest to oczywiście zryw patriotyczny, wart świętowania i stawiania pomników, natomiast dla Litwinów – godny potępienia wyraz polskiej dominacji. Nasi północno-wschodni sąsiedzi mają w tej kwestii swoje argumenty. Sejny są dla nich miastem szczególnym. Tu kształtował się współczesny litewski ruch narodowy, tu działało seminarium duchowne, które było ośrodkiem litewskiego patriotyzmu. I dlatego tak bardzo zależało Litwinom w 1919 roku, by miasto znalazło się w granicach ich państwa.

Można się z tymi argumentami nie zgadzać, ale warto je znać, chociażby po to, by w razie czego móc podjąć dyskusję.



POLSKA ZBROJNA
POLSKA ZBROJNA HISTORIA
PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH
KWARTALNIK BELLONA
POLSKA-ZBROJNA.PL

REKLAMUJ SIĘ W NA- SZYCH CZASO- PISMACH

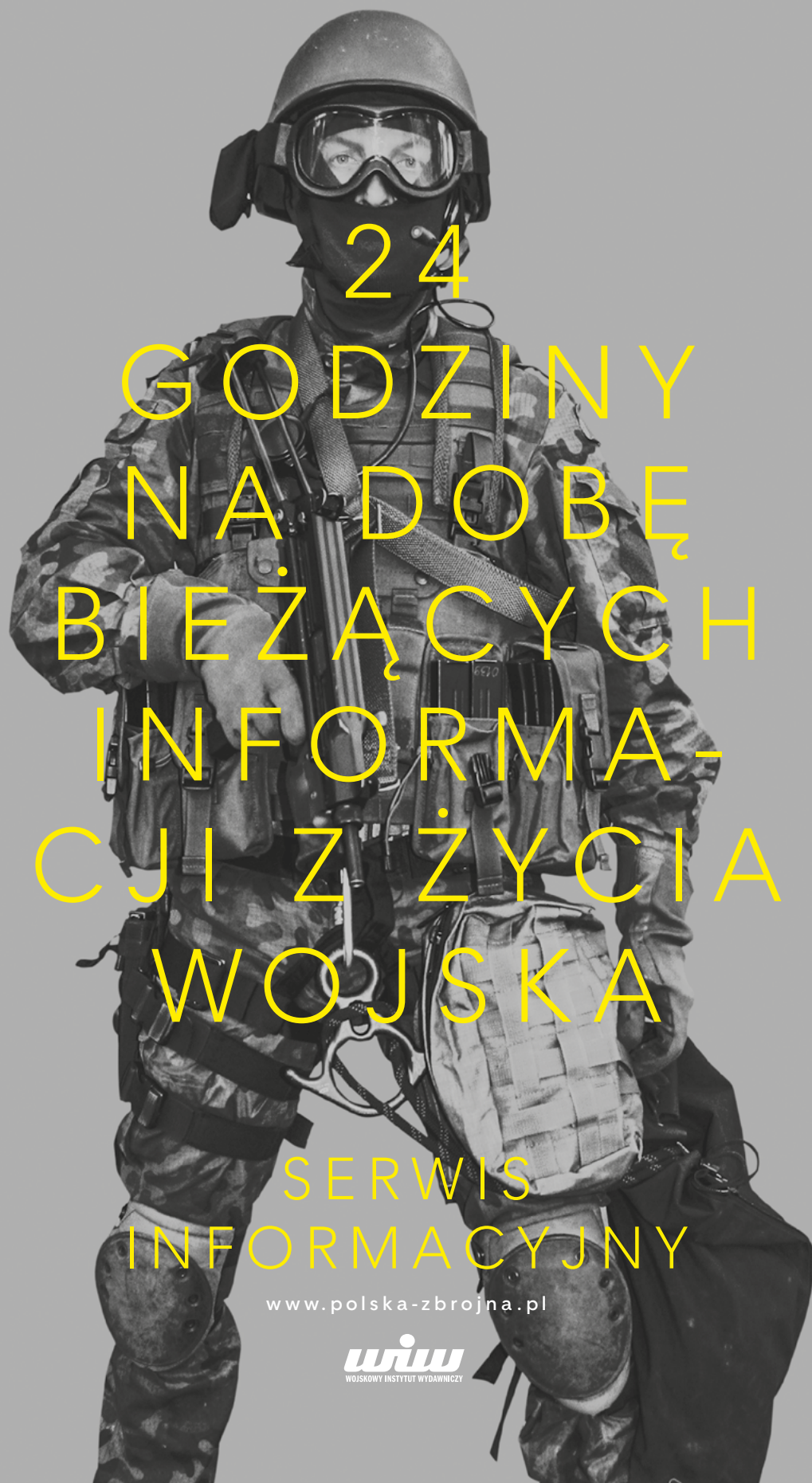


Oferta reklamowa dostępna na
www.polska-zbrojna.pl

WOJSKOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY



POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY